

ATENEUM

PISMO NAUKOWE I LITERACKIE.

OGÓLNEGO ZBIORU TOM L.

ROK XIII.

TOM II. — ZESZYT III.

Czerwiec.

WARSZAWA.
Druk K. Kowalewskiego, Królewska N. 29.

1888.

SPIS RZECZY.

I. TRADYCYA A TRADYCYA. Przez *K.* 385

II. NA SŁUŻBIE u MŁYNARZA FIRKA. Obrazek. Przez *A. Tristis*. 396

III. HELENA MASSALSKA. Przez *Kazimierza Waliszewskiego* 411

IV. LISTY CZESKIE. XVI. Przez *Dr. Gablera* 442

V. ZE WSPOMNIEŃ OSOBISTYCH Z CZASÓW OBLĘŻENIA PARYŻA. Przez *X.* 483

VI. WOLA ZBIOROWA I ZASADA SZCZĘŚLIWOŚCI. Studyum etyczne. Przez *Napoleona Hirszbanda* . . . 508

VII. ODA M. K. SARBIEWSKIEGO. Przełożona z zastosowaniem miary alcejskiej oryginału. Przez *J. Wabnera* 532

VIII REFORMA SAMORZĄDU WIOSKOWEGO. Przez *Henryka Konica* 536

IX. ROZBIORY, SPRAWOZDANIA I WRAŻENIA LITERACKIE.

Pamiętnik fizyjograficzny, tom VII. Warszawa 1887, z 37 tablicami rysunków i 18 drzeworytami w tekście. Ocenił *Dr. Ign. Szyszyłowicz* 543

Wrażenia literackie. 549

X. KRONIKA MIESIĘCZNA p. *L. Straszewicza* i (—X—) 555

XI. NEKROLOGIA 574

Sprostowanie omyłek zeszytu za m. Maj 576

Druk ukończono 2 Czerwca 1888 r.

TRADYCYA A TRADYCYA.

W ostatnich kilkunastu latach można się było często spotkać po dziennikach naszych z polemiką o tradycyą, jéj znaczenie i wartość dla dzisiejszego pokolenia. Gdyby te podjazdowe szermierki czytał obcy, prawdopodobnie trudnoby mu było rozumiéć, o co właściwie szermującym chodziło, gdyż o ile pamiętamy, nikt osobno przedmiotu nie roztrząsał i znaczenia jego nie określił. Tylko przygodnie, wśród najrozmaitszych kwestyi ten lub ów potępiał tradycyą, a inny znów również przygodnie stawał w jéj obronie. Ale chociaż przeciwnicy wyraźnie znaczenia tradycyi nie określali, tyle jednakże można było z ich wynurzeń wnosić, że wrogowie jéj mieli się za postępowych, a obrońcy za konserwatystów. Obecnie przycinkowa strzelanina znacznie zwolniała, jakkolwiek i teraz nie brak animozyi w tym przedmiocie; może zatém byłoby na czasie rozważyć znaczenie tradycyi w życiu społeczeństwa. Gdyby się udało rzecz samę wyjaśnić, byłoby to pożyteczném, nawet nie myśląc o jakiémś trwałém stron pojednaniu.

Tradycyą, czyli z polska podaniem nazywamy takie fakta i wiadomości, które wśród ludzi powstały, zanim pismem zdołano je utrwalić. Przekazywane od pokolenia pokoleniu, doczekały się, często bardzo zmienione, przeinaczone, czasu, gdy ludzie wynaleźli pismo i na cegle, kamieniu, papyrusie, pergaminie, papierze zaczęli je utrwalać. Wiedząc, jak człowiek nietylko pierwotny ale i dzisiejszy skłonny jest do przeinaczania tego, co od innych słyszał, a to nie tyle ze złéj woli, ile raczéj dla kruchéj pamięci i niewyćwiczonego rozumu; łatwo pojąć, jak te podania ulegały skażeniu. Fantazya, wielka twórczyni w dziedzinie życia umysłowego, osnuwała te zdarzenia i wiadomości coraz nowszemi upiększeniami i dodat-

kami, nawijając ogromny kłąb zwikłanych nitek, bardzo trudnych, a często niemożliwych do rozwikłania. Pytanie o wiarogdności najrozmaitszych podań należy do tych zagadnień naukowych, nad którymi pracują mitologia, etnografia, historya w najobszerniejszém znaczeniu, a nadewszystko krytyka. Dzięki mozolnym poszukiwaniom i badaniom tych nauk, jak nieinniéj psychologii, sfinksowa twarz podań zaczyna przybierać rysy cokolwiek zrozumialsze dla dzisiejszego widza. Jak tylko pewne podanie zostało zrozumiane, przestajemy się mu dziwić; nie śmieszą nas te dziwaczne strzępy dawno minionych wieków i szat znoszonych. Śmiesznym jest tylko ten, kto się urąga, nie ten, kto chce wyrozumiéć i odgadnąć uczucia, myśli, potrzeby, cierpienia i radości tych ludzi, których dalszy ciąg stanowimy.

Jakoż, nie można przypuścić, ażeby ktokolwiek z ludzi oświeceńszych, a nie dopiéroż piszących, chciał lekceważyć badania podań; leży w nas zarodem ciekawość do poznania tego, co przed nami było; pojmujemy, że oderwać się od téj przeszłości niepodobna, że ona w nas pulsuje i oplotła nas siatką wcale nie pajęczą, że umarły chwycił żywego za wszystkie nerwy organizmu. A jednakże pomimo to spotykamy niecierpliwych, którzy dla tradycyi mają tylko przekąs i sarkazm, chłoszczący tych, którzy nie są tak rączy w wyklinaniu minionych wieków. Zapewne i tu nie zła wola, jeno nieporozumienie skłania strony do wzajemnych obwinień. Muszą ci przeciwnicy tradycyi coś innego przez nią rozumiéć, aniżeli obrońcy. Zobaczymy daléj, że tak jest w istocie, a tymczasem rozejrzmy się w rozmaitych rodzajach tradycyi.

Ponieważ życie ludzkie rozwija się w rozmaitych kierunkach, zarówno natury praktycznéj, jak i teoretycznéj, można więc z góry przewidywać, że i tradycya pójdzie w ślad za niemi i objawi się tyluż formami, ile było owych kierunków. Nazwijmy je praktycznym i teoretycznym. Pierwszy, to jest praktyczny, musiał z konieczności być wcześniejszym, ponieważ człowiek wprzód musiał dążyć do zaspokojenia nieodbitych potrzeb swoich, aniżeli do teoretycznego poznania i samych tych potrzeb i środków, jakiemiby mógł je zaspokoić. Można zatém, jak sądzę, utrzymywać z wszelkiém podobieństwem do prawdy, że tradycye dotyczące zdobywania pokarmu, odzieży, zamieszkania, leczenia chorób były pierwsze, które pokolenia swoim następcom przekazywały. Wiadomo zaś, jak postęp w tym względzie był powolnym, chociaż nie możemy chronologicznie oznaczyć, ile upłynęło wieków zanim człowiek wynalazł ogień i zaczął używać gotowanego pokarmu, zanim wymyślił najprostsze: broń i narzędzia. Jeżeli zatém chodzi o klasyfikacyą tradycyi, po-

stawilibyśmy na pierwszém miejscu te podania, które ogólnym terminem nazywamy: r z e m i o s ł o w e m i. Wiadomo, że wszystkie sztuki praktyczne, mające na celu materyalne potrzeby człowieka, powstawały i doskonaliły się w rodach, stanowiąc ich tajemnicę. Do dziś dnia pod pewnym względem tak się dzieje. W owych prastarych wiekach tak się dziać musiało w braku szkół fachowych i wiadomości, dostępnych niepoświęconym i niewtajemniczonym. Tajemnica w użyciu pewnych materyi i sposobów ich obrobienia do użytku ludzkiego była konieczną, gdyż od niéj zależał byt rodów i ich przewaga nad innemi. Przeciwko podobnym tajemnicom dzisiaj mielibyśmy wiele do powiedzenia; ale w owych pierwotnych ludziach, rządzących się egoizmem, uważamy je za naturalne. Dzisiaj nawet, mimo postępu techniki w rozmaitych sztukach praktycznych i rzemiosłach, istnieją sposoby wyrobu pewnych przedmiotów, przechowujące się w rodach, po fabrykach i mniejszych warsztatach; jest-to tradycya rzemiosłowa. Ogólne sposoby i metody mogą być dostępne dla wszystkich; ale udoskonalenie ich, będące wynikiem bystrzejszego oka, nieraz przypadkowego doświadczenia, stanowi własność jednéj firmy lub fabryki. Nikt się o to nie może gniewać, że firma nie zdradza swojego sekretu; stanowi on o jéj powodzeniu na rynku, a przecież trudno wymagać, by ktoś sam pod sobą dół kopał.

Przypuszczamy daléj—a ktoby temu nie wierzył, za złe téj niewiary brać mu nie będziemy—że gdy człowiek jako-tako zaspokoił najgwałtowniejsze materyalne potrzeby swoje, musiało go interesować to, co się koło niego i nad nim działo: czyli innemi słowy, że z kolei powstały tradycye k o s m o g o n i c z n e i t e o g o n i c z n e. Takby można wnosić z najdawniejszych poematów i hymnów, w których kosmogonia z teogonią są splecione. Czy te tradycye obecnie zamarły, chociażby wśród narodów cywilizowanych? Żyją one i trzymają się głów ludzkich tak mocno, jak przed wieki. Zaledwie małéj cząstce znane są rezultaty osiągnione przez geologią i astronomią, a jeszcze mniejszéj zrozumiałe są sposoby i rachunki, jakiemi te rezultaty zdobyto. Jakże odmiennie rysuje się w wyobraźni uczonego ogrom świata i na miliony mil obliczane przestrzenie międzygwiazdowe od wyobrażenia, jakie sobie o tymże świecie tworzy prostaczek. A przecież takiemi wyobrażeniami zadawalnia się niezmierna większość ludzi i wedle tych wyobrażeń sądzi o zjawiskach kosmicznych. Możnaby ubolewać nad tém, możnaby pragnąć, ażeby wyniki badań i doświadczeń, czynionych przez szczupłą garstkę uczonych, stały się dostępne wszystkim, lub przynajmniéj wielu; ale swoją drogą nie zdołamy stworzyć warunków

bytu, w którychby te życzenia spełnić się mogły. I tu więc tradycya jak wieki trwała, tak i wieki trwać będzie, chyba że warunki materyalne o tyle się kiedyś zmienią, iż kosmografii dzisiejszéj uczyć będą nietylko po gimnazyach, lecz i po szkółkach początkowych.

Inną formą tradycyi są zwyczaje i obyczaje, zachowywane w rozmaitych przypadkach i zdarzeniach życia, w stosunkach prywatnych i publicznych, podczas urodzin, zaślubin i pogrzebów, jak niemniéj w czynnościach religijnych, sądowych, podczas zawierania umów i t. p. Kto i kiedy je wymyślił, jakie do nich twórcy ich przywiązywali znaczenie, tego już dzisiaj po większéj części wykryć niepodobna. Powtarzają się one do dziś dnia pomimo zmienionych warunków bytu, są echem prastarych czasów i ludzi nietylko nieoświeconych lecz i cywilizowanych. Nazywamy je pospolicie przesądami i zabobonami, a jednak pozbyć się ich całkowicie nie możemy. Wychowaliśmy się w nich, powtarzano je w naszych oczach od dzieciństwa, skojarzyły się w uczuciach i myślach naszych z pomyślnemi lub niepomyślnemi wróżbami, owładnęły tak silnie całą duchową istotą naszą, że chociaż nauka rozwiała je, niby jasny dzień senne mary; jednak gdy ich nie zachowamy, owłada nami przeczucie jakiegoś złego następstwa, z którego sobie na razie sprawy zdać nie możemy. Nie trzeba ich szukać u ludów tak zwanych dzikich; żyją one pośród najucywilizowańszych i oddziaływują na nich może z mniejszém natężeniem, niż na dzikich, ale otrząsnąć się z nich zupełnie — prawie niepodobna.

Słusznie, czy niesłusznie wyobrażamy sobie początki bytu dzisiejszych społeczeństw, jako bardzo ubogie i nędzne. Prawdopodobném jest, że gdy ziemia stała się możliwą do mieszkania dla człowieka, nieliczne gromady ludzkie prowadziły życie koczujące, pełne przygód, niespodzianek i strachu niewymownego wobec groźnych potęg przyrody. Życie to, chociaż tak mizerne, musiało w tych grubych umysłach zostawiać pewne wspomnienia po dotkliwszych zdarzeniach, po przegranych lub wygranych w nieustającéj walce o byt z naturą i innemi gromadami. Wspomnienia te przy ognisku opowiadał ojciec czy matka dzieciom, może jaki pierwotny rapsodysta ułożył je w krótkie a dobitne wiersze i tym sposobem rozpoczęła się tradycya, którą pozwolę sobie nazwać g r o m a d z k ą. Po wynalezieniu pisma utrwalono ją na cegle lub kamieniu, potém już w dobie historycznéj kronikarz wcielił ten przygodny rejestr do swojego opowiadania: i oto początek tradycyi h i s t o r y c z n é j. Oczywiście, między jednym a drugim faktém upływały wieki, wśród których tradycya ustna przeinaczana, jeszcze bardziéj ulegała wy-

paczeniu pod piórem kronikarza, który ani chronologii, ani geografii nie pilnował, mieszał wiadomości z różnych epok i krajów, dosnuwał brakujące ogniwa z własnéj fantazyi i tym sposobem tak rzeczy pogmatwał, że dzisiejszy sumienny i krytyczny badacz nie może wydobyć prawdy, lecz co najwyżéj prawdopodobieństwa o tak zwanéj przedhistorycznéj epoce swojego narodu.

Ale nietylko tak odległe wieki nie są nam znane w rzetelnéj swojéj fizyonomii; nawet czasy późniejsze, zgoła najbliższe, na parę pokoleń przed nami, fantazya osnuwa legendą, która wraz z historyą prawdziwą wypełnia tak pamięć ludzką jak i dzieje pisane. Zdanie, którego jakiś bohater na placu bitwy nie wyrzekł, testament, którego jakiś monarcha nie pisał, przechodzą jednakże z ust do ust i stanowią dla późniejszych pokoleń jakby proroctwo *post factum*, jakby wcielenie pragnień i daleko sięgający program działania. Jestto tradycya historyczna, a chociaż żaden wiarogodny dowód na jéj poparcie nie może być przytoczony, żyje ona jednak i daleko lepiéj trzyma się pamięci, niż fakta stwierdzone. Epoki, narody, społeczeństwa, religie, pojedyncze rody, stany i klasy mają swoje tradycye, z pod których uroku zaledwie niektóre jednostki zdołają się wydobyć. Tradycye takie nie ustają, lecz tworzą się ciągle w żyjącém społeczeństwie. Znakomitsze, wybitniejsze postaci, gdy zejdą z pola działania, wyrastają powoli na olbrzymów, których legenda wyposaża w cudowne, nadludzkie niemal przymioty i własności, tworząc tradycyą rodową i osobistą. Dopiero gdy zapał początkowy dla bohaterów przeminie, a krytyka z szat legendarnych półbogów rozbierze, przekonywamy się, że ocena i uwielbienie tych postaci były mocno przesadzone. Któż nie pamięta, z jakim entuzyazmem bardzo niedawno jeszcze czczono panegirykami Wiktora Hugo? Tradycya spowiła legendami patryarchę romantyzmu europejskiego, a obecnie te mity rozpływają się jak mgły pod piórem wcale nie wstecznego autora, jakim jest Paweł Lafargue. Nic to jednak nie pomoże; krytyka nie raz i nie dwa rozbijała w puch tradycyą, a ona żyje i coraz nowszemi szczegółami barwi żywot swoich wybrańców.

Co powiedzieć o tego lub innego rodzaju tradycyi? Czy mamy ją potępić i całkowicie odrzucić? Byłoby to oczywistą niedorzecznością. Świat dzisiejszy jest rezultatem wczorajszego; ludzie chcąc nie chcąc musieli stanąć i oprzeć się na jednym szczeblu, ażeby wstąpić na drugi; gniewać się na nich za to, że nie mieli butów siedmiomilowych, nie mamy prawa, dziś zwłaszcza, gdy lepiéj rozumiemy tak powolny, lubo nieustający rozwój świata, zarówno nieorganicznego jak organicznego i ludzkiego. Tak téż, jak sądzę, patrzą na tradycyą wszyscy nie uprzedzeni i nie zaślepieni doktryner-

stwem; a jeżeli pomimo tego zdarzają się między nami niezgodne pod tym względem zdania, pochodzi to widocznie stąd, iż przeciwnicy mają coś innego na myśli, niż wyraz oznacza. Możnaby się domyślać, a nawet twierdzić, że tu chodzi o pewne instytucye społeczne, o pewne wspomnienia historyczne, które przeciwnicy tradycyi uważają za przeszkody do szybszego ruchu i myśli i czynów, za tamę w postępowym procesie społeczeństwa.

Nie chciałbym nikomu podsuwać myśli, jakich nie miał, gdy tradycyą potępiał, ale zdaje mi się, iż wyrazem tym oznaczono reminiscencye nie dawno minionéj przeszłości jak: pańszczyzna, batog, karbowy, liberya, cugi, długi, jurysdykcya patrymonialna, lekkomyślność, izolowanie się od innych stanów, pycha rodowa, próżniactwo i nieuctwo, a w przeszłym wieku przedajność kasty szlacheckiéj i wielkopańskiéj. Trudno zaprzeczyć, że równianka tych tradycyjnych kwiatów do dziś dnia zapachem swoim nabawia kataru nietylko spadkobierców w prostéj linii, ale i dalekich widzów; jednakże potępiając taką tradycyą, nie należy zapominać, iż wniosek ogólny, pasujący chociażby do większości pewnéj klasy, nie może ogarniać wszystkich członków téj klasy, i tylko z takiém zastrzeżeniem da się utrzymać. Nie wzajemne rekryminacye, lecz poznawanie błędów i wspólne dźwiganie się warstw społecznych mogą zapóźnione społeczeństwa ratować od ostatecznego rozkładu.

Takie zacieśnienie znaczenia tradycyi do przesądów i nałogów pewnéj klasy społecznéj, prowadzi do nieporozumień i bez potrzeby jątrzy tych, którzy działając w spójni z innemi klasami, mogliby się przykładać do ciągnienia wozu naładowanego wspólnemi, choć niejednakowemi winami. A czemu się nie przykładają, czemu ich najczęściéj nie masz tam, gdzie być powinni, skoro mają pretensyą do czołowego stanowiska w społeczeństwie?

Nie jestem adwokatem téj lub owéj klasy, bronić téż ani potępiać nikogo nie myślę; zdaje mi się jednak, że są one wszystkie potrzebne w zdrowym organizmie społecznym, a póki nie nastąpi powszechna niwelacya, chodzić nam raczéj powinno o przekształcenie i odrodzenie elementów składających społeczeństwo, niż o ich zniszczenie.

Jeżeli zatém tradycyi nie ograniczymy do ujemnego znaczenia, o jakiém nieco wyżéj była mowa, lecz pozostaniemy przy ogólném, powszechnie przyjętém, okaże się, iż wartość jéj dla obecnego pokolenia zależną będzie od ilości tych ziarnek prawdy i doświadczenia, jakie w sobie zawierać może. Nie wszystko bowiem, co jest tradycyjném, już tém samém jest niedorzeczném, a skoro się kiedyś poczęło, musiało mieć warunki, które je powołały do bytu. O ile

się od owego czasu zmieniły warunki, o tyle i tradycya wszelka przestała mieć racyą bytu i upaść musi jak osłonki z kiełkującego ziarna.

Tradycya, uważana jako zbiór doświadczenia odległych wieków, była pierwszą mistrzynią rodu ludzkiego; wiek jej dodawał powagi, niemal świętości. Zaniechać jéj, lekceważyć, szukać dróg innych, niewydeptanych, uchodziło i uchodzi za świętokradztwo. Tak robili przodkowie i chléb jedli, tak i my nie potrzebujemy być od nich mędrsi: oto hasło tradycyonistów. Myślenie samo, tak niełatwe dla ludzi zajętych ciężką pracą lub przymusowém próżnowaniem, jak sobie wyobrażamy bardzo odległych przodków człowieka, myślenie zasadne, wiążące skutki z dostatecznemi przyczynami, stało się u nich, że tak nazwę refleksyjném, odruchowem. Całe pokolenia i wieki myślały i czyniły jak ich poprzednicy. Nagromadziły się potężne warstwy obrzędów, zwyczajów, które zaskorupiały, zastygły; oka téj sieci z początku niemal pajęcze, stężały przez lat tysiące, krępują ruchy nadchodzących pokoleń, które złorzecząc nieraz, poddają im się z rezygnacyą jakby pewnego rodzaju fatalizmowi. Taka jest potęga tradycyi; protest przeciw omszałym zwyczajom lub metodom działania i myślenia wywołuje na usta spółczesnych: Herostrat!

Wszakże, gdyby się tacy śmiałkowie od czasu do czasu nie zjawiali, ludzie nie mogliby się w końcu z miejsca poruszyć w grubiejącéj, co pokolenie, skorupie tradycyi. W umyśle ludzkim drzemią siły, które w pewnych odstępach czasu, gdy się zbiegną odpowiednie warunki tak w samych działaczach jak i w otoczeniu zewnętrznem, zaczynają wrzéć i kipiéć, póki tradycyjnéj skorupy nie rozsadzą: wtedy rodzi się nowy czas i nowy wiek. Równocześnie podnoszą lamenta ci, którzy widzą szczeliny w pękającéj budowie społecznéj i nuż złorzeczyć demonom, nuż pakułami tradycyi zatykać coraz bardziéj rozchodzące się ściany. Nareszcie powoli, z częstemi westchnieniami ludzie przystosowują się, radzi nieradzi, do nowych warunków bytu i powstających stąd nowych wyobrażeń. Stopniowo nowy ten duch buduje dla siebie nowe pomieszczenie w odpowiednich instytucyach publicznych, zwyczajach i obyczajach domowych, w sztuce i nauce. Powoli i ten nowy gmach zestarzeje się i ulegnie losowi wszech rzeczy ludzkich. Taka, zda mi się, jest dyalektyka dziejów człowieka na ziemi: nieunikniona walka nowego ze starym porządkiem, postępu z tradycyą. Złorzeczyć téj walce, skoro jest nieunikniona, byłoby nierozsądkiem; zakląć ją, nie w naszéj mocy, jest ona bowiem koniecznym motorem dalszego rozwoju człowieczeństwa.

Zajmuje nas w téj chwili znaczenie i wartość tradycyi wogóle: uznajemy ją za moment w rozwoju człowieka i za dyalektyczną stronę w rozwoju dziejów ludzkich. Wyżéj zaś powiedziano, że wartość jéj zależną jest od sumy prawd i doświadczenia, jakie w sobie mieści. Osiągnięte doświadczenie. zdobyte prawdy wcielają się w materyalny i umysłowy kapitał społeczeństwa; odrzucać je dlatego, że stare, byłoby nierozumem; zaczynać dzieje dopiero od siebie a po za sobą widzieć jedynie ciemnotę, głupstwo, przesądy mogą tylko dzieci budujące karciane domki. Każda społeczność, chcąc żyć i byt swój utrwalić, musi się oprzéć na pracy i doświadczeniu swoich poprzedników: w przeciwnym razie zawisłaby w powietrzu, a takich, sztuk łamanych nawet jednostki nie mogą bezkarnie praktykować. Jak w dziejach ludzkich wogóle, tak i w dziejach jednego społeczeństwa nie masz przerwy, lecz ciągłość; a kto tę ciągłość sztucznie chce rozerwać, ten nie rozumié dziejów. Jedno pokolenie musi drugiemu podawać zapaloną pochodnię cywilizacyi, ażeby świata nie ogarnęły ciemności; dorobek ojców powinien przechodzić na synów, a przez ten dorobek nie rozumiemy tylko pełnéj kaléty, lecz wszystko co w bilansie historycznym okazało się ilością nie urojoną. Jakoż, nie przypuszczamy, żeby przeciw takiemu pojmowaniu tradycyi i jéj znaczenia dla obecnego czasu miał ktoś czynić zarzuty. Więc téż nie rozwodząc się dłużéj nad tradycyą wogóle, chcę jeszcze dotknąć niektórych jéj form, bardziéj niż inne, podległych krytyce.

W naszych czasach, które podobało się nazywać demokratycznemi, razi ludzi oświeceńszych tradycya rodowa. Rzeczywiście, zdarza się, że nie jeden synek szlachecki lub wielkopański, chociaż nieortograficznie pisze, za to czyta nadzwyczaj troskliwie herbarze (nie zielniki, broń Boże). Po długiém czytaniu, zwłaszcza gdy się ma żenić, dochodzi do téj zdumiewającéj pamięci, iż umie bez zająknienia opowiedziéć jak pra-pra-ojciec rodu walczył pod znakami Juliusza Cezara, jak inny odległy przodek poszukując rycerskich przygód, z Normandyi zawędrował nad Wisłę, jak nareszcie trzeci z Krzyżowcami zdobywał Antyochią i tam herb otrzymał. Inne fakta historyczne tego miłośnika tradycyi nie obchodzą. Nie obchodzi go pytanie, skąd przybyli Bartki i Maćki, bo to czerń nie warta miéć nawet takiéj genealogii, jak wyścigowce u porządnych obywateli.

Taka tradycya budzi politowanie, oczywiście nie u spółpowietników i spółojczyców. Możnaż się nią chwalić, lub coś na jéj obronę powiedziéć? Oto, trzebaby wprzód zliczyć sławnych i niesławnych przodków, a następnie, by dziedzic imienia i fortuny (co-

raz skąpszéj) sam dokonał, jeżeli nie tak wielkich czynów jak przodkowie, to przynajmniéj żeby gimnazyum skończył i nauczył się pożytecznéj pracy, oprócz sportu końskiego. Możnaby mu w takim razie darować zamiłowanie tradycyi. Należy bowiem brać w rachubę i próżność ludzką, która, jak wiadomo, rozpiera nie tylko folbluty szlacheckie, lecz również i tę szlachtę nową, pieczętującą się profitem.

Do takiéj to tradycyi rodowéj, oburzającéj inne warstwy społeczne, należą wyobrażenia o szlachetności krwi, z którą się przekazują wszystkie tkliwe i wzniosłe sentymenta wraz ze skrofułami; poszukiwanie równéj urodzeniem lub przynajmniéj majątkiem partyi w maryażu, by uniknąć mezaliansu i utrzymać czystość rasy. Tu również zaliczyć należy pewne nałogi, jak zapominanie nazwisk nie-książęcych i nie-hrabiowskich, przymrużanie oczu w rozmowie z niższymi, używanie zaimka trzeciéj osoby, gdy się interesanta nie chce nazwać „panem", podawanie koniuszka palców zamiast całéj dłoni, raczenie przyjęcia wierzytelności na słowo i jakby z łaski, zamiast na hipotekę, by tę ostatnią jak najdłużéj utrzymać czystą dla robienia nowych długów. Jest-to tradycya, ciesząca się do dziś dnia respektem, przestrzegana zapewne wszędzie, ale u nas najskrupulatniéj i przeciw niéj właśnie protestuje chłopska i mieszczańska natura.

Do pewnych nieporozumień prowadzi także tradycya historyczna. Wiadomo, że początkowe dzieje wszystkich narodów są tradycyjne, albo jak niektórzy nazywają, bajeczne. Wyrozumiéć ich prawie niepodobna, albowiem mity i podania tak są poplątane, iż o prawdę w nich tkwiącą trudno się kusić. Ztąd taki kłopot, gdy chodzi o wyrozumienie dziejów Lechowych, Popielowych i Krakusowych, lub o pierwotne urządzenia dawnych plemion słowiańskich. Dotychczas żaden historyk nie podał zadawalniającego ich wyjaśnienia; niemasz nawet nadziei, w braku ile-tyle wiarogodnych dokumentów, ażeby pod tym względem można było coś innego postawić nad domysły mniéj lub więcéj prawdopodobne. Jeżeli historycy nie mają pewności co do wielu faktów, dat i przyczyn z czasu sięgającego jakich stu lat przed nami, kiedy już tak dużo pisano, jakże tu zawierzyć tradycyi sięgającéj lat tysiąca? Wartość zatém tradycyi pod względem poznania prawdy o osobach, rzeczach, zjawiskach i faktach, osnutych mytami i legendami, jest, uważana sama w sobie, nadzwyczaj mała; za to wpływ jéj na późniejsze pokolenia wielki, a to zarówno w kierunku dodatnim jak i ujemnym. Dodatnim nazywam go dlatego, że utrzymuje ciągłość i nieprzerwalność ducha ożywiającego następujące po sobie pokolenia; że wy-

twarza i podtrzymuje ich świadomość przez wspólną mowę, religią, klęski i powodzenia; że je wiąże szeregiem zwyczajów, obrzędów i urządzeń tak publicznych, jak i domowych. Ujemnym znów jest ten wpływ tradycyi przez to, że te obrzędy i zwyczaje dla saméj starości swojéj zdają się być święte i nietykalne, a jako takie paraliżują ruch ku zmianie i poprawie. Ale i najmocniéj zakorzenione zwyczaje z czasem, pod wpływem rozkładających je nowych wyobrażeń, tracą na oporności, chociaż jak doświadczenie uczy, nie znikają zupełnie. Nowe wyobrażenia, świadczące o zmianie stosunków materyalnych i umysłowych w społeczeństwie, mają za przedstawicieli nowe pokolenie, nowych ludzi, którzy częściowo odrywają się od tradycyi, porzucają pewne nałogi, zwyczaje rażące ich swoją grubą, nieokrzesaną formą, zaprowadzają nowe, racyonalniejsze.

Dlaczego jednak odrzucają tę łupinę? Oto dlatego, że już ziarna w niéj nie widzą; przepadło ono gdzieś, rozpuściło się i roztopiło w nowych zwyczajach. Obrońcy tradycyi poczytują to za odstępstwo i chęć przekomarzania się z ojcami; tymczasem jest to nieuniknione następstwo rozwoju umysłu ludzkiego. Wprawdzie z początku, gdy się zawiązuje walka nowego ze starym porządkiem rzeczy, zdawać się może, iż to tylko swawolne chłopięta szarpią za brodę czcigodnego dziadka, i ztąd zgorszenie i oburzenie; gdy się wszakże ukołyszą wzdęte fale polemiki, jedna i druga strona spostrzegają, iż się znalazły na odmiennych a nieraz przeciwnych stanowiskach. Zaczynają się tworzyć koterye i partye; przyczyną pozorną nieporozumień była tradycya, ale istotną zmiana stosunków materyalnych i nowy teoretyczny ich wyraz, nazywany nowym na świat poglądem. Od tego czasu inaczéj na te same fakta, osoby, rzeczy i zjawiska czy to historyczne, czy obyczajowe patrzą starzy, inaczéj -- młodzi. Nie ma w tém ani złéj woli, ani dezercyi z pod wspólnéj chorągwi, bo wszystkim może ten sam cel przyświecać; jest tylko krok naprzód, czasem szczęśliwy, czasem chybiony, ale zawsze ruch jakiś, dążność jakaś, znamionująca życie.

Tym sposobem, zdaje się, że źródłem nieporozumień między obrońcami a przeciwnikami tradycyi jest przedewszystkiém umysł ludzki, któremu robi się ciasno i duszno w starym przybytku wiedzy, w znoszonéj szacie obyczajów i zwyczajów. Umiejętności traktujące o świecie, człowieku i stosunkach, w jakich się dotychczas poruszał, zmieniły w całości, lub w części swoje poglądy. Z dawniejszemi poglądami zwyczaje, obrzędy, praktyki, słowem tradycya, były w zgodności lub przynajmniéj w zawieszeniu kroków wojennych; teraz, do zmienionych już nie przystają. Umysły żwawsze,

śmielsze, pracowitsze, przyswoiły sobie nowe poglądy, czasami tylko zasłyszały o nich i zaczęły inaczéj patrzéć na świat i ludzi; umysły ociężalsze, lękliwsze lub tępsze pozostały na stanowisku zajętém przed połową lub ćwiercią wieku i ani chcą przypuścić, żeby od owego czasu coś zmieniło. Zdawałoby się, że ich komórki mózgowe ruszył paraliż, że nie tyle wstręt do nowego, ile raczéj niemożność zmiany kierunku w myśleniu skłania ich do głoszenia, iż nic nowego pod słońcem: trzyma ich w kleszczach tradycya. Ludzie tacy, nasiąknąwszy w domu, w szkole, w otoczeniu towarzyskiém pewnemi wyobrażeniami, zrośli się z niemi; stały się one cząstką ich umysłowego organizmu; idą jak machiny w kierunku z góry od młodości nadanym. Daléj, interesa życia codziennego, troski o byt, praca na chléb, brak czasu a nieraz i zdolności do zanalizowania wyobrażeń nabytych i wpojonych sprawiają, iż sfera ich umysłowa zwęża się i zacieśnia do najzwyczajniejszych potrzeb materyalnego życia. Każda zmiana czy to w urządzeniach społecznych, czy w sposobie myślenia jest dla nich wstrętną i niepożądaną, ponieważ nie mogą się do niéj zastosować i dawniejszych swoich wyobrażeń z nowemi pogodzić.

Biorąc zatém w rachubę z jednéj strony psychiczną naturę człowieka, a z drugiéj warunki, wśród których żył niegdyś i dzisiaj żyć musi, dochodzimy do wniosku, iż tradycya go wyniańczyła, że jéj pieśni i powieści, składające cały jego początkowy kapitał umysłowy stanowiły najdawniejszy dorobek duchowy ras i prastarych pokoleń, że więc ani jéj lekceważyć, ani ubóstwiać nie przystało. Nad jéj wyrozumieniem należy pracować, bo praca taka lepiéj nam odsłonić może oblicze przeszłości, niż doktrynerskie naciąganie dziejów do potrzeb chwili bieżącéj: o tradycyi, równie słusznie jak o pieśni gminnéj można powtórzyć słowa poety, iż jest arką przymierza między staremi a nowemi laty.

K.

NA SŁUŻBIE
U MŁYNARZA FIRKA.

OBRAZEK.

W niedzielę, po nieszporach, siedziała Dorota na ławce pod ścianą i medytowała.

Siadłem przy niéj i zapytałem:—O czém tak medytujesz Doroto?

Machnęła ręką: — Proszę pana, przypominam sobie to i owo i myślę o ludzkiéj biédzie. Bodaj się biédny na świat nie rodził.

— Jakaż ci tutaj biéda u dobrego państwa? Masz co jeść, masz w co się ubrać i nikt ci złego słowa nie powié.

Odpowiada niecierpliwie: — Pan wié swoje, a ja wiem swoje. Dobrze drugiemu przychwalać, jak panu wszystko na czas nagotują, kawę do łóżka podadzą, na obiad pieczeń, potém fajkę pan wykurzy i dmucha. Na wieczerzę klusek by pan nie jadł ani kapusty, tylko jest kaszka, albo jajecznica i harbata.... z rumem.

— Wielkie rzeczy — powiadam — kaszka i jajecznica, to nie nadzwyczajne przysmaki i nie masz mi czego zazdrościć. Masz lepszy odemnie apetyt i piérogi z sérem lepiéj ci smakują, niż mnie pieczeń. Zbytków sobie żadnych nie pozwalam.

— Ja téż panu nie wytykam, ani zazdroszczę, ino to się tak mówi, aby na ten przykład powiedziéć wszystko. Siedzi pan w ciepłéj stancyi i czyta historye z książek, zeprze pan głowę na poduszce a nogi na poręczy, phu! Albo pan piórkiem skrzypi po papiérze, wielka rzecz, co mi za robota, na taką zgodziłby się każdy, nie zdźwiga się pan i kości pana nie zabolą. A biédna sługa musi wstać przed świtem, ogień rozpalić, buty pucować, rzeczy czyścić, wody nanieść w konewkach, kiedy jeszcze państwo na drugi bok się przewraca. A pani, skoro się ocknie, zaraz woła: Doroto, przynoś

kawę. A pan woła: Doroto, przynoś rzeczy. A panicze wołają: Doroto, dawaj buty, a skoro się obują, zaraz lézą w błoto i nie dbają, że człowiek pieknie glańcował. A pani znowu woła: idź po bułki, idź po mięso, leć do sklepu, nanoś drzewa, zamieć w pokoju, Doroto pomyj, Doroto pościel, tfu, wszystko Doroto!

— Moja kochana—mówię — to wszystko musi się zrobić i inaczéj być nie może. Gdybyś umiała po francusku, to byś włożyła okulary, siadłabyś na kanapie i czytała. Gdybyś umiała grać na fortepianie, tobyś zagrała, a my byśmy słuchali.

— O, niech no mnie pan nie podrywa. Ja ta nie potrzebuję czytać po francusku, ani mi portypian w głowie, ale co za wiele, to za wiele. Juźcić ktoś musi wszystko zrobić, a pani nie podoli sama, bo jest delikatna. Zresztą co pani, to nie sługa, i sługa jest od tego, żeby zrobiła, co do niéj należy. Przeciw temu nie ma co powiedziéć. Oto także nic nie mówię, że człowiek haruje od świtu do nocy, jak ten koń, i tylko w niedzielę wytchnie przez nieszpory, bo sługa musi być robocza. Póki są siły i zdrowie służy, to wszystko dobrze i chwaląc Pana Boga, narzékać nie ma czego. Ale jak przyjdzie choroba, albo jak sił na stare lata nie stanie, co wtedy? Niejednemu przychodzi ginąć pod płotem, nikt go nie pożałuje, rzucą do ziemi, zakopią i już cię nie ma człowiecze.

— To prawda poczęści, ale niezupełnie. Chorych przyjmują do szpitala i tam mają opiekę i wygody. A sługa także powinna myśléć o swojéj starości, oszczędzać i składać, żeby przy końcu życia nie cierpiała biédy.

— Et, co téż pan mówi. Do szpitala wezmą sługę, jak już ręką i nogą ruszyć nie może, a jak co niewielkiego brakuje, to się z niéj wyśmieją i każą iść do roboty. A ze swojéj zapłaty sługa nie oszczędzi, bo musi sobie sprawić buty, przyodziew, pościel; póki młoda kupuje tasiemki, paciorki, a jak starsza, to napije się piwa we święto za swoje pieniądze i nic nie ma. Jeszcze u państwa w mieście, a u dobrego państwa, co o sługę dbają, nie ma co narzekać. Ale na wsi u gospodarzów, albo u rzemieślników, u ludzi prostych, to słudze gorzéj nieraz na świecie, niż bydlęciu. O bydle mają staranie, żeby nie zmarniało, a u sługi i o to nie dbają. Ze sługi ciągną do ostatka, nie dadzą dojeść, dospać, nie zapłacą, pokrzywdzą, wybiją, nieraz zamęczą powoli i nikt za to nic nie powié, a ty sługo gnij w grobie. Trzeba się przekonać, jak to bywa, to człowiek aż ręce załamie. Mnie tu dobrze, uwijaczki mam dużo, ale temu jeszcze moje siły starczą, jestem zdrowa, mam co jeść, mam butów dwie pary, przyodziew, fejny płaszcz sukienny, jak jaka pani, i kilka stówek w kasie, co uskładałam. Pani dobra, zważa na moje lata

i do cięższéj roboty ściga dziewczynę. Ale po wsiach dziewczęta chodzą boso w mróz największy i niejedna nie ma koszuli, a czy podoli robocie, czy nie podoli, o to nikt nie pyta i niejedna utraci życie z ciężkiego harowania. Słuchajże pan, opowiem, jak to było.

Byłam młoda dziewczyna i służyłam na przedmieściu u młynarza Firka. Miał rolę, bydło, młyn, był bogaty a był okrutnie chytry i łakomy. Siwe wąsy tak mu się wiły kole nosa jak kotowi, a jak wlepił w człowieka bure oczy, to aż mróz po kościach przechodził. Gospodyni znowu była naprzykrzona i dokuczliwa, łaziła krok w krok za czeladzią i przygadywała albo śledziła po cichu, czy które nie robi co nieprawego. Mieli synka jedynaka, było mu Kubuś, chłopiec ładny ale doskwiérny, no, dziecko jak dziecko, choć się naprzykrza, to trzeba wybaczyć. Ojcowie go kochali, młynarz więcéj jak młynarka i wciąż gadał o tém, że go da uczyć we szkołach, by człowiek był z niego i dobrze mu było. Służyłam tam cztéry roki. W drugim roku, jak nastałam, uciekła dziewucha ze służby, a gospodyni wzięła do bydła Kasię, nazywała się... jak ona się nazywała... Majdyczanka i służyły my obie. Były trzy krowy, jałówka i dwoje cieląt i trzody kilkoro. Ja byłam zgodzona za parę butów, płótno na dwie koszule i dwanaście papierków, tamta służyła tak samo.

Przyszła kolenda, młynarz wyszedł do nas do młynicy, dostałyśmy obie po kieliszku wódki i nic więcéj. Zażartował sobie, że choć chodzimy boso i tak się podobamy i kawalery za nami patrzą. Pocałowałam go pięknie w rękę i proszę o buty, o płótno i o zapłatę, bo jeszcze nie widziałam żadnéj wysługi. Kazał mi wyciągnąć stare buty z pod skrzyni i powiedział: oto twoje.

— Ba, robotę mam ciężką a mnie się patrzą nowe, płótno.....

Nie dał mi dokończyć i wrzasnął: głupia, co ty mi bajesz! Jeść ci daję, jak ci zimno, okryj się płachtą. Robić musisz a gębę zamknij, bo ci dam laską.

— Jak to laską, że się upominam, co sobie wysłużyłam?

Spojrzał srogo i trącił mnie, że aż poleciałam pod skrzynię i rozkazuje: jedna niech osypkę poda trzodzie, druga niech odbierze ze skrzyni.

Wyszła ze stancyi gospodyni i hałasuje na nas: próżniaki, jeść by jadły, a robić im się nie chce, za kawalerami patrzą, Doroto z Józkiem chodziłaś za stajnię. Poczekaj, nauczę ja ciebie, wnet tu przyjdą z magistratu policyany, łajdaczko!

Panie, jak mi Boga trzeba przy skonaniu, nie chodziłam z Józkiem za stajnię, on mnie namawiał rozmaicie, ale nie słuchałam tego. Zaklęłam się na Pana Boga, że to jest nieprawda, jakobym

miała z Józkiem interesa, ale ona przyskoczyła do mnie z pięścią i krzyczała, że jéj jest prawda i żebym zamknęła gębę, bo mnie każe zaprowadzić na magistrat.

Woda była zastawiona, bo czeladnik naprawiał korczówki u wodnego koła, teraz zrzucił wodę i poczęło się obracać paleczne koło, wrzeciono ruszyło kamień i mąka poczęła się suć z pytla. Mełło się dla piekarza z miasta. Cóż miałam biedna robić, mąka nie będzie czekała i trzeba ją było odebrać ze skrzyni.

Źle było, ale mi nie była taka wielka biéda, byłam młoda, byłam krzepka, to zniosłam wszystko z łatwością. Zmarzłam w zimie na dworze, to potarłam ręce, zagrzałam się przy kuchni i zrobiło mi się ciepło; byłam głodna, to zjadłam czarnego chleba, albo ziemniak, albo rzepę i już dobrze. Narobiłam się przez cały dzień aż w krzyżach trzeszczało i bolały kości, to się przespałam kilka godzin i jakby ręką odjął, nie ma bólu i czuję zdrowie i siły.

Kasia była odemnie młodsza, była ładna na twarzy, ale co złego, biedna zdrowia nie miała. Wyglądała jakby jaka panna, ciało miała bielutkie, włosy miękie, długie, oczy — tego nawet nie zdolę powiedzićć—były takie, jakby ją co we wnętrzu bolało, aż żal brał patrzéć na nią i ludzie jéj się dziwili. Była uczciwa dziewczyna, ale robota nie szła jéj sporo, bo to było rozlazłe i młynarz hałasił na nią i gospodyni jéj się przeciwiła, instygowała na nią i nieraz pobiła.

Ona była z miasta, matka jéj chodziła za szyciem, a ojciec był pisarz, ale jak to bywa w mieście i na wsi nieraz się trafia, bez ślubu było to wesele. Tacy rodzice dadzą życie dziecku i obciążają sumienie, bo Pan Bóg takiego skrzywdzenia własnéj krwi nie przebaczy. Ojciec o nią ani spytał, ani wiedziała, gdzie go szukać, matka umarła i siérota została sama na biédę i poniewiérkę. Ale choć to było mizerne, przecie się jakoś wychowało między ludźmi, aż się dostała do krów do naszego młyna. Było to bose, w jednéj koszulinie i jednéj spódnicy, nieumyte, nieuczesane i takie głupie, że się dziwić było trzeba. Pasała bydło, robiła koło krów i sypiała w stajni. W zimie wciąż się trzęsła od mrozu. Jak przyszła do kuchni do ognia, to się ogrzać nie mogła. Ciało jéj się spękało i opuchło, a palce zgrubiały, jak kije, że w rękach nic utrzymać nie mogła. To miskę upuściła, to garnek stłukła, a gospodyni biła ją, gdzie dopadła, aż żal brał patrzéć. Ledwie nogi włóczyła za sobą, a wciąż płakała i narzekała, że ją ojcowie opuścili i żyje na swoje nieszczęście.

Przyszło lato i trochę się skrzepiła. Myślałby by kto, że we młynie musi być czeladź syta, bo wszystkiego jest dostatkiem. Mówią o tym, co mu się jeść niechce: głodny jak młynarska kura.

Jużcić bydlęciu strawy nie zabraknie, ale jak młynarz skąpy i chytry, to czeladź i we młynie zazna głodu. Choć mąki przedniéj w bród było, musiałam gotować zaciérkę ze stęchłéj mąki i zagorzkniałéj, że aż w gardle drapało, albo zepsute ziemniaki, że jeść nie było można i zostawało dla trzody. Z mléka robiły się séry i sprzedawało do miasta, a gospodyni pilnowała, żeby które nie upiło. Sama jadła aż jéj się uszy trzęsły, młynarzowi i dziecku téż nie żałowała i krajali sobie kiełbasy po sztuku i jedli przed czeladzią, żeby zazdrość obudzić, tacy ludzie nie wstydni.

W lecie łatwiéj się głodny pożywi, w sadzie jaki owoc spadnie, można marchew wyciągnąć z grządki, krowy dużo mléka dają i można odpić po dojeniu i w polu można nałuskać zielonego grochu i który ziemniak upiéc, bo tego nikt nie ustrzeże i nie instygują za to. Była weselsza, nie narzekała i jak my szły na nieszpór, śmiała się i mówiła, że kiedyby jéj młynarz dał wysługę, toby sobie kupiła paciórki w kramie, trzewiki i fartuch w błękitne paski. Nabiła sobie tym fartuchem głowę i mnie się pytała: mojaś ty, jak ty myślisz, czy go będę miała?

Cóż ja mogłam powiedziéć, czy ja to w sumieniu młynarza siedzę? Aby ją uradować, to jéj przychwalałam, że dostanie wysługę i fartuch kupi. Tak się już cieszyła, jak żeby w tém było jéj szczęście, taka głupia. Gadała, że się wystroi do kościoła raz na całe życie i wszyscy jéj będą zazdrościli. Boże, jeszczeby takiéj kto zazdrościł. Nawet nie wiedziała, jaka jéj biéda na świecie i w tém było jéj szczęście.

Nadeszła jesień, słoty, liście poczerniały na drzewach. Rano biały mróz już leżał na trawie i na ściérnisku, a wiatr wiał taki zimny, że mróz po kościach przechodził. Mnie było dobrze, bo miałam stare buty, zieloną chustkę dość ciepłą, spałam w piekarni i ogrzałam się przy ogniu. Ona była bosa i miała tylko płachtę, to jéj zimno dokuczało. Wypędziła bydło w pole, a tu z nieba leje, okręciła sobie nogi słomą i schowała się pod wierzbę. Wróciła z pola sina, postawiłam przed nią na misce zaciérkę i ziemniaki, a jeść nie mogła i mówiła, że jéj zimno we wnętrzu. Wnet po świętym Marcinie zaczęła się zima sroga, nasypało się śniégu i mróz się wysadził taki, że pod nogami skrzypiało. Mróz zdrowemu i dobrze odzianemu nie szkodzi, ale ona nie była zdrowa i nie miała się czém okryć, zgięło ją we dwoje, wciąż płakała, poczęła kaszléć i narzekała, że ją w boku kłuje.

Byłam we młynicy, zasypywałam do kosza żyto, co się żubrowało. Młynarz wraca z miasta w baraniéj czapce, w sukiennym płaszczu, wąsy mu zmarzły i sapie. Zeszłam z drabiny, zdjęłam płaszcz

z niego i zawiesiłam na żerdzi, otrząsł śnieg z butów, idzie do stancyi i każe sobie dać wódki i kiełbasy. Wypił kielich jeden i drugi, pojadł i był czerwony na twarzy, ledwie mu krew z niéj nie wytrysła. Czeladnik wylééwał naczyniem wodę z pod palecznego koła, żeby nie zamarzło. Kasia przyszła po otręby do sieczki i trzęsie nią febra, chrypi i kaszle, aż jéj oczy na wiérzch wysadziło. Mówi do mnie, że tak ją w boku boli, jakby ją kłuł ostrym nożem i od bólu ani płakać nie może. Żal mi się zrobiło dziewczęcia, wzięłam za nią miarkę z otrębami i poszłyśmy do piekarni. Dałam jéj wypić odróbkę ciepłego mleka, a ona mnie prosi, żebym jéj radziła na kolkę, bo nie może wytrzymać. Cóż ja mogłam poradzić. Miałam chuścinę na głowie, a że już była dziurawa, to jéj dałam, żeby sobie szyję owinęła i ukroiłam jéj słoniny na dwa palce, żeby się wysmarowała. Młynarz zaszedł do piekarni i widzi u niéj słoninę, wydarł jéj z ręki i powstał na mnie okrutnie, że jego pracę marnuję, że obie jesteśmy próżniaki i różnemi słowami mnie sponiewiérał, że brzydko powtarzać. Wytrącił ją za drzwi i przykazał, żeby się nie ważyła przychodzić do piekarni i poszła do stajni porządek robić koło bydła.

Nie miał żadnego miłosierdzia nad taką chorą, a to się nie godzi. Ano bierze człowiek nie jedno na sumienie, potém pożałuje, ale nieraz bywa poniewczasie.

Mnie ostro przykazał, żebym jego mieniem nie szafowała i żebym okruszyny bez pozwoleństwa nie wydała, a jakby uwidział coś podobnego, to by mi źle było, bo on nie żartuje.

W południe gospodyni czeka na podój, a tu ani skopce nie pomyte, ani sieczka nie zaparzona i gospodyni słusznie wsiada na Kaśkę. Idę zobaczyć do stajni, co się dzieje, a ona leży przy krowach na słomie, cała w ogniu, aż gorąco od niéj bije i jęczy aż strasznie słuchać. A tu wieje przez szpary i bydło ryczy, jakby wiedziało, co się dzieje. Pytam jéj: Kasiu, co ci to? Ona patrzy już błędnie i nie wié, że się do niéj gada.

Poleciałam do młynarki i opowiedziałam, co jest. Ona się wzięła za głowę. Młynarz przewracał cioskami pszenicę na płachcie, słyszy, co gadam, stuknął o podłogę i zaklął: dziadoskie pokolenie, jeść temu dawaj, a jak potrzeba do roboty, to się położy na słomie.

Gospodyni go reflektuje: Możeby posłać po doktora? Srodze się zgniéwał i wrzasnął: Może ją weźmiesz do izby pod moję pierzynę i zapłacisz za nią do apteki? Umrze, to umrze, wielka rzecz i nie ma szkody, takich zdechłych dziadów dość na świecie.

Podał mi starą derkę, żebym Kaśce zaniosła do przykrycia i mnie kazał zrobić za nią przy bydle. Trzeba było robić za siebie i za nią.

Nasz młyn nie stawał, bo miał dużo wody i zawsze była robota. Trzeba było zasypywać do kosza, wymiatać ze skrzyni, mąkę odbiérać, suć do worków i nosić na górę, i w piekarni porobić i wody i drew nanosić, taką miałam uwijaczkę, że odetchnąć nie było czasu, i rąk i nóg nie czułam.

Jakie dziesięć dni leżała jak kłoda, gorąco wciąż szło od niéj a prosiła słabym głosem, żeby jéj dać się napić, to jéj podałam w garneczku wody albo mléka z podoju, a tak nie było w niéj siły, że się obrócić sama nie mogła i trzeba było ją dźwigać. Myślałam, że już przyjdzie jéj koniec. Jak twardo w człowieku siedzi dusza! w zimie, bez léków, przecie się jeszcze skrzepiła. Młody do czasu wytrzyma największą biédę.

Otóż zrobiło jéj się lepiéj, wstała i choć nie miała wiele siły, przecie nogi włóczyła za sobą. Plątała się powoli i robiła swoje, odbyła się z bydłem i we młynie pomogła. Nieraz jéj kazali zboże w miarce dźwigać, to dźwigała. Kto musi, to musi.

Przyszła kolęda. Powinszowały my młynarzowi i gospodyni szczęścia, zdrowia i pomnożenia się dobytku, dał nam wódki po kiéliszku, dostały my płótna na koszule i mnie dał cztery papierki a jéj dwa papierki. Ona tak się uradowała, że sobie nie mogła miejsca znaleść z uciechy, skakała, mnie ściskała i prosiła, żebym szła kupić z nią ten fartuch. Ja się nie cieszyłam, bo mi przychodziło więcéj wysługi, ale się nie dopominałam swego, bo wiedziałam, że nie wskóram.

Kaśka poprosiła i pani nam pozwoliła do miasta, zaszły my do sklepu i wytargowały ten fartuch. Zaraz się nim opasała, przypatrzyła się sobie, była bardzo kontentna i mnie pytała, czy jéj w nim ładnie i czy się spodoba. Była mizerna i wyschnięta, gdzieżby się taka mogła spodobać, ale nie powiedziałam jéj tego, aby jéj nie truć próżno.

Wracamy. Do młyna przyjechało kilka fur po mąkę i że dworu przywieźli pszenicę. Roboty było dużo, pszenicę trzeba było skropić, żyto odmierzyć a tu się zaklajstrował kamień i trzeba było podnosić i czyścić. Młynarz się zwijał a był zły i klął okrutnie. Mnie kazał wymieść czysto z pod paprzycy a Kaśce przykazał mąkę znosić z góry. Ona zamiast na górę poszła do stajni nowy fartuch schować, złożyła go porządnie i wetknęła z boku pod żłób, żeby się kto nie złakomił i nie porwał. Do młyna schodzi się rozmaity naród i nietrudno o takiego, co bierze, czego nie kupił. Furmani się śpie-

szą i wołają o mąkę a mąki nikt nie nosi. Wlecze się Kasia powoli ze stajni a młynarza gniew porwał i ryknął na nią strasznym głosem: płótno dostałaś, zapłatę wzięłaś, na południe zjadłaś a roboty od ciebie nie widzę. Miał w ręku pyrlik, co nim wbijał klinki, i pyrlikiem cisnął na nią z całéj siły. Trafiło ją w głowę aż się obaliła na podłogę. Furmany się z niéj śmieją a ona podźwignąć się nie może. Przyleciała gospodyni i wsiedli na nią oboje z młynarzem z gębą, że jéj się robić nie chce, że za parobkami patrzy i że taka niegodna nawet żyć na świecie.

Podniosła się, stąpiła na schody i znowu się obaliła a młynarka splunęła przed nią i wyścigała ją z młynicy, żeby nie zastępowała drugim i mnie kazała nosić za nią.

Już źle z nią było. Doiła jeszcze bydło, ale dźwigać już nie mogła, bo zaraz puściła naczynie. Nadeszła wiosna, młynarz przyjął pasterkę a ona leżała w stajni w niemocy i czekali my, kiedy się z nią skończy. Nadszedł maj, zieleniło się ślicznie a ona dochodziła właśnie. Wołała wciąż na mnie: Doroto, mojaś ty, chodź do mnie. Słyszałam z młynicy, że trzy dni tak wołała. Jak urwałam chwilę, to wybiegłam do niéj, choć młynarz na mnie powstawał. Pytam jéj: co ci to? A ona mnie chwyta za rękę i woła: ratujże mnie, nie mam ojca, nie mam matki nieboga, ty mi jesteś za matkę, na rany boskie pomóż a Pan Bóg ci zapłaci.

Taka durna,—myślała, że na śmierć pomóc można, jak jéj pomóc miałam? Mówiłam, że nie wiem, jak jéj radzić. A ona swoje woła: Dorotko, ratuj! Tak mi jéj żal było, że mi się aż na płacz zbiérało.

Na trzeci dzień przestała wołać. Myślałam, że już umarła i lecę do stajni. Żyła jeszcze, patrzy na mnie i mówi: Dorotko, popatrz, czy jest nowy fartuch pod żłobem. Spojrzałam i był na miejscu. Mówię to a ona mnie prosi: chciałabym na murawę do sadu, pod jabłoń kwitnącą, zaprowadź że mnie. Mówię do niéj: to cię zaprowadzę. Sparła się na rękach i zaraz legła, bo jéj już nie dało się podnieść. Byłam młoda, byłam mocna, wzięłam ją na ręce i podźwignęłam. Wyschła, jak szczypa i lekucienka była, jak gęś chuda. Położyłam ją na gęstéj murawie a jabłoń była obsypana kwieciem, jak krew czerwona, muchy brzęczały, słonko świeciło i było ciepło, miło, aż się dusza radowała. Siedzi na gałęzi sikorka i ćwierka a kwiecie pachniało, że człowiekowi się zdało, że jest w raju. Biédactwo tego nie czuło tylko jéj się zwidywało różnie przed końcem. Mówi do mnie: przed tobą Dorotko się zwierzę, ale mnie przed czeladnikiem nie zdradź, bo by mi zabrał wszystko. Młynarz dał mi całą wysługę, pójdę na jarmark, kupię paciorki i czerwoną wstęgę,

upletę kosę, pójdę do kościoła i spodobam się kawaleroni. Będą mi zazdrościły dziewczęta. Weźmie mnie sobie krawczyk, będę majstrowa i będę czeladzi szafowała i sprawię sobie kapelusz, jak pani. Matusia będą mieszkali przy mnie i usmażę im kiszkę, rzetelną kiszkę z kaszą. Potém mówiła głosem zmienionym, jakby krawczyk przy niéj siedział: jeżeli pan koniecznie mojego słowa żądasz, to masz je odemnie. Jestem uczciwa dziewczyna i wiem jako trzeba mężowi dochować wiary. Na mojéj cnocie pan możesz polegać, bo uczyłam się katechizmu i wiem, że jest ważny święty małżeński sakrament. Nie dla rozkoszy żadnéj za pana idę ani dla słodyczy, ale żebym panu była wiernym przyjacielem.

Tak ładnie mówiła, jakby z książki czytał i nadziwić się nie mogłam, skąd się to jéj wzięło. Potém się jéj zmieniło i poczęła miéć strach przed młynarzem i pokazywała: oho, idzie z laską ku mnie i chce mi odebrać nowy fartuch. Choćby mnie zabili, nie powiem, gdzie schowałam. Oj, gospodarz i gospodyni rykają na mnie, oni by człowieka zagryźli, jak wilki. Taki mnie strach zbiera przed nimi, że sobie rady dać nie mogę. Za co mnie bijecie po głowie, co ja zawiniłam. Dla Boga ludzie, ratujcie, chcą mnie zabić!

Przemawiam, aby ją uspokoić, ale nie rozumiała, co się do niéj mówi. Chwyciła się za głowę i krzyczy, że młynarz ciągnie ją za włosy. Potém poczęła stękać straszliwie.

Aż tu gospodyni woła na mnie ze sieni: Doroto, gdzie ty, pójdź odebrać pęcaki!

Zwinąłam się prędko, bo mi spokoju nie dawało i chciałam do niéj zaglądnąć. Przylatuję, nie rusza się, patrzę, bladziuteńka, jak chusta, gęba otwarta, muchy jéj siadają na twarzy, na oczach. Najsłodszy Jezu, już nie żyła! Narobiłam krzyku. Przybiegają młynarz, gospodyni i czeladnik. Młynarz spojrzał na nią, pogładził wąsy i wsiadł na mnie: czego wrzeszczysz głupia! Umarła, to ją wrzucą do dołu, nie pierwsza ona i nie ostatnia.

Czeladnik poskrobał się po głowie i mówi: dosłużyła się we młynie nowego fartucha i śmierci. Młynarz wsiadł na niego: zamknij gębę i nie gadaj, co do ciebie nie należy. Gospodyni także na niego powstała: cicho bądź, bo się zrobi z tobą krótka sprawa. Postawią cię przed komisyą i zaasentyrują cię na wojaka: A on na to. co mnie tam cudza rzecz obchodzi, ja się nie mieszam w żadną sprawę. Wtedy ja się pokłoniłam gospodarzowi i gospodyni i powiedziałam, że Kasia umarła od uderzenia w głowę i że się nie godziło ciskać tak na dziewczynę pyrlikiem. Ale zaraz na mnie wsiedli oboje i wygnali do młyna do roboty a sami zostali przy niéj, żeby się naradzić, co z nią począć.

O zmroku przyszedł po nią grabarz i zaciągnął na wózku do trupiarni. Trzeciego dnia mieli ją zakopać. Prosiłam się gospodyni, i pozwoliła mi na cmentarz. Wzięłam jéj nowy fartuch z pod żłobu i poszłam. Leżała w trumnie z niehyblowanych deszczek zbitych, opasałam ją fartuchem, żeby się choć tyle jeszcze ucieszyła, grabarz przybił wieko, wziął trumnę z grubego końca, mnie kazał od nóg dźwignąć i tak my ją zanieśli. Nie miała żadnego pogrzebu i ani ksiądz nie pokropił, ani jéj nie zadzwonili i było nas przy niéj dwoje. Jak dzisiaj pamiętam, dzień był ładny i ptactwo śpiéwało, grabarz spuścił trumnę do dołu, przysuł ziemią, zmówiliśmy pacierz nad nią, ja jedna po niéj zapłakała i wszystko się skończyło. Przecie taki człowiek bardzo biédny. Ot, marnie zeszła ze świata. Gdyby jéj młynarz nie dosięgnął pyrlikiem, była by jeszcze pożyła trochę, a tak ona, jéj biéda, i jéj krzywda leżą w grobie. Grób ma w samym kącie pod parkanem.

Czekaj pan, jeszcze się nie skończyło. Wracam do młyna i płaczę, jéj żałowałam a myślałam sobie, że i mnie wnet na taki koniec przyjdzie. Robota ciężka, nie znam żadnego wytchnienia, strawa zła, gospodyni nademną wydziwia, młynarz patrzy z pod oka i jak mnie kiedy dopadnie, to tak ze mną będzie, jak z Kasią było.

Młynarz na podworcu kamień klepał oskardem, widzi mnie wracającą i pyta: jak tam Kaśka, pogrzebiona?

Pogrzebiona — powiadam — przed sądem Pana Boga stoi, i my tam staniemy i będziemy zdawali sprawę z naszych uczynków.

Skądś wzięła mi się dziwna śmiałość, jak nigdy. Pocałowałam go w rękę i proszę: już nie chcę żadnéj zapłaty, niech wszystko przy was zostanie, ale mnie zwolnijcie ze służby, bo mi się tu uprzykrzyło.

Spojrzał srogo i rzecze: nie zwolnię ciebie, musisz wytrwać do Trzech Króli, odkąd przystałaś. Wtedy pójdziesz sobie, gdzie ci się podoba.

Ja na to: cztery roki służę a wciąż swoje powtarzacie. Dokądże tego będzie? Czy mi tu przyjdzie życie stracić?

On wtedy: jak życie stracisz, to cię pogrzebią, jak Kaśkę pogrzebali, i koniec na tém.

Ja znowu: niekoniecznie koniec, bo Pan Bóg miłosierny i biédnego człowieka ratuje. A jak mnie skrzywdzicie, jakeście ją skrzydzili, to odpowiécie przed sądem boskim za dwoje.

Wąsy mu się najeżyły, oczy zaświeciły jak wilkowi i wrzasnął: ty sługa, ja gospodarz, jak się ważysz wysiadać z gębą na mnie!

Zasapał się i spojrzał, czy gdzie kija nie ma. Taki miałam żal w sercu, tak mnie w tym młynie mierziło, żem się go nic nie bała.

Myślę sobie, niech się, co chce, dzieje. Wybije, to wybije a jak zabije, to będzie koniec ze mną i ze młyna pójdę do grobu. Śmierć nie taka straszna a w grobie ma się spokój wieczny. Ani nie ruszyłam się z miejsca. Pod ścianą stała żerdka, chwycił do ręki i na mnie się zamierzył. Patrzę mu w oczy, co to za człowiek, czy szatan w nim siedzi, że upamiętania nie ma i krzywdzi biedne sługi? Kubuś przybiegł z za węgła, chwycił go za nogi i prosi, żeby go ponosił. To jego gniéw przerwało, spuścił oczy, żerdkę cisnął i rzecze: boję się, żebym ci nie rozbił głowy, teraz ci dam spokój, ale jutro ci dojadę, że popamiętasz. Żeby cię sto dyabłów wzięło, żeby piorun siarczysty spadł na ciebie z nieba, ty łajdaczko!

Wziął dziecko na rękę, poszedł do młynicy, pochodził, potém się z gospodynią naradzał, czy mnie puścić, czy nie puścić ze młyna. Słyszałam, jak ze sobą rozmawiali, bo schowałam się przy drzwiach za worami z téj ciekawości. Gospodyni mnie chwaliła, że jestem dobra do roboty, ma ze mną wygodę i nie pozwalała puszczać. Powiedziała, że da mi raz i drugi po gębie, magistratem zagrozi i różnie przyciśnie, to się będę bała i nie będę się przeciwiła więcéj. Młynarz powiedział, że sobie rozmyśli, jak ze mną postąpić i nie rzekł ostatniego słowa. Wdział kapotę od święta, baranią czapkę, wziął laskę i wyszedł.

Znałam go już i wiedziałam, że gniéw w nim kipi i idzie do kasyny trunku napić. Czeladnik robił przy pytlu, młynarka grys odbierała a mnie kazała zasypać pszenicy do kosza. Mełli my czystą pszenicę do dworu. Czeladnik przyszedł ku mnie i spytał cicho: cóż tam Kaśka, już leży!

Rzeknę: jakżeby było inaczéj, leży. Z grabarzem we dwoje my ją pochowali. Przepasałam nowym fartuchem biedniątko.

A toś dobrze zrobiła, niech się choć tyle ucieszy. A z czém sprawiałaś się przed młynarzem na dworcu?

Rzeknę: nie sprawiałam się z niczém. Mierzi mnie w tym młynie i chciałam, żeby mnie puścił ze służby. Gdzie on tam puści, o mało żerdzią nie wybił.

On na to: po coś z nim gadała, wiész, jaki człowiek. Jeszcze ci dojedzie, jak tamtéj! I mnie tu markotno. Mąki światłéj tyle mają a robią kluski ze stęchłéj aż w gębie gorzko. Robota twarda, młynarz chodzi do miasta i pije herbatę na kasynie, a ty czeladniku rób za niego. Ja dzisiaj w nocy ucieknę. Już sobie kubrak i pradło schowałem pod jazem, jak młynarka spać pójdzie, wyjdę cicho i nie będą o mnie więcéj słyszeli. Mam u nich zasługi za trzy kwartały, zostawię wszystko, niech się moją pracą nasycą.

Mówię mu: Józek, nie uciekajcie bo będziecie mieli kłopot. Młynarz w magistracie znaczy, pogonią za wami żandary i nazad przyprowadzą. Czekajcie, może jako się zmieni.

E, ty głupia—powiedział—co by się zmieniło? Z młynarką doszedłbym do końca, ale z nim nijako nie poradzę. Raz się skończyć musi, niech się, co chce, stanie.

Mówię mu: bójcie się Boga, poczekajcie jeszcze trochę, poczekajcie choć dzisiaj. Ja bym także chciała uciec i chcę się was poradzić, jak to zrobić. Czy ja wiem, gdzie się obrócić, co ze sobą począć?

Gospodyni zobaczyłą mnie z czeladnikiem i poczęła instygować, że nie pilnuję roboty, że szukam z nim okazyi. Tedy sułam daléj pszenicę.

Pasterka przypędziła bydło, tedy poszłam doić, potém gotowałam z pośledniéj mąki zacierkę i myłam naczynie.

Noc zaszła a młynarza nie widać. Młynarka wyziéra za nim i mruczy, że się w kompanii napija i groszem sieje. Ja potém odbierałam mąkę a czeladnik był przy pytlu.

O północku młynarka kazała mi iść spać i sama poszła się położyć. Skoro świt budzę się i idę do bydła. Zasłociło się trochę. Wydoiłam, potém rozpaliłam ogień na nalepie. Przychodzi gospodyni i peniteruje, coby się stało, że młynarz nie przyszedł. Czy by się upił i śpi pod ławą. Zaklęła na niego i groziła, że się będzie musiał przed nią sprawiać.

Pasterka wygnała bydło do pola, wymiotłam ze skrzyni dwa razy, czeladnik naprawił koło stawidła i poklepał kamień, śrutowało się żyto na chleb gruby do wsi, młynarza nie ma, młynarka zachodzi w głowę i poczyna się frasować.

Aż tu zrobił się gruch w sieni, co takiego? Wybiegamy. Gróbarz prowadzi młynarza. Rany boskie, powalany ziemią, cały mokry, czarny, trzęsie się, jakby nie ten, co wczoraj. Stękał i kazał się zaraz położyć na łóżko.

Położyliśmy go a młynarka lamentuje i pyta, co się z nim stało? Gróbarz się sprawia, że znalazł młynarza na cmentarzu na Kaśczynym grobie i prowadzi go, bo nie mógł iść o własnéj mocy.

Młynarka wzięła się za głowę i pyta, skąd się młynarz wziął na cmentarzu. Tedy on sam przy ludziach opowiedział słabym głosem dziwne rzeczy, żeśmy się postraszyli wszyscy a nikt nie mógł wyrozumiéć, co w tém było. Coby było, wola boska, nic więcéj.

Pił on na kasynie z rzeźnikiem i z organistą i trunek mu poszedł do głowy. W nocy wraca sam, pobłądził sobie i ani rusz nie może trefić do młyna. Coś go ciągało w różne strony i chodził do koła sam nie wié którędy. Potém zaszedł na skopane zagony, a z za-

gonów przez parkan do jakiegoś sadu. Jemu tak się zdało. Szedł, szedł przez jakieś pagórki, niby widział jakieś kamienie, jakieś krzyże, ale myślał, że mu się tak zwiduje i tak zaszedł pod parkan z drugiéj strony. Był zmęczony, że już nie mógł iść daléj, stał na pagóreczku, na którym była ziemia świeżo wzruszona, siadł, było mu miękko i zasnął.

Najprzód miał sny miłe. Śniło mu się, że zboże pozwozili do młyna zdaleka i płacą od mielenia samymi talarami i że mu przy każdym korcu ostała miarka otrąb i miarka światłéj mąki. Talary cisnął do skrzyni, że zabrzękało. A tu przychodzi muzyka i zagrała ślicznie i pije wino z prefesorem i z samym jegomością.

Naraz śni mu się, że Kaśka wróciła z tamtego świata i dopomina się zapłaty, chwyciła go pod gardło i dusi. Chce się wydrzéć i poradzić jéj nie może, szarpie się z nią, aż się zadyszał i zaraz się zbudził. Patrzy, a tu wszędzie krzyże drewniane, kamienne, jak na naszym cmentarzu, z nieba leje, przemókł i zimno nim trzęsie. Przestraszył się, wstaje, a oto leżał na świeżym grobie, dlatego było mu miękko. Jeszcze go większy strach ogarnął, obalił się i począł wołać o ratunek. Gróbarz usłyszał, przyszedł, podźwignął go i pomógł mu zajść do młyna.

Młynarka zagniewała się i mówi:—Dobrze ci tak pijaku, upiłeś się i wódka cię zaprowadziła na cmentarz. Było nie pić, nie tracić, nie byłoby teraz wstydu i ludzkiego śmiéchu.

On na to: — Cicho, nie rób tartasu, nie chodzi mi o śmiéch ludzki, nie rozumiész temu. Świeży grób, co na nim leżałem, był grób Kaściyn. To ona mnie przyciągnęła na cmentarz.

Ledwieśmy wszyscy nie pomarli ze strachu. Młynarka wrzasnęła: — To dziadowskie plemię, nie daje jeszcze po śmierci spokoju. Bodaj w piekielnym ogniu gorzało, bodaj ją ancychryst smażył w smole.

On na to:—Nie klnij daremnie, ona nie ma za co w piekle gorzéć, kto inny tam gorzéć będzie. Tu mnie pod piersiami ciśnie, pośléj no po księdza, żeby mnie z grzechów rozwiązał i zaopatrzył.

Ona się przeciwi: — Na co po księdza, raczéj po doktora.

Młynarz na to:—Doktór mi nie poradzi. We mnie się wszystko zmieniło, to bliski koniec znaczy. Wszystko mnie boli we środku i kości mnie bolą. Pójdźcie tutaj czeladnicy.

Stałam przy drzwiach, tedy przystąpiłam do niego. Kazał sobie podać ze skrzynki pas, co w nim chował pieniądze. Kazał wytrząść przed siebie, odrachował trzydzieści papierków, wziąść mi kazał i powiedział, że to moja zapłata. Czeladnikowi zapłacił za trzy kwartały. Młynarka się chciała przeciwić, ale rozkazał srodze, żeby nie robiła breweryi, że tak być musi.

Kazał sobie przyprowadzić Kubusia. Chłopiec biegał za kurami po sadzie, zwyczajnie jak dziecko. Przyprowadziłam go przed ojca. Położył mu rękę na głowie i powiedział uczciwie, aż się w sercu zrobiło człowiekowi miło i jaki miałam żal do niego, o wszystkiém zapomniałam: — Zbierałem dla ciebie bogactwo, ale wszystko bogactwo na wiele się nie przyda, skoro człowiek zatraci sumienie. Boję się teraz, jak ja się przed sądem boskim z moich postępków i z ludzkiéj krzywdy wytłómaczę. Bierz sobie przykład ze mnie, że mi bogactwo w téj chwili cięży na duszy. Szanuj swoje, ale nie wydziéraj nikomu i żyj uczciwie.

Wszyscy my poczęli płakać, a młynarka najgłośniéj płakała. Teraz kazał zaraz wysłać po księdza. Młynarka mówi:—Nie trzeba.

On na to:—Co ty wiész, ja to czuję, że mój koniec nadchodzi. Jak rozkazuję, tak wykonaj.

Tedy gospodyni mnie iść kazała. Zebrałam się i poszłam.

Przyszedł ksiądz z Panem Bogiem, wyspowiadał go i zaopatrzył, a także przykazał posłać po doktora, bo tak się należy i chory powinien miéć około siebie staranie. Przyszedł téż i doktór, ale nie pokazał przy nim żadnéj sztuki, bo na śmierć nie poradzi. Młynarka dawała do apteki, ale to się nie przydało na nic.

Całą dobę jęczał, nie chciał ani jeść, ani pić, modlił się trochę na głos, potém aż piszczał z wielkiego bólu. Z wieczora począł konać, charczało mu w piersiach, podnosiło nim i miał konanie straszliwe. Dwie doby tak się męczył i umrzéć nie mógł, czasem syknął z bólu, jak gęś, co ją zarzynają. Daliśmy mu gromnicę, ale nie mógł utrzymać i upuszczał. Dopiéro drugiego dnia o północku, kiedyśmy wszyscy odmawiali nad nim litanie, westchnął ciężko, zamknął oczy i dokonał życia. Pogrzéb miał uczciwy, byli księża, światła moc i dużo narodu. Były cechy z chorągwiami i wieźli go na karabanie i dzwonili, przez całą drogę mu dzwonili. Trumnę miał z twardego drzewa malowaną. On tam już nie wiedział o téj paradzie, ale taki jest obyczaj i tak być musi. Młynarka dawała na wszystko chętnie pieniądze i uczciła go należycie, bo na to sobie od niéj zasłużył, wszak zostawil ją w wielkich dostatkach.

Po jego śmierci tak się stało. Za pół roku młynarka wydała się za młynarczyka. Młody mąż ożenił się z nią dla bogactwa, nie kochał jéj, napijał i bił ją. Młynarka wnet także się rozpiła i tak oboje hulali i wojowali, aż ludzi gorszyli takiém życiem. Ojczym potém wygnał Kubusia z domu i nic mu nie pomogło bogactwo i zamiast chodzić do szkoły, pasał bydło u ludzi. Młynarka za kilka roków umarła. Nowy młynarz tak pomataczył, że jemu się dostał rząd we młynie. Niedługo potém i on zmarł marnie i nie zostało po nim nawet wspomnienia. Ludzka krzywda nigdy na dobre nie wyjdzie.

Otóż widzi pan, że od tego wszystko zależy, u jakiego państwa służy sługa. Dobre państwo—dobra służba, złe państwo—zła służba. Na ten przykład, źle mi było we młynie, ale stamtąd dostałam się na dobrą służbę. Jestem tutaj wnet będzie dwadzieścia roków, państwo mi dają, co mi się patrzy i dostaję legularnie wysługę. Mam kilka stówek uskładanych w kasie i będzie się z czego na starość zaratować. Gdybym u złego państwa służyła, tego wszystkiego by nie było.

Otóż powiedziałam panu, jak jest prawda, a teraz pójdę rozpalić w kuchni, pani wróci wnet z wizyty, to zechce, żeby harbata była gotowa, a potém trzeba także usmażyć jajecznicę.

— Czekajże jeszcze — mówię — zwiédzałem tutejszy cmentarz niedawno i czytałem różne napisy na nagrobkach. Na jednym znalazłem na blaszce na dębowym krzyżu taki napis:

„Tu spoczywa młynarz Maciéj,
Był bogaty, wszystko stracił.
Prosi za sobą o ciche do Boga westchnienie,
Żeby mu sfolgowały czyścowe płomienie."

Ten krzyż znajduje się przecie na grobie młynarza Firka?

— Nie, panie, za miastem są dwa młyny, jeden dolny, niżéj grobli, co ma mało wody, drugi wyżéj grobli, co ma dużo wody. Ten krzyż, co pan o nim mówi, jest młynarza z dolnego młyna, a wystawiła mu go córka. Dobrze by było naszemu młynarzowi, żeby tylko czyścowe męki znosił, ale on pewnie siedzi głębiéj w otchłani. Zresztą, kto wié, jak tam jest; bo Pan Bóg bardzo miłosierny. Nasz młynarz leży kole kaplicy na prawo.

— Już wiem — powiedziałem. — Taki ma napis na kamiennym krzyżu:

„Młynarz Jędrzéj znalazł swój spoczynek,
Bez ojca został synek, bez młynarza młynek.
Pod tym krzyżem leży jego ciało,
Żył lat pięćdziesiąt, co jest dość mało."

— Tak jest, to grób jego, a napis pięknie mu wysztuderował czeladnik, aby się przychlébić młynarce. Ledwie młynarz oczy zamknął, począł się do niéj zalécać. Jużci gospodyni nie dałaby sobie sama rady i młyn nie może być bez gospodarza. Ale, jak już powiedziałam, źle trafiła i ona przepadła i Kubuś zmarniał i rozproszyło się wszystko bogactwo. Nie ma na świecie nic wiecznego, ale co z krzywdy ludzkiéj powstało, to trwa najkrócéj i wnet się rozsypie.

Tu Dorota wstała i poszła do swoich zatrudnień, a ja rozmyślałem nad tém, jak to po złych uczynkach niechybnie doczesna kara następuje.

A. Tristis.

HELENA MASSALSKA,

Księżna Karolowa de Ligne. Hr. Wincentowa Potocka.

(Podług dzieła p. Lucyana Perey, p. t. „Histoire d'une grande dame au XVIII siècle").

II.

KSIĘŻNA DE LIGNE.

Pretendenci: Książę d'Elboeuf. Książe de Salm, Książę de Ligne.—Zabiegi „czarnej kury".—Zamąż-pójście.—Portrety męża i teścia.—Zawód.—Pobyt w „Bel-Oeil", w Spa, w Brukselli.—Rezydencya paryska.—Macierzyństwo. Powrót do Bel-Oeil i podróż do Wiednia.—Kryzys.—Wyjazd do Warszawy.

Bale i teatralne przedstawienia, w których Helenka bierze udział, w klasztorze i po za klasztorem, nie służą wyłącznie do uzupełnienia światowego jéj wykształcenia. W praktycznym umyśle dam zakonnych, kierujących losami Abbaye-aux-Bois, mają one jeszcze cel inny. Zachwycając swą urodą, wdziękiem i dowcipem areopag złożony z przedstawicielek i p r z e d s t a w i c i e l i najpierwszych domów francuskich, daje się jednocześnie Helenka poznać osobom interesowanym, których nie brakuje w tém dostojném gronie, jako młoda osóbka, przeznaczona do stanu małżeńskiego, a posiadająca, obok urody wdzięku i dowcipu, imię arystokratyczne i stryja, który jest biskupem a więc bezdzietnym i opiekuje się nią jakby swoją córką, a więc zostawi jéj część przynajmniéj swego olbrzymiego majątku.

Jesienią 1777 roku zjawiają się naraz dwaj pretendenci. Pierwszy z nich przynosi w ofierze skromne wprawdzie i bardzo skromne dostatki, ale za to imię jedno z największych we Francyi: jest to książe d'Elboeuf, młodszy syn hr-y de Brionne, z domu Rohan-Rochefort i hr. Ludwika Karola Lotaryńskiego. Panią de Brionne spotkała Helenka w Chanteloup. O bliskiéj krewnéj téj pani, hr-nie de Rochefort, wspomina ona w swych pamiętnikach, jako o serdecznéj

przyjaciółce swego stryja. Nakoniec jeden z najlepszych paryskich przyjaciół tego ostatniego, margrabia de Mirabeau, ojciec sławnego trybuna, należy do stałych gości salonu hr-ny de Brionne. Tym sposobem kombinacya matrymonialna, mająca uszczęśliwić Helenkę, wprowadzając ją do wielkiego domu Lotaryńskiego, układa się naturalnym niejako porządkiem rzeczy. Margr. de Mirabeau bierze na się rozpoczęcie rokowań listem; wystosowanym do stryja biskupa, główna atoli rola, w nawiązanéj intrydze dyplomatycznéj, przeznacza się, jak należy, niewieściéj protagonistce. Protagonistka ta, stworzona właśnie do wszelkiego rodzaju intryg, ładna, przebiegła i ruchliwa, trafia się pod ręką, w osobie najserdeczniejszéj przyjaciółki margrabiego, pani de Pailly. Wielki Mirabeau zapewnia o niéj późniéj w jednym ze swoich listów, że „posiada ona dowcip pięciukroćstotysięcy aniołów czy dyabłów, jak się komu podoba". W małém arystokratyczném kółku, do którego otworzyły jéj podobno wstęp znane powszechnie sercowe stosunki z używającym wielkiéj wziętości margrabią, przysługuje jéj charakterystyczne przezwisko kury czarnéj.

Na nieszczęście dla kury czarnéj i dla sprawy powierzonéj doświadczonym jéj zdolnościom dyplomatycznym, Helenka nie należy wcale do tego rodzaju dobrze wychowanych pensyonarek, które, wzorem nieszczęśliwéj żony hr. de Choiseul-Stainville, idą do ołtarza na komendę w sześć godzin po otrzymaniu wiadomości o swojém przeznaczeniu. Jest to osóbka rezolutna, która z nabytego w Abbaye-aux-Bois doświadczenia wyniosła przekonanie że najlepiéj wybrać sobie saméj męża i przypatrzyć mu się dobrze zanim go się wybierze. I, na nieszczęście zawsze dla Lotaryńskiego domu, oczy jéj skierowały się w inną stronę i wybór jéj padł na innego pretendenta. Wypada zresztą przyznać, iż wybór ten nie jest bardzo szczęśliwym. Na jednym z panieńskich, płeć męzką wykluczających niby balów, na które uczęszczała Helenka, zjawił się niby przypadkiem młody i przystojny książę de Salm. Może reputacya którą wyrobił sobie w Paryżu, a która nie należy do najlepszych, może wieść o jego długach, o rozpustném życiu, o otaczającém go złém towarzystwie, o pojedynku wreszcie, w którym odegrał jakoby nie nadto chlubną rolę, nie doszła do uszu Helenki. Zapewne nawet, że nie doszła. Zapewne zobaczyła ona w nim tylko głośnego *homme à bonnes fortunes*, usprawiedliwiającego tę nabytą sławę ujmującą swą postawą i zapewne także małżonka, który zabezpieczy jéj stały pobyt pośród paryskich uciech i wykwintów we wspaniałym pałacu, świeżo zbudowanym na Quai d'Orsay (dzisiejszym pałacu Legii Honorowéj). Dość, że książę de Salm doczekał się z jéj

strony oznak wyraźnéj przychylności, że w dodatku hr. de Brionne przestraszyła ją jako surowsza jeszcze, według prawdopodobieństwa, świekra od téj, na którą trafiła jéj przyjaciółka, panna de Choiseul, i że, ulegając jéj przedstawieniom, stryj biskup odpisał margrabiemu de Mirabeau w sposób dwuznaczny, odraczając swoje postanowienie, wspominając o zamiarze przybycia do Paryża, a nie ukrywając kandydatury księcia de Salm.

Na szczęście atoli znowu dla Helenki czarna kura nie jest osobą skłonną do łatwego ustąpienia z placu. O kandydaturę księcia d'Elboeuf nie chodzi jéj, jak się rozumié; chodzi jéj o to, aby nie narazić się niepowodzeniem swych zabiegów hrabinie de Brionne, a więcéj jeszcze ciotce téj ostatniéj, księżnie de Ligne-Luxembourg. Owóż księżna, posiadająca podług świadectwa spółczesnych najbrzydszą twarz pięćdziesięcioletniéj kobiety, jaką widziano kiedykolwiek, „twarz tłustą, świecącą się, bez ružu bladości trupiéj, z trzema podbródkami" i podobieństwem, podług księżny de Tallard, do „topniejącéj łojówki", jest skądinąd osobą wielkiego rozsądku. Zamiast przeto gniewać się na panią de Pailly, woli wskazać jéj drugiego kandydata, równie blizkiego jéj serca, w osobie synowca swego męża, księcia Karola de Ligne.

Tym razem matrymonialne szanse księcia de Salm spotykają się z poważną konkurencyą. Syn księcia Karola Józefa, ulubieńca nietylko paryskich i wersalskich ale, rzec można, wszytkich europejskich salonów i dworów, potomek rodziny dzierżącéj w Niderlandach i w Wiedniu niezmiernie wysokie stanowisko oparte na rozległéj fortunie,—nie jest z tych pretendentów, których się lekceważy. Nadto, ostrzeżona pierwszą nie fortunną próbą, pani de Pailly bierze się tym razem umiejętniéj do rzeczy. Dowiedziawszy się, iż książę de Salm umiał zjednać dla swéj sprawy jednę z dam mieszkających w Abbaye-aux-Bois po za klauzurą, margrabinę de Mesnard, żonę rozwiedzioną margrabiego de Marigny, brata pani de Pompadour, zajmującą w klasztorze wspaniały apartament i przyjmującą najświetniejszą kompanią a często nawiedzaną przez Helenkę, trafia ona ze swéj strony inną drogą do klasztoru. Za jéj naprawą, trzy najlepsze przyjaciółki Helenki, młoda księżna de Choiseul i dwie panny de Conflans zaczynają nieznacznie oddziaływać na umysł swéj koleżanki. Główną przeszkodą do zwalczenia jest ów pałac na Quai d'Orsay, w którym wyobraźnia naszéj pietnastoletniéj księżniczki obrała już sobie siedlisko, wystroiła szereg wspaniałych salonów zaludnionych kwiatem towarzystwa paryskiego, roztoczyła szereg balów i zabaw wszelkiego rodzaju. Wypada wystawić naprzeciwko wspaniałości i rozkosze iście książęcéj rezyden-

cyi flandryjskiéj de Ligne'ów, w „Bel-Oeil"; otworzyć perspektywę spółczesnego pierwszorzędnego światowego i dworskiego stanowiska w Bruksełli, Wiedniu i Wersalu, wskazać prawdopodobieństwo, iż przy łączących go z Wersalem stosunkach, książę Karol-Józef nie sprzeciwi się, według wszelkiego prawdopodobieństwa, późniejszemu usadowieniu się swojéj synowéj w Paryżu. Zdaje się, iż piętnastoletnia księżniczka bierze pod uwagę z wielce trzeźwym rozmysłem wszystkie te widoki, i że pałac na Quai d'Orsay pada ruiną ostatecznie przed niemi, grzebiąc w swoich gruzach kandydaturę swego właściciela. Ten ostatni broni się jeszcze czas jakiś, ucieka się do heroicznych środków, np. do wystawienia na widok swojego portretu w salonie usłużnéj margrabiny de Mesnard. Skądinąd Helenka wzdryga się przed oddaniem tak pożądanego przez się pobytu w Paryżu na łaskę prawdopodobieństw i cudzéj dobréj woli, targuje się z zaciętością i uporem starego dyplomaty o zagwarantowanie bodaj trzymiesięcznéj corocznie rezydencyi nad Sekwaną. Przyjazd wszelako stryja biskupa kładzie koniec wszystkim niepewnościom i nieporozumieniom.

Dnia 25 lipca 1779 ich królewskie mości podpisują w Wersalu kontrakt ślubny; w cztéry dni zaś późniéj stryj biskup wespół z przybyłą umyślnie margrabiną Wielopolską odprowadzają szesnastoletnią pupilkę do ołtarza. Kontraktem ślubnym przynosi nowa księżna de Ligne swemu małżonkowi: klucz Mogilański, dwa pałace w Krakowie i jeden w Warszawie, oraz połowę dochodu z ziem Radziwiłłowskich, oddanych w zastaw jéj ojcu za sumę 1,800,000 złp. Z posagu tego stryj biskup gwarantuje roczny dochód w sumie 60,000 liwrów płatnych w Paryżu, a nadto, aby załatwić zgodnie, z życzeniami swéj pupilki sporną kwestyą rezydencyi paryskiéj bierze na siebie utrzymanie obojga małżonków przez czas ich dłuższego lub krótszego pobytu w stolicy nadsekwańskiéj. „Rzecz to jakich 30,000 liwrów rocznie, odzywa się on wesoło, w ciągu przedugodnych rokowań; mogę zrobić to poświęcenie, byle Helenka była kontenta". Książę Karol Józef, ze swéj strony, zabezpiecza swemu synowi roczny dochód 30,000 liwrów wraz z mieszkaniem w Bel-Oeil lub w jednym ze swych pałaców brukselskich i wiedeńskich. Po czterech latach i w razie przybycia potomstwa, dochód ten ma być podwojonym. Wyprawa, ofiarowana przez stryja biskupa, kosztuje 100,000 talarów; dar weselny—„la corbeille"—ofiarowany przez de Ligne'ów, pochodzi od sławnego Leonarda; koronki, obstalowane w Bruksełli i w Malines, są arcydziełami; klejnoty, oprócz dyamentów familijnych, wybierają się u Barriere'a i Drey'a, najpierwszych jubilerów paryskich. Helenka zostawia upominek każdéj z kolleża-

nek z klasy czerwonéj; stryj biskup zaś wyprawia wspaniały podwieczorek z l o d a m i dla całego pensyonatu, nie wyłączając małych n i e b i e s k i c h, które dostają w dodatku po funcie cukierków każda.

Ślub odbywa się w kaplicy klasztornéj; księżny de Choiseul, de Châtillon, de Mortemart i de la Valliere znajdują się w orszaku weselnym. Helenka, cudownie piękna w swym ślubnym stroju, zadawalnia wszystkich obecnych postawą swoją „pełną przyzwoitości i czucia“; kareta zaprzężona szóstką koni z pocztylionami, noszącemi różową, srebrem haftowaną liberyą księcia, czeka na małżonków u drzwi klasztoru, i przyjąwszy lekki swój ciężar, rusza pełnym galopem w stronę Brukselli.

A z sercem szesnastoletniéj małżonki co dzieje się przez ten czas? Nic bardzo ciekawego podobno, a przynajmniéj nic obiecującego dla przyszłego szczęścia młodéj pary. Serce to, może rozbudzone na chwilę ujmującą powierzchownością księcia de Salm, zasnęło napowrót, i przystojny także, rycerski, w kwiecie wieku będący książę Karol de Ligne nie dopukał się do niego. Dla czego? Odpowiedź może tu być tylko rzeczą domysłu, ale że domysł ten zbiega się z tém ogólném pojęciem o moralnym wizerunku Helenki, które narzucone nam zostało całością zebranych o niéj wiadomości, więc chwytamy się go w braku innéj wskazówki.

Książę Karol ujść może za prawdziwy ideał mężczyzny i żołnierza, prawego, szlachetnego i hartownego jak stal. Nikt nie zawiódł się na nim nigdy i nigdzie. Zawsze i wszędzie pełni on swoję powinność i więcéj jak powinność. Rozkochany w wojennéin swojém rzemiośle, nie żałuje ani pracy, ani krwi swojéj. Przywiązany po kilku miesiącach wspólnego pożycia do swéj żony uczuciem, w którém jest coś ojcowskiego raczéj niż mężowskiego, gotowym się okazuje do wszelkich dla niej poświęceń. Ale—jest jedno ale, które, wobec naszéj Helenki, paraliżuje wpływ wszystkich tych sympatycznych pierwiastków, a które uwydatnia się w pierwszém wrażeniu, sprawioném przezeń na umyśle młodéj narzeczonéj. Wracając z parloaru, gdzie choć trzymała oczy skromnie spuszczone, potrafiła jednak przypatrzyć się jak należy przyszłemu towarzyszowi życia, Helenka odpowiada jak następuje koleżankom, dopytującym się z łatwą do pojęcia ciekawością, jak wygląda ten p r z y s z ł y: „Blondyn, wysoki i podobny do matki swojéj, która jest bardzo piękną; ma postawę bardzo pańską, ale wydaje się zanadto poważnym i ma w sobie c o ś n i e m i e c k i e g o.“

„Coś niemieckiego“ — te dwa słowa mówią podobno bardzo wiele. Tak, jest to niemiec i w dodatku niemiec północny, a raczéj

jeszcze flamandczyk, nie tak zimno-krwisty, poważny i stateczny, jak się przedstawia z pozoru, entuzyasta owszem, romantyk i marzyciel, ale limfatyczny, ciężki, niemiecki marzyciel, z głową, sercem i temperamentem, z których nic nie przystaje do głowy, serca i temperamentu Helenki. Nie rozumie go ona od samego początku, nie znajduje w nim nic z tego, czego żądała jéj wyobraźnia, czuje się ze swojemi szesnastoma wiosnami nierównie bliższą jego własnemu ojcu. — Ten jest całkiém innym człowiekiem! Charakterystyka pojedynczych przedstawicieli téj rodziny pół-niemieckiéj, półfrancuskiéj, dostarcza z pokolenia na pokolenie ciekawego przykładu walczących z sobą sprzecznych pierwiastków, atawistycznych wpływów i sprowadzanych niemi przeskoków. „Ojciec mój—pisze książę Karol-Józef (teść Helenki)—nie lubił mnie; nie wiem dla czego, ponieważ nie znaliśmy się wcale. Nie otwierał nigdy ust do mnie, moda nie pozwalała wtedy być dobrym ojcem, ani dobrym mężem. Matka moja bała się go okrutnie. Porodziła mnie w paradnym robronie i umarła tak samo w kilka tygodni późniéj, czyniąc zadość jego upodobaniu do ceremonialności i wystawy.“ Ojciec ten dowiedziawszy się o awansie swego dwudziestoletniego syna na pułkownika własnego regimentu dragonów, pisał do niego: „Było to już dość wielkiém nieszczęściem dla mnie mieć waćpana za syna, bez tego dodatkowego nieszczęścia, które czyni waćpana moim pułkownikiem.“ — „Mości książe — odpisywał syn — jedno i drugie nie jest z mojéj naprawy i cesarz powinien odpowiadać przed waszą książęcą mością za drugie nieszczęście.“—W małżonku Helenki odzywa się niezaprzeczenie spadkowe echo dziadowskiego, twardego, sztywnego charakteru i temperamentu. A jednak całe jego wychowanie skierowaném zdawać się mogło do zwiększenia tych dziedzicznych rysów pod ciepłém tchnieniem rodzicielskiéj miłości. W księciu Karolu-Józefie sympatyczne pierwiastki, których ojcu jego brakowało, spotęgowały się i wyegzagerowały się niejako. Ten świetny kawaler, napełniający Europę całą odgłosem swych światowych i rycerskich przymiotów, sławą swego dowcipu, piękności i męstwa, wielbiony przez wszystkich spółczesnych i przez najrozmaitsze w ich liczbie głosy i powagi, przez panią de Staël, przez panią Genlis, przez hrabiego de Ségur, przez awanturnika Cazanowę, przez cesarza Józefa, przez cesarzową Katarzynę, przez Woltera, ten ulubieniec salonów, bohater buduarowy i niezrównanéj dzielności żołnierz, jest także ojcem niezrównanéj dobroci i dobroci wesołéj, przyjacielskiéj, pełnéj uniesień.

„Mam syna! — pisze z obozu na wiadomość o połogu żony. — Ach! jakże będę go kochał! Chciałbym już pisać do niego!...“

I pisze téż późniéj, w jakże serdecznych wyrazach i z jakiém, niemal naiwném wylaniem, w którém powaga ojcowska ustępuje na każdym kroku czułéj kamraderyi, zapieczętowanéj zresztą wspólnemi trudami i niebezpieczeństwami na polu bitew. Dzieckiem jest jeszcze ten syn ukochany, kiedy uczy go on tego, co sam umié najlepiéj: bić się, jak przystało na księcia de Ligne.

„Kazałem — opowiada — zawiązać małą utarczkę na froncie armii; dosiadłem konia z nim razem i puściłem się naprzód galopem, ująwszy jego małą rączkę i za pierwszym wystrzałem: „Byłoby to śliczną rzeczą, mój Karolku — odezwałem się do niego — żebyśmy razem mogli dostać dzisiaj mały postrzał.“ I mój Karolek śmiał się i klął i rezonował o nieprzyjacielskiéj pozycyi!“

Z tym mentorem, którego los jéj przeznaczył na teścia, Helenka sympatyzuje odrazu. Zamienia on dla niéj zamek „Bel-Oeil“ w prawdziwy pałac czarodziejski, nie daje jéj chwili odetchnienia między urządzonemi dla niéj zabawami, balami, polowaniami i przedstawieniami teatralnemi, pisze dla niéj wiersze, nie szczególne wprawdzie (bo choć krytyk wytrawny i smaku pełen, jest sam lichym autorem a jeszcze lichszym poetą), ale najlepszemi intencyami natchnione. Helenka jeździ konno z zapałem, śpiéwa, tańczy, gra z wielkiém powodzeniem rolę Zuzanny w „Małżeństwie Figara“, zawsze w towarzystwie wesołego teścia, który i do sztuki dramatycznéj żywi bardzo osobliwe a bardzo nieszczęśliwe upodobanie, gra sam fatalnie, zadawalnia się zwykle rolą rejenta sporządzającego kontrakt ślubny, albo lokaja przynoszącego list, wchodzi regularnie na scenę nie w porę, ale za to raz wszedłszy, nie chce już wyjść żadną miarą i odzywa się do aktorów tonem błagalnym: „Wszak nie zawadzam wam?“ Jesienią całe to, wieczną zabawą żyjące towarzystwo przenosi się do Spa, a późniéj do Brukselli, gdzie Lignowie posiadają wspaniały pałac i trzymają pierwsze bezprzecznie miejsce na dworze, który to dwór, pod rządami obecnego wice-króla, Karola Lotaryńskiego, pocieszającego się dość ochoczo po stracie żony swojéj, arcyksiężny Maryi-Anny (siostry cesarzowéj Maryi-Teresy), nie grzeszy zbytkiem powagi lub etykiety. „Ładny dwór— pisze książe de Ligne — wesoły, bezpieczny, przyjemny, urwisujący się, pijący i tańczący.“ Helenka znajduje się tu w swoim żywiole, występuje w cudownych toaletach, od Leonard'a lub panny Bertin, zmienianych cztéry razy na dzień, we wspaniałych karocach od Simon'a, malowanych przez artystów sprowadzonych z Wiednia; bawi się lepiéj jeszcze niż w Bel-Oeil, zachwyca wszystkich swą świéżością, urodą, wesołością i wdziękiem i rozlubowywa się w odbiéranych hołdach.

A mąż? Książę Karol zagłębia się w tajemnicach sztuki wojskowéj, albo dla rozrywki zajmuje się zbiéraniem oryginalnych rysunków wielkich mistrzów, których zostawia po sobie ogromny zbiór (przeszło 6,000 numerów katalogowanych w roku 1794 przez Adama Bartsch'a) i z których rytuje sam najpiękniejsze sztuki pod kierunkiem sprowadzonego umyślnie mistrza-rytownika. Zresztą nie przeszkadza zabawom żony, cieszy się owszem jéj wesołością i jéj ukontentowaniem. Ten niemiec jest poczciwym niemcem. Ale przestrzeń, dzieląca od samego początku tych upodobaniami, instynktami, temperamentami tak różnych małżonków, pogłębia się z dnia na dzień. Dodajmy, że jest jedna jeszcze przyczyna, która czyni tego męża obojętniejszym względem światowych rozrywek, oddalających od niego tę młodą i piękną żonę, która nawzajem czynić ją musi skłonniejszą do szukania w tych rozrywkach tego, czego potrzebuje jéj wyobraźnia i jéj serce: książę Karol, żeniąc się dla uczynienia zadość woli rodziców i zapewne także ocenionéj przez się potrzebie zabezpieczenia spadkobierstwa imieniowi i dostatkom książąt de Ligne, nie stanął u ołtarza z własném sercem nietkniętém jeszcze, z własną wyobraźnią otwartą na oścież dla nowych wrażeń. Jedno i drugie uwięzły już gdzieś na dworze wiedeńskim, czy w czeskich górach. Człowiek zaś to wyraźnie należący do tych, którzy n i e d a j ą s i ę dwa razy. Kochanka w tym mężu nie mogła już znaleść Helenka.

Nic nie wskazuje jednak, aby teraz już szukała ona tego kochanka gdzieindziéj. Nawet surowe oko księżny de Ligne, matki, nie potrafiło dopatrzyć w tym względzie nic zatrważającego dla małżeńskiego spokoju syna i dla honoru de Ligne'ów. Nawet pobyt w Brukselli nie przyniósł dającéj się dostrzedz zmiany w piérwszém wrażeniu, sprawioném przez nową synowę na umyśle poważnéj świekry. Było zaś to piérwsze wrażenie nader korzystném, jak świadczy następujący fragment listu pisanego do księżny de Ligne-Luxembourg:

„Bel-Oeil", 20 Sierpnia 1779.

„Nowe podziękowania zawsze, droga księżno, i zapewnienia méj wdzięczności. Dziecko nasze jest bardzo miłém, łagodném i potulném, nie mającém swojéj woli, bawiącém się wszystkiém, takiém jedném słowem, jakiego życzyć by sobie można, gdyby się sobie samemu tworzyło synowę. Podobała się bardzo wszystkim tym, którzy ją widzieli w tym kraju"....

Czy Helenka „nie miała swojéj woli", niedługo zapewne przekonała się zacna księżna. Widocznie jednak z właściwą polskiéj naturze giętkością, młoda cudzoziemka umiała przystosować się do nowe-

go otoczenia i nietylko do wesołych ale i do poważniejszych, patryarchalnych stron narzuconego sobie życia. Przyrosła natomiast szesnastoletnią swoją duszą do jednéj jego strony tylko, do téj świetnéj, błyskotliwéj, hulaszczéj nawet, ale urokiem wytworności, dowcipu i niewyczerpanego dobrego humoru opromienionéj strony, któréj uosobienie znalazła w swoim teściu, w tym niezmordowanym nigdy koryfeuszu wiecznego, skróś całéj Europy, od Paryża do Petersburga, tryumfalnie wiedzionego karnawału, chwalącym sobie to, że ze swego „Bel-Oeil“ może każdego czasu być w dwadzieścia cztery godzin w Paryżu, Londynie, Hadze, Spa i Bóg wié gdzie jeszcze; jadącym raz do Paryża na godzinę, drugi raz do Wersalu na dwadzieścia cztery godzin, dla pokłonienia się królowéj po połogu, trzeci raz z całą, do karety podróżnéj zaproszoną kompanią, na operę paryską; podejmującym najświetniejsze towarzystwo w Bel-Oeil, „trzymającym apartament“ w Brukselli, wysługującym się ich cesarskim mościom na wiedeńskim dworze, odbywającym z Katarzyną i z Józefem II podróż do Krymu, w poszóstnéj karecie, ozdobionéj cyframi brylantowemi i ciągnionéj przez szesnaście małych koni tatarskich, w któréj zasypiając na jedném, to znów na drugiém ramieniu dostojnych towarzyszy, budzi się, aby usłyszéć jednego z nich mówiącego:

„— Mam, jak słyszę, trzydzieści milionów poddanych, rachując tylko samych mężczyzn.“

Na co drugi odpowiada:

„— A ja dwadzieścia dwa miliony, rachując wszystko....“

....dowodzącym niebawem potém armią rosyjską pod Oczakowem, w towarzystwie Potemkina, i znowu pojawiającym się w Wersalu, witanym radośnie, ożywiającym dwór cały swoją obecnością, przewracającym do góry nogami wszystkie plany zabaw i urządzającym je po swojemu, napełniającym osobą swoją cały Wersal i cały Paryż, pokazującym się przy „lansknecie“ królowéj, przy „cavagnoli“ sióstr królewskich, przy wiście brata królewskiego, przy kwindeczu księcia de Condé, przy bilardzie króla, przy faraonie księcia de Conti; mówiącym wszędzie i zawsze wszystko, co mu do głowy przynosi i na usta nasuwa niewyczerpana werwa, koncepta, paszkwile, kalambury, komplementy, pomiészane czasem z poważnemi prawdami; wyśmiéwającym się z króla jegomości, powtarzającym sąd pana de Coigny o królewskiéj osobie i o osobie dwóch jego braci: ślusarz, filozof z prowincyonalnéj „kawiarni i bulwarowy błazen“, a zniewalającym Maryę-Antoninę do oddalenia go od swego boku na dwa tygodnie, dla uczynienia zadość obudzonym obawom Maryi-Teresy.......

Człowiek taki, teść taki, młody jeszcze, z powierzchowności nawet mimo przekroczonych dość dawno już czterech krzyżyków, i pełen życia, ruchliwy, wesoły i rycerski jak zawsze, nie mógł prawie, zwłaszcza obok takiego małżonka, jaki dostał się jéj w udziale, i w świetle tych pojęć, które wyrobiło w niéj wychowanie w Abbaye-ax-Bois nie przedstawić się oczom Helenki, jako ideał,—ideał, od którego poślubiony przez nią towarzysz życia odbiegł tak daleko! I wyobrażenie to, raz przyswojone, nie mogło znowu nie doprowadzić jéj fatalnym trybem, do téj konkluzyi, że ten towarzysz życia nie jest tym, którego miała ona prawo wyglądać od przeznaczeń swoich, i którego byłoby wybrało jéj serce, gdyby nauczone doświadczeniem było umiało wybiérać.

Konkluzyą tę nieuniknioną dobywa wszelako na jaw, przyprowadza do wyraźnego sformułowania, przewrót dopiéro w dotychczasowym trybie małżeńskiego pożycia nowożeńców, spowodowany co prawda niespodzianą dla staréj kiężny de Ligne interwencyą samoistnéj i bardzo nawet energicznéj woli młodéj księżny. Jesienią 1780 już roku zapadło postanowienie, wymożone na niechętnym mężu i na niechętniejszéj jeszcze świekrze, że Helenka spędzi zimę następną w Paryżu—więc zdala od świekry, która nie rusza się z Bel-Oeil daléj, jak do Bruksellі lub Spa, i zdala nawet od męża, który zatrzymany obowiązkami służbowemi w granicach państwa austryackiego, nie będzie najczęściéj w stanie zaglądać aż do Paryża, nawet w ciągu otrzymywanych urlopów. Książę Karol przyjmuje stoicznie ten wyrok wielomiesięcznego rozłączenia. Nie dość na tém. Instalacya przyzwoita młodéj księżny de Ligne nad Sekwaną wymaga dwóch rzeczy: pałacu jak należy i prawa do „taburetu“ na pokojach królowéj jmci w Wersalu. Inaczéj pokazać się swym znajomym paryskim młoda księżna nie może, a przynajmniéj nie chce. Dla pozyskania pierwszego warunku trzeba pieniędzy, owóż na nieszczęście, toalety od Leonard'a, ekwipaże od Simon'a wyczerpały do dna prawie kasę nowożeńców. Drugi warunek dałby się osiągnąć z pomocą posiadanéj w rodzinie de Ligne'ów spadkowym niejako tytułem grandezzy hiszpańskiéj; ale aktualnym posiadaczem téj godności, która jemu samemu użycza niejakich przywilejów na tak chętnie uczęszczanym przezeń dworze wersalskim, jest książę Karol-Józef. I naturalnie książę Karol, mąż Helenki, wzdryga się przed myślą narzucenia w tym względzie uwielbianemu przez się ojcu bolesnéj dlań zapewne ofiary. Helenka usprawiedliwia wszelako w tym przypadku pszysłowie: *ce que femme veut...* (którego trafność mniéj jeszcze wątpliwą zda się w zastosowaniu do matrymonialnych stosunków): książę Karol pisze do ojca. Pisze o sta-

nie kasy swojéj i o g r a n d e z z y. Odpowiedź jest tak charakterystyczną, tak malującą człowieka, tak rozkosznie lekkomyślną, wesołą a poczciwą, że powstrzymać się trudno od powtórzenia jéj.

Wersal 10 Września.

„Nie prawdaż mój drogi Karolu, że to pocieszna rzecz być ożenionym? (Jestem przekonany zresztą, że dasz sobie zawsze radę w tym względzie). Wypada być nim mniéj lub więcéj, stosownie do okoliczności. Głupcy tylko nie umieją wyzyskać jak należy téj kondycyi; tymczasem masz bardzo ładniutką żonę, która bez ujmy dla honoru twego mogła by być twoją metresą. Chociaż nazywamy się, ty, ja i wszyscy z ojca na syna, Lamoralami, bez świadomości mojéj czy świętego to jakiego imię, nie jestem dość moralnym, moralistą i moralizującym, aby prawić kazania, ale kpię sobie z tych, którzy nie wierzą w moję moralność; polega ona na tém, aby uszczęśliwiać wszystkich dokoła mnie. Jestem pewny, że ta moralność jest twoją także; bez całego regimentu zasad, mam ich cztery czy pięć takich, przeznaczonych dla drugiego stopnia edukacyi, tak jak w pierwszym stopniu mówiłem ci, że umarłbym z rozpaczy, gdybym cię widział kłamcą lub tchórzem. Niezawodnie też przyswoiłeś sobie dobrze, mój chłopcze, tę krótką naukę.

„Mamy więc tedy interesa teraz! Weź tyle pieniędzy, ile ich będziesz potrzebował i ile moi plenipotenci będą ich mieć, albo ich znajdą: otóż i jeden interes załatwiony.... Królowa mówi mi, że popchnie moję sprawę z Koeurs (1), a kiedy jéj powiadam, że moje s e r c o w e s p r a w y idą dobrze, odpowiada mi, *que je suis une bête.* Koeurs załatwiony, to dwa interesa załatwione. Twój stryj, biskup wileński, który wierzy w to, że ty i ja będziemy może kiedyś królami polskimi, chce abyśmy mieli indygenat; pojedziemy po indygenat. Trzeci interes załatwimy.

„Ciotka nasza z Tuileriów chce, ażeby żona twoja miała t a b u r e t; chce się twojéj żonie do Wersalu i żebym w tym celu odstąpił wam moję g r a n d e z z ę. Napisałem już o to do króla hiszpańskiego i do ministra i mowiłem z ambasadorem. Czwarty interes załatwiony kosztem jednego kataru, który mnie chwycić może przy wysiadaniu u bramy pałacowéj, ponieważ tylko karety grandów hiszpańskich wjeżdżają na dziedziniec, tak jak w pałacu Luxemburskim i gdzieindziéj.

„Otwierają się zresztą dla mnie dwie gałęzi oszczędności: gra i łóżko, które już mnie nigdy nic kosztować nie będą.

---

(1) Majątek położony we Francyi, o który toczył się proces.

„Co mi się najwięcéj przykrzy, to słuchać ludzi rozumnych mówiących tyle głupstw, słuchać o wojnie z ust fezerów, którzy nie widzieli nigdy nic prócz parady, a jeszcze widzieli ją źle; o bezinteresowności z ust kobiét, które póty męczą królowę, tysiąc razy za dobrą, i ministrów, dopóki nie złapią jakiéj pensyi; o uczuciu z ust innych, które miały dwudziestu kochanków. A potém idą intryganci! zarozumiali! złośliwi! Psuje mi to czasem krew; ale w kwadrans późniéj myślę o czém inném.

„Czy chcesz jeszcze jedno głupstwo z méj fabryki, uznane za takie przez całą rodzinę królewską? Wiész, gdzie siedzę na parterze teatru miejskiego, pod lożą króla jmci; znasz zwierciadło z „*La Fausse Magie.*" Pod koniec sztuki zimno zrobiło się okrutne i król jął skarżyć się na nie oraz na chłód aktorów. „Pochodzi to, rzekłem mu, z rozwiązania, które jest *à la glace.*" Dwaj bracia (królewscy), między innemi, zahukali mnie głośno za ten płaski koncept. Rozkoszne to dla mnie życie tu, w Wersalu, *une vraie vie de château.* Ściskam żonę twoję i matkę twoję za to, że była dość dowcipną, żeby zrobić mi takiego jak ty Karola.

„P. S. *A propos*, mam już w głowie klomb dla mojego Karola, fontannę, która będzie nosić imię Heleny, i altanę dla ich dzieci.

„Wezmę się do roboty około nich, skoro tylko opuszczę Wersal, aby biedz powiedzieć wam wszystkim *tutti quanti*, że was kocham z całego serca."

We wrześniu tedy, 1784 roku młoda księżna de Ligne usadowiła się w bardzo pięknym pałacu, kupionym przy Chaussée d'Antin. I niebawem ruchliwy, błyszczący i upajający świat stołeczny porwał ją całą w wir swych zabaw i uciech. Dla męża, pogrążonego zawsze w studyach wojskowych, zatrzymywanego najczęściéj w Wiedniu obowiązkami służbowemi, nie wiele mogło się zostać. Mąż ten zresztą, nawet kiedy zjawia się w Paryżu, nie wygląda na swojém miejscu śród nowego tego otoczenia, tak mało stworzonego dla siebie. Ze swoją przyrodzoną statecznością umysłu, z upodobaniem do nauk i zajęć poważnych, z romantycznym, iście niemieckim kierunkiem wyobraźni, odskakuje on zbyt rażąco od tła towarzyskiego, złożonego z ludzi lekkich, sceptyków, powiérzchownych we wszystkiém, w wykształceniu i w uczuciach. Ludzie ci, przypatrzywszy mu się, osądzili jednomyślnie, że jest on „nudnym" a Helenka skłoniła się łatwo do kontrasygnowania tego wyroku, równającego się pod względem towarzyskim, nawet w dzisiejszych, mniéj wyłącznie w kierunku salonowym rozwiniętych stosunkach, aktualnemu dekretowi na śmierć. Wchodzi on zresztą tutaj, ten nudny

małżonek, w ciągłą styczność i w ciągłą paralelę ze swoim własnym ojcem, który tu jest w swoim żywiole, zajmuje tu wszędzie piérwsze miejsce i spycha mimowolnie na drugi plan ukochanego przez się ale tak mało podobnego do siebie Karolka. I ustawiczny ten kontrast przyczyniać się musi do umniejszania tego ostatniego w oczach żony, do odzierania go z resztek tego uroku, bez którego miłość nie obchodzi się, nawet w małżeństwie.

Jednak niemasz śladu, aby, oprócz ran zadanych miłości własnéj, (i zapewne także właściwym jego poważnemu umysłowi pojęciom o normalnych warunkach małżeńskiego pożycia) książę Karol wyniósł z téj nadsekwańskiéj rezydencyi swéj płochéj towarzyszki jakąkolwiek dotkliwszą obrazę. O stanie jego serca powiedzieliśmy wyżéj. Serce zaś Helenki, jeżeli zabiło silniéj w tym czasie, dla jakiegoś na posadzkach wersalskich, czy w *Chantilly* u księcia de Condé, czy u *Petit-Bourg* u księżny de Bourbon, czy *au Temple* u księcia de Conti, napotkanego tancerza, tedy nie zdradziła ona przed nikim tego sekretu. A jeżeli nie zdradziła go, z tą otwartością, stanowczością i bezwględnością, które pozostają od początku do końca zasadniczemi cechami jéj charakteru, tedy najprawdopodobniéj że nie było żadnego sekretu. Ze wszystkiego tego, co stanowi świętość i urok małżeńskiego życia, Helenka zachowała jedno tylko, ale zachowała rezolutnie. Między nią a rzeszą lekkomyślnych rówienniczek, upuszczających, tak jak wice-habina de Laval, pachnące bileciki, nawet w obrębie murów klasztornych, pozostał jeden próg którego nie przekroczyła podobno.

W dodatku, z końcem 1786 roku zachodzi wypadek, oddawna wyglądany z niecierpliwością, który ścieśnia rozluźnione węzły między źle dobraną parą, oddalając jednocześnie Helenkę od świata i jego pokus. Młoda księżna de Ligne powija córkę, która otrzymuje na chrzcie imię Sydonii. I zdaje się, jakoby nowa rola, do któréj powołuje ją to małe stworzonko, przyswoiła ją sobie łatwo i całą. Widzimy ją, za nadejściem wiosny, opuszczającą wcześnie Paryż i przenoszącą się do Bel-Oeil. Kilkoma miesiącami późniéj, niepokój panujący od dość dawna pośród ludności flamandzkiéj, przybiera nagle groźne rozmiary. Ludność ta, przywiązana do swych obyczajów, przywilejów i ustaw kościelno-społecznych, oburza się przeciw reformatorskim zamachom Józefa II. Pobyt w Bel-Oeil staje się niebezpiecznym. Jednak matka Sydonii nie wraca do Paryża. Jeszcze przed wybuchem buntowniczych zamieszek, mąż jéj powołanym został do Wiednia przez marszałka de Lascy, dla wzięcia udziału w prowadzonych sekretnie przygotowaniach do nowéj kampanii tureckiéj. I tym razem młoda księżna de Ligne podąża za mężem.

I tu dopiero, w Wiedniu, następuje moment krytyczny, który wyrywa na zawsze ulubioną wychowankę pani de Rochechouart z objęć męża, z zacnego koła rodzinnego, które ją tak serdecznie przygarnęło, i z grona wreszcie nietylko wiernych żon ale i wiernych obowiązkom swym matek. Po zimie przebytéj w stolicy naddunajskiéj, gdy książę Karol udał się za swym marszałkiem do armii, młoda księżna opuszcza Wiedeń, zostawia dwuletnią córeczkę pod opieką babki—i nie wraca już nigdy.

Cóż się tedy stało? Na kogo spada odpowiedzialność téj bolesnéj domowéj katastrofy? Historykowi bezstronnemu wolno co najmniéj zawahać się w wymiarze sprawiedliwości. Przeniesiona z okolic wersalskich na dwór wiedeński i z buduarów nadsekwańskich w środek arystokratycznych sfer wiedeńskich, Helenka spotkała się z nowym dla siebie światem i z nowemi warunkami życia. To wszystko, co jéj zjednywało tam rolę światowéj bogini, otoczonéj hołdami, i pozwalało zajmować, wobec upokorzonego cokolwiek małżonka, wyniesione na niedostępny dlań poziom, górujące stanowisko: piękność, wdzięk, dowcip, zalotność, swoboda ruchów i słowa, wszystko to rozbija się tu o nienaruszalne kadry panującéj i trwałéj hierachii towarzyskiéj. Towarzystwo to ma swoje boginie, bynajmniéj nie skłonne do ustąpienia komukolwiek zajmowanego przez się i zazdrośnie strzeżonego miejsca. W ich liczbie polkę nawet jednę, księżnę marszałkową Lubomirską, Czartoryską z domu, którą pani Geoffrin, w swéj korespondencyi ze Stanisławem Augustem, obdarza przydomkiem „Aspazyi". „Aspazya" otworzyła chętnie młodéj przybyszce progi wspaniałych swych salonów, ale pozostała w nich jedyną królową. Helenka z m a l a ł a jakoś w tém nowém otoczeniu. Jednocześnie zaś, drogą odwrotnego, ale tak samo naturalnego procesu, mąż jéj u r ó s ł nagle. On teraz znalazł się tu u siebie, w gronie dawnych znajomych, przyjaciół i krewnych, pośród którego poruszać się umić swobodnie, w poważniejszéj bądź co bądź i cięższéj także atmosferze, pośród któréj szlachetne jego rycerskie przymioty dobywać się na wierzch mogą; to zaś, co jest w nim sztywnego, niezgrabnego i ciężkiego, właśnie niknie nie postrzeżenie. Niemiec ten, który bywał śmiésznym w Wersalu lub w Chantilly, jest tu takim jak drudzy, dzielniejszym tylko, a poważniejszym od wielu. Rzecz prosta, iż odzyskana ta wyższość miłą dlań być musi; rzecz prawdopodobna, że mimowolnie nawet, musi on dać ją uczuć swéj towarzyszce, zapoznającéj się w ten sposób z twardém prawem odwetu.

I w ten sposób wątła od samego początku nić uczucia wiążąca z sobą dwie te istoty, nadwerężona już w Paryżu z jednéj strony, doczekuje się z drugiéj strony równie niebezpiecznego targnięcia.

Czy przywiązanie Helenki do jednego z obowiązków małżeńskich, nienaruszonego dotąd przez się, było by wytrzymało i tę próbę? Nikomu nie wolno odpowiedzieć przecząco. Tak jest, zapewne, gdyby próba była się ograniczyła do ran nawzajem poniesionych przez miłość własną. Ale zetknięcie się z wiedeńskim światem arystokratycznym zgotowało jéj inne, boleśniejsze ciosy.

W szerokiém kole sympatyi, otaczających teraz księcia Karola, piérwsze miejsce przed towarzyszami obozowymi i przyjaciołmi zajmują przyjaciółki,—młode kobiety wyrosłe, wychowane razem z jego siostrami a po części i razem z nim samym i zachowywujące w obejściu się z nim ton poufałego koleżeństwa. W ich liczbie poznaje Helenka młodą, niezwykle powabną i urokiem niezwykłego losu otoczoną hrabinę Kińską, Dietrichstein z domu. Spotyka ją często w domu zaprzyjaźnionéj ściśle z de Ligne'ami a przez całe towarzystwo codziennie prawie nawiedzanéj hr. Thun, i z właściwym kobiecéj naturze, subtelnym instynktem odgaduje w niéj tę rywalkę, która jéj coś więcéj, niż salonowe postradane teraz tryumfy, i dawniéj i na zawsze wydarła.

Los téj przyjaciółki księcia Karola jest dziwnym, w rzeczy saméj, i jakby przeznaczonym do poruszenia strun, drgających cicho ale silnie w jego romantycznym temperamencie. Skłoniony, przez rodziców do zaślubienia przysposobionéj dlań od dzieciństwa małżonki, młody Kiński przybył z odległego garnizonu Węgierskiego do Wiednia na godzinę przed ślubem. Stanął przed ołtarzem, odprowadził żonę do domu, pocałował ją w rękę i odezwał się do niéj w te słowa: „Pani, spełniliśmy oboje wolę naszych rodziców; teraz zaś z żalem opuszczam panią, ale wyznać jéj muszę, że oddawna przywiązany jestem do kobiety, bez któréj żyć nie mogę i do któréj wracam.“ Kareta pocztowemi zaprzężona końmi, czekała na tego fantastycznego oblubieńca, wsiadł do niéj i nie pokazał się więcéj. Szesnastoletnia i prześliczna podobno oblubienica pozostała tedy w kondycyi społecznéj nieokreślonéj ani panną, ani żoną, ani wdową, ani rozwódką. Łącząc zaś z pięknością, zawsze na wiarę podań, umysł przyjemny i najlepsze serce, stanowiła wcieloną pokusę. Spotkał tę pokusę na drodze swojéj książę Karol, jeszcze przed epoką, która zbliżyła go do Helenki, i padł przed nią tak, jak padają bohaterowie niezłomni: ugodzony śmiertelnie. Testament jego świadczy wymownie, jaką rolę miłość ta odegrała w jego życiu, jak dalece owładnęła całą jego duszą i jak mało zostało się, w dopełnionym przed ślubem już podziale uczuć dla biédnéj, szesnastoletniéj także i także ciepłego tych uczuć uścisku, bezwiednie nawet, potrzebującéj małżonki. Jest nadto w tym testamencie data: *21 wrze-*

śnia, 1787 r., wskazująca iż podczas obecnego właśnie pobytu w Wiedniu stosunek z porzuconą przez h-go Kińskiego towarzyszką lat dziecinnych, utrzymujący się dotąd podobno w czysto idealnéj sferze nieokreślonych sympatyi, przybrał odmienny charakter...

Owóż tedy okoliczności łagodzące surowość wyroku, który by inaczéj dosięgnąć musiał płochą ex-pensyonarkę z Abbaye-aux-Bois w otwierającéj się teraz fazie jéj zawodu. Dopóki nieświadomość przypuszczać jéj kazała, że brak kochanka w poślubionym małżonku był przyrodzonym brakiem i los jéj powszednim losem czułych serc w zrządzoném przez ślepy traf zetknięciu z lodowatą bryłą antagonistycznych natur, sympatycznego pierwiastka pozbawionych,—dopóty poczucie obowiązku mogło być w niéj silniejszém od wszelkich pokus, nakazując jéj godzenie się z przeznaczeniem. Teraz przeznaczenie to odkryło się jéj oczom z inną, nieznaną dotąd twarzą. Ten mąż, którego przypuszczała zimnym i nieczułym, ma kochanka w sobie, ale kochanek ten należy do innéj! Ten poślubiony towarzysz życia, któremu dotrzymywała dotąd wiary, złamał sam wiarę tę w chwili, w któréj ją ślubował, był zdrajcą już na ślubnym kobiercu!

I proszę patrzyć, co się dzieje wobec tego tragicznego odkrycia ze skrwawioném sercem polskiéj dziewczyny, wyrosłéj na obczyźnie, wybujałéj w trebhauzowéj atmosferze salonów nadsekwańskich! Czy pomyśli ona o powroeie do Paryża, o pogrążeniu się napowrót w wirze rozkosznym tamtejszego życia, o szukaniu w jego błyszczącym i hałaśliwym odmęcie bodaj zapomnienia, jeżeli nie czego innego jeszcze? Nie, coś nowego a przynajmniéj zapomnianego dawno i, sądzić by można, zanikłego, przebrzmiałego na zawsze, odzywa się w tém sercu. Brutalna rzeczywistość rozdziéra przed jéj oczami tęczową mgłę długoletnich snów i upojeń, i ta pensyonarka z Abbaye-aux-Bois, ta późniejsza właścicielka taboretu na pokojach wersalskich i koryfejka zabaw nadsekwańskich budzi się—polką! Upomina się u męża o pozwolenie odwiedzenia swego stryja i odjeżdża jesienią 1788-go roku—do Warszawy!

III.

Hr. WINCENTOWA POTOCKA.

Pobyt w Warszawie.—P. Podkomorzy w. k.—*Tête-a-tete* i deklaracya *en forme.*—Platoniczny romans.—Przyjazd pani Podkomorzyny. *Coup de tête.* Wyjazd do Niemirowa.—Pobyt w Kowalówce.—Bezskuteczne starania rozwodowe.—Śmierć księcia Karola.—Ślub o północy.—Szczęście!

Tak jest, szuka ona zapomnienia, szuka rozrywki i odurzającego zgiełku zabaw, biédna, rozczarowana i od zdradzieckiego za-

chodu uciekająca litwinka—ale szuka ich nad Wisłą. Opuszczony oddawna pałac przy ulicy Miodowéj ożywia się i zaludnia. Niebawem Warszawa cała wielbi piękność, wdzięk i ujmującą gościnność nowéj jego mieszkanki, współzawodniczącéj z gronem lubych rowieśniczek, którym na imię: księżna marszałkowa Lubomirska, księżna Adamowa Czartoryska, krajczyna Potocka, księżna Kurlandzka... Dzisiejsza francuska autorka dosłuchała się, nie umiem powiedzićć gdzie, echa złośliwych paszkwilów, wyrażających się nieprzystojnie (i dość niespodzianie), o pierwszéj z tych pań, że robi bogaczami tych, których kocha, o drugiéj (właścicielce Powązek i Puław)! że ich robi nędzarzami, obdzierając ich do ostatniego grosza, o dwóch ostatnich, że dbają wyłącznie o swoję uciechę, nie troszcząc się o resztę. Nie śmiem zapisywać się na fałsz przeciwko autentyczności tego d o k u m e n t u: złośliwość ludzka należy do tych rzeczy, wobec których normalne zasady prawdopodobieństwa tracą moc wszelką. W każdym razie, księżna de Ligne jest szczęśliwszą. Wobec młodéj téj, z Paryża i Wiednia przybywającéj, sławą nadsekwańskich i naddunajskich powodzeń poprzedzonéj, a głośno upodobania do Warszawy i jéj mieszkańców objawiającéj pół-cudzoziemki, złośliwość znajduje się rozbrojoną przynajmniéj na wstępie. Słychać tylko o niéj, że tańczy cudownie menueta, gra komedye francuskie jak przystało na uczennicę słynnego Molé, i jeździ konno jak Diana—wynagradzając sobie pod tym względem długą przerwę w ulubionéj rozrywce, spowodowaną przez troskliwość mężowską dla jéj delikatnego zdrowia.

Aliści, w tłumie wielbicieli, zjawia się jeden, który niebawem wyróżnia się od wszystkich, albo raczéj którego wyróżnia sama księżna de Ligne zachowaniem się względem niego. Wkrótce sto par oczu postrzega i sto ust komentuje zmianę zachodzącą w dotychczasowym sposobie życia młodéj pani. Przestaje ona należéć do wesołego grona, napełniającego wrzawą wszystkie salony miejskie i podmiejskie, rozkoszny pałacyk pod-Blachą i urocze Powązki; zrzadka tylko spotkać ją teraz można w kilku uprzywilejowanych domach,—w których zjawia się jednocześnie jeden z najświetniejszych kawalerów z królewskiego otoczenia, podkomorzy w. k. Wincenty Potocki.

Enigmatyczna figura! Trzydziesto-ośmioletni już mężczyzna, ale nie ustępujący najmłodszym towarzyszom na polu salonowych i buduarowych popisów. Używający ustalonéj i usprawiedliwionéj reputacyi męża *à bonnes fortunes*, a zachowujący stale w stosunkach z płcią piękną pozór sztywnéj i chłodnéj ceremonialności. Ożeniony pierwszy raz z Urszulą Zamoyską, siostrzenicą królewską, roz-

wiedziony, po kilkoletniém, nie nadto szczęśliwém pożyciu, ożeniony powtórnie z Mycielską i kochany przez drugą tę małżonkę, która mu dwóch synów powiła, a nie mniéj przeto bliskie, czułe prawie stosunki zachowujący z piérwszą. Cieszący się sławą, od innych rzadszą pośród spółczesnych, wyśmienitego agronoma, administratora i finansisty, a srodze zadłużony. Wielce dbały niezaprzeczenie o swoje dobro, szukający go wszędzie i niezbyt przebiérający w środkach—typ dwulicowy, dwuznaczny i przejściowy, z tych które się trafiają pospolicie na przełomie historycznych epok...

Być może, iż wstrzemięźliwością swoją właśnie i obojętnością pozorną podbija on wyobraźnię młodéj kobiety, przywykłéj do natarczywéj zalotności nadsekwańskich Lowelasów. Dość że nieznane dotąd uczucia budzą się w jéj sercu, potężnieją i opanowywują ją całą. Idąc za popędem naturalnym charakteru swego i temperamentu, oddaje się im ona bez ograniczenia, bez podziału i bez względu na nic. Zbliżenie się jakimbądź sposobem, jakąbądź drogą do tego, którego pokochała, staje się celem jéj życia. Mąż, córka, reszta rodziny i reszta ludzi przestają istniéć dla niéj. Bądź przez wyrachowanie, bądź przez uwagę na swoje stanowisko męża, posiadającego młodą i kochającą żonę, i ojca dwojga dzieci, bądź wreszcie przez obojętność, szczęśliwy przedmiot téj miłości nie odpowiada na nią zrazu ofiarą wzajemnych uczuć. P. podkomorzy staje się chłodniejszym jeszcze i sztywniejszym niż kiedykolwiek. Unikać się zdaje tego zbliżenia, do którego druga strona dąży coraz namiętniéj. W każdym razie osłania przez długie miesiące zupełną tajemnicą zagadkowy stan własnego serca. Wtedy rozkochana ex-pensyonarka z Abbaye-aux-Bois nie przebiera w środkach—aż do użycia niespodzianego pośrednictwa p i e r w s z é j pani Wincentowéj Potockiéj. Szczęśliwsza podobno w powtórnym ze swéj strony związku z Mniszchem, pani ta żywi nader przyjazne uczucia dla swego pierwszego męża trybem powszednim w spółczesnych rozwodowych stosunkach,—mniéj przyjazne zaś dla drugiéj jego żony—trybem naturalnym w sercu niewieściém I wywiązuje się nader pomyślnie z powierzonego sobie zlecenia. P. Podkomorzy, poddany kategorycznéj indagacyi, odpowiada w sposób zadawalniający dla uczuć Helenki. Tak przynajmniéj świadczyć się zdaje bilecik pod jego adresem ręką Helenki skreślony.

Ma się rozumiéć mowa w tym bileciku tylko o p r z y j a ź n i. O przyjaźni téj wszelako głośno już nietylko w Warszawie, ale nawet w samym Paryżu, jak świadczy znowu pisany ztamtąd do romansowéj p r z y j a c i ó ł k i list księżny Henrykowéj Lubomirskiéj list będący także dowodem jak dalece nowym jest w rzeczy saméj

dla byłéj bogini salonów nadsekwańskich ten stan sercowy, z którym się spotkała nad Wisłą, i jak daleko, bądź co bądź, zaszła już w nim ona:

Paryż, 15 października 1789 r.

„Nareszcie mój kotku, otrzymałam list od ciebie z d. 24 września. Tysiąc i sto tysięcy lat minęło od ostatniego, którym mnie ucieszyłaś; wyznać ci nawet muszę, żem była trochę gniewna; ale po wielkich słowach o nowém położeniu, o przywiązaniu na zawsze do tego miejsca, itd., z któremi spotykam się w twoim liście, czuję się ułagodzoną, gdyż jak *Germain* w „*La Feinte par Amour*“: „To, czego mi nie mówią, o tém wiem, jak gdybym słyszała.“ Czy wiesz, że mi bardzo markotno iż cię nie widzę w tém nowém położeniu, które ci czyni samotność tak drogą? Musisz być bardzo pocieszną; nie iżbym myślała, że ci z tym rodzajem sentymentalnym nie do twarzy; są istoty uprzywilejowane, dla których wszystko stanowi ozdobę... ale nie umiem się obronić od odrobiny ciekawości, którą zechciéj mi przebaczyć, mój kotku. Pragnę gorąco twojego szczęścia, więcéj mnie ono nawet obchodzi teraz niż kiedykolwiek, gdyż im dłużéj ono potrwa, tém dłużéj prawdopodobnie zostaniesz z nami... Jeżeli spotkasz pana podkomorzego, kłaniaj mu się odemnie. Czy prawdą jest, że osiedlił się na zawsze w Warszawie i nie myśli wracać do Niemirowa“?

Od Wisły do Paryża rozgłoszony w ten sposób przyjacielski stosunek przybiera niebawem więcéj jeszcze do myślenia dający obrót. P. podkomorzy przyjmuje ofiarowaną sobie opiekę nad dość zagmatwanemi i nie fortunnemi w tym czasie majątkowemi sprawami księżny de Ligne. W tym charakterze nie może już być mowy, z jego strony, o zachowaniu dawnych pozorów obojętności. Nawiédza on z konieczności dość często swoję klientkę, choćby dla zdawania jéj sprawy ze swych czynności. Pretekstem tym upozorowane odwiédziny odbywają się wprawdzie zawsze w obecności trzeciéj osoby, jakiegoś sekretarza, czy panny froncymerowéj. Aliści jednego dnia odbiéra wyglądająca swego opiekuna pupilka bilecik, dopominający się o chwilę rozmowy na osobności. Odpowiedź biednéj rozkochanéj i miłość swą na wodzy ledwo trzymającéj przyjaciółki jest charakterystyczną. Żądanie pana podkomorzego nie ma w sobie oczywiście samo przez się nic nadzwyczajnego ani kompromitującego. Może ono być spowodowaném bardzo naturalną chęcią ustrzeżenia przed obcą ciekawością pewnych szczegółów powierzonéj mu majątkowéj administracyi. Helenka nie przypuszcza tego ani na chwilę, domyśla się koniecznie czegoś innego i odpowiada przychylnie ale z tém zastrzeżeniem, aby przyjaciel jéj nie zapominał o tém, że ma ona męża!“

Nie dość na tém. Pan podkomorzy przybywa i zdaje się usposobionym do uczynienia zadość otrzymanéj przestrodze. Rozmawia o rzeczach obojętnych. Wtedy Helenka nie umié już zapanować nad sobą. Dopomina się sama o usłyszenie tego, czego niby to słyszéć nie chciała. Chce wiedziéć, w jakim celu żądał on tego *tête à tête*. Przyparty niejako do muru podkomorzy, odpowiada dość chłodno, iż zdaje się, jakoby cel ten był z góry odgadnięty przezeń poczém, jak gdyby pełniąc przymusową powinność kawalera wyzwanego przez młodą i ładną kobiétę, bez widocznego zapału, odzywa się z formalném wyznaniem miłości. Wystarcza to Helence; wystarcza jéj do wypowiedzenia, w rozkoszném uniesieniu, wszystkiego, co się chowało dotąd — dość źle — w jéj sercu. „Kocha ona tego, który klęczy u jéj nóg, tak jak nie kochała nikogo nigdy, ale nie powinien on spodziewać się niczego po tém wyznaniu, dopóki oboje nie odzyskają swéj wolności....“

Pan podkomorzy jak gdyby czekał tylko na to ostatnie zastrzeżenie, otwierające mu drzwi do przyzwoitego odwrotu. Wstaje, oświadcza, iż dumnym jest z wyboru uczynionego przez tak godną miłości osobę i duma ta wystarcza dla jego szczęścia; zapewnia, iż dowiedzie swojém uszanowaniem i swoją wstrzemięźliwością, że jest człowiekiem honoru; kłania się i wychodzi.

I teraz dopiéro otwierają się oczy Helence. Ale i teraz jedno uczucie góruje w niéj nad wszystkiemi innemi i jedna bojaźń: czy nie straciła ona jego szacunku? Czy nie będzie on pogardzał nią? Chwyta za pióro i pisze dziesięć listów, rozdzierając jeden po drugim. W tym, na którego posłanie zdobywa się nareszcie, odzywa się prawdziwa rozpacz: „Czuję się poniżoną, upokorzoną... nie chwila to, abym mogła upominać się o twój szacunek; przyszłość tylko zniewolić cię może do zwrócenia mi go.“ A jednak miłość dopomina się o swoje prawa — w przypisku, jak się należy: „Trudno uwierzyć, aby jeden dzień mógł wpłynąć tak dalece na resztę mojego życia, bo czuję to, odtąd—ty jeden!“

Tym razem p. podkomorzy odpowiada snać w sposób więcéj zadawalniający, Helenka odczytuje bowiem „dziesięć razy tę odpowiedź“ i czas tego czytania „zdaje się jéj słodkim“ i słodką także nadzieja spotkania wieczorem pana podkomorzego u „Pani Janowéj“ (Potockiéj, siostrzenicy podkomorzego). Ale stając się mniéj sztywnym i mniéj lodowatym, objawia jednocześnie pan podkomorzy przykre skłonności zazdrosnego i podejrzliwego despoty. Żąda od téj, względem któréj obowiązywał się do tak wielkiego uszanowania i tak wielkiéj wstrzemięźliwości, aby spaliła wszystkie listy otrzymane bądź od męża, bądź od przyjaciół. Czyni wybór w jéj

warszawskich znajomościach. Zamyka ją powoli w małém kółku, w którém sam panuje wszechwładnie. Helenka godzi się na wszystko.

„...Co jest powodem twego nieukontentowania? — pisze. — Powiédz jak najprędzéj. Jeżeli ofiara najzupełniejsza z wszystkiego, co ci się może nie podobać, uspokoić cię ma, powiédz słowo, ofiara ta kosztować mnie nie będzie. Zdawać mi się będzie, żem zyskała, jeżeli wyrzekając się wszystkiego, zdołam uczynić cię szczęśliwym i spokojnym.... Gdyby te panie nie były mnie umęczyły, aby skłonić mnie do towarzyszenia im, byłabym chętnie została w domu. Znajduję dosyć zajęcia dla mojego serca i dla umysłu przy tobie. Nie potrzebuję drugich."

Dawna przyjaźń została już tedy daleko; romans to najformalniejszy rozwija się przed nami ze zwykłemi swemi perypetyami, ale z tą jednak niezwykłą w normalnych warunkach stroną, że Helenka nie przypuszcza ani na chwilę, ani teraz, ani późniéj przeniesienia nawet teraźniejszych roznamiętnionych uczuć i stosunków ze sfery całkiem idealnéj w inną, mniéj eteryczną i czystą. Przyjaciel jéj, w kochanka przedzierzgnięty, pozostaje do końca kochankiem platonicznym. I to właśnie czyni jéj historyą wyjątkową, wyjątkowego dopominającą się sądu. Co nie przeszkadza temu, że jakkolwiek platoniczny, romans ten jest romansem i to głośnym, chodzącym po słońcu. Cóż tedy dzieje się z żoną tego męża, z mężem téj żony, z całą rodziną ich, o któréj zdają się oboje zapominać zupełnie? Pani podkomorzyna bawi w Niemirowie, uwięziona tam chorobą, częstą wspólniczką zdradzieckich mężów. A książę Karol? — Zabawia się jak zwykle w obozie. A reszta de Ligne'ów, teść Helenki, jego żona? — Dąsają się oboje na swoję synowę, nie pochwalając jéj długiego pobytu w Warszawie i nie piszą nawet do niéj.

I przyjaciele wczorajsi, dzisiejsi kochankowie romansują swobodnie, aż jesienią 1790 r. zjawia się nienapotkana dotąd przeszkoda, w osobie przywróconéj do zdrowia i do Warszawy przybywającéj podkomorzyny, która nie zdobywa się wprawdzie na żaden krok heroiczny w obronie znieważonéj w jéj osobie wiary małżeńskiéj, ale używając niezaprzeczonego prawa, zamyka przed rywalką drzwi swojego domu Tyle zniósłszy od niego samego, nie może Helenka znieść tego afrontu jéj zadanego ręką. Żąda stanowczo od podkomorzego, aby przymusił żonę do otworzenia tych drzwi przed nią. Podkomorzy wykręca się jak może, perswaduje, uspakaja, w końcu zaś unosi się gniewem i po gwałtownéj scenie opuszcza kochankę.

Helenka ucieka się znowu do środka, który jéj kilkakrotnie już się powiódł: pisze, przedstawia smutne swoje położenie, samotność, którą wytworzyła dokoła niéj zazdrość niewiernego; przypomina spalone z jego rozkazu listy, zniszczone za jego wolą dowody miłości, którą potrafiła dawniéj natchnąć innych; zaręcza wreszcie, że cokolwiek ją czeka, ten, którego raz pokochała, pozostanie aż do jéj śmierci wyłącznym przedmiotem wszystkich jéj myśli, uczuć i żalów.... Niestety! tym razem zwycięski środek zawodzi: list wraca nierozpieczętowany z nadpisem dodanym ręką pani podkomorzyny: „Mąż mój wyjechał dziś rano do Niemirowa.“

Przychodzimy tu do kryzysu stanowczego w życiu młodéj kobiéty, do kroku ostatecznego, który wprawdzie wyrzuca ją bezpowrotnie z grona małżonek i matek posłusznych, prawem nie już tylko moralności, ale i przyzwoitości społecznéj, a który jednak, wobec wyższych nad społeczne prawa pojęć etycznych, stanowi podobno obronę jéj najwymowniejszą przed wyrokiem zupełnego potępienia. Kobiéta ta może być grzeszną, ale kocha jak mało kobiét kochać umié, a taka miłość będzie po wszystkie czasy w tego rodzaju sprawach potężnym argumentem po stronie obrony. Może zapominać o swych kardynalnych obowiązkach, ale poświęcając je na ołtarzu uczucia rządzącego całą jéj istotą, zapomina jednocześnie o wszystkiém, co nie należy do tego uczucia, o opinii, o przyszłości swojéj, o losie, co najmniéj wątpliwym, który ją czeka, o całym świecie. Przeczytawszy słowa skreślone ręką rywalki, zabiéra na prędce cokolwiek niezbędnych w podróży przedmiotów, wsiada z jedną tylko panną służebną do powozu, pędzi dniem i nocą i przybywa w godzin parę tylko po j e g o własném przybyciu — do Niemirowa. Jak dalece hazardownym jest ten krok, świadczą o tém natychmiastowe jego następstwa. W pierwszéj chwili wprawdzie, ujęty heroizmem ścigającego go w ten sposób przywiązania, czy téż tylko wrodzoną słabością charakteru wiedziony, pan podkomorzy otwiéra swoje objęcia pięknéj przybyszce i nazajutrz poczta zabiera trzy listy: do Warszawy, do Wilna i do Bel-Oeil, do pani podkomorzyny, do stryja-biskupa i do księcia de Ligne—z obustronném żądaniem rozwodu. Ale odpowiedzi nie dopisują oczekiwaniom. Pani podkomorzyna odpowiada listem pełnym godności i uczucia, ale stanowczo odmownym:

„Czy zapomniałeś, że pobraliśmy się nie tylko za zgodą i życzeniem naszych rodziców, ale za przyczyną zobopólnéj sympatyi?

„Węzły te miały trwać zawsze; Bóg utwierdził je, obdarzając nas dziatkami. Jednak okazałeś się słabym przy nastręczających się okazyach, podczas gdy ja trwałam w mém przywiązaniu i trwać

będę przekonana, że i do obowiązku to mojego należy i do mojego szczęścia....

„Pamiętać będę zawsze, że gdy rodziłam Frania, klęczałeś w sąsiednim pokoju, modląc się za mnie i za nasze dziecko. Kochałeś nas wtedy i gdybyś poszukał dobrze w twojém sercu, odnalazłbyś w niém jeszcze te dwa uczucia, albowiem, podług mojego przekonania, nic ich zatrzéć nie może.

„Odkrywam przed tobą duszę moją i serce moje, czytaj w twojéj duszy i w twojém sercu; jedno słowo, jedno tylko, a zapomnę wszystko, czekam na nie z najwyższą niecierpliwością.

„Sługa posłuszna i pokorna *Anna Potocka.*“

Eks-pensyonarka z „Abbaye-aux-Bois“ i wychowanka polskiego patryarchalnego domu spotykają się tutaj, i niepodobna zaprzeczyć, że wyższość moralna jest po stronie drugiéj. Ta kocha także i umie kochać po swojemu, z zaparciem się wszystkiego, prócz tego, co w jéj pojęciu—niewątpliwie sprawiedliwém—należy zarazem „do jéj obowiązku i do jéj szczęścia.“ Miłość to, która dopomina się nietylko o współczucie, ale i o pokłon głęboki, — tamta miłość żądać tylko może téj miary pobłażliwości i politowania, któréj odmówić trudno wszystkim, nawet grzesznym popędom serca, byle szczerym i bezinteresownym.

Stryj-biskup odpowiada wymijająco. Rodzina de Ligne wreszcie oświadcza, iż nie chce słyszéć więcéj o Helence, ale nie chce słyszéć także o rozwodzie. Pan podkomorzy, przybywszy do Paryża dla uregulowania powierzonych sobie interesów przyszłéj rozwódki, odjeżdża, nie doczekawszy się nawet instrukcyi, których zażądał, dla traktowania z nim plenipotent księcia Karola-Józefa. I dobrze robi, ponieważ instrukcye te, z Wiednia przybywające, brzmią dość niemile dla miłości własnéj polskiego magnata:

„Ponieważ nie wiemy już, czy księżna Karolowa de Ligne istnieje i zdaje się nam jakoby umarła dla nas i dla małéj Sydonii, nie możemy wchodzić w żadne z nią układy.

„Kobiéta, trzymana w zamknięciu przez głupiego tyrana polskiego, nie może być przeszkodą do tego, aby dziad stryjeczny Sydonii zaspokoił weksle, których wypłata zabezpieczoną została przez niego należycie, a która podług rozporządzenia księcia Karola, księcia-biskupa i matki Sydonii nawet, służyć mają do oczyszczenia majątków galicyjskich. Administrować temi majątkami nie może sama i nie powinna, ponieważ znajduje się w mocy człowieka, który publicznie zarządza jéj fortuną, mogłaby więc skrzywdzić swoję córkę.

„Skoro opuści jarzmo, pod którém żyje obecnie i zamieszkać zechce w Paryżu, w Warszawie, lub w którym z moich majątków, podług jéj wyboru, używać będzie rocznego dochodu w kwocie co najmniéj 30,000 fr., którą mąż jéj przeznacza....

„Ponieważ stawszy się żoną hr. Potockiego, księżna Karolowa byłaby nieszczęśliwszą jeszcze niż jest teraz, mąż jéj przez wzgląd na jéj dobro i na dobro jéj córki nie pozwoli nigdy na to.“

Ciężkie czasy zaczynają się teraz dla Helenki Ligne. Wróciwszy z Paryża do kraju, pan podkomorzy nie spieszy się z powrotem do Niemirowa. Widocznie inne wpływy niż ten, któremu uległ w chwili pojawienia się warszawskiéj przyjaciółki na Ukrainie, odzyskują nad nim przewagę. Zapewne także udowodnione niepodobieństwo uzyskania rozwodu zmieniło kierunek jego myśli. Helenka, zamknięta w Kowalówce, opodal od Niemirowa (bo w samym Niemirowie obecność dzieci pana podkomorzego i obawa możliwego przyjazdu pani podkomorzyny nie pozwalają jéj przebywać), zapoznaje się z męczarnią samotności, niepewności, niepokoju—i nawet niedostatku. Pan podkomorzy nie potrafił jakoś dotąd owładnąć jéj wielce zagmatwaną fortuną, a przynajmniéj dobyć z niéj dochodu. Dochód ten całkowity pozostaje w rękach stryja-biskupa, czy raczéj jego plenipotenta, Sylwestrowicza, który widocznie, razem ze swoim pryncypałem ogląda się na de Ligne'ów, a może i na swoję własną korzyść. Książę Karol zalecił wprawdzie natychmiastowy zwrot kosztowności i sprzętów, zostawionych przez niewierną towarzyszkę w „Bel-Oeil“, ale pokazuje się, iż księżna Karolowa zapomniała, opuszczając tamtejsze strony, zaspokoić pewną liczbę wierzycieli, którzy teraz zgłaszają się i kładą areszt na tych ruchomościach.

Ale tu właśnie odsłania się wyraźniéj jeszcze niż dotąd to, co jest prawdziwie szlachetnego i sympatycznego w sercu i w umyśle pięknéj grzesznicy i co przemawia bądź-co-bądź za odróżnieniem jéj od tłumu spółczesnych czy dzisiejszych profanatorek domowego ogniska, targających z równą bezwzględnością węzły rodzinne, ale bez równéj czystości i ofiarności w wyniesioném nad wszystkie względy uczuciu. Oto fragment jéj listu datowanego z Kowalówki:

„Twój list wielki mi przyniósł smutek. Ani słowa o twoim powrocie, jak gdyby nie miał on nigdy mieć miejsca. Panowie de Ligne nie chcą słyszéć o układach; czegoż więc chcą odemnie? Jakim jest cel ich?... Gdyby nawet chcieli mnie przyjąć z powrotem na łono swéj rodziny, nie wróciłabym nigdy... i wolałabym klasztor niż życie z ludźmi, których nie lubię i którzy pogardzaliby mną; to jedno słowo przejmuje mnie dreszczem.

„Co się tyczy majątku, nader przykrą byłoby dla mnie rzeczą być ciężarem dla kogokolwiek. Wolałabym żyć z pracy rąk swoich i bez wahania zaczęłabym od rozpuszczenia wszystkich moich ludzi, zachowując jedną tylko sługę.

„Co się tyczy rzeczy moich, ta odrobina, którą mam, książek, muzykaliów, sprzętów, nie należy już w oczach moich do mnie; zechcesz łaskawie wziąć je na rachunek tego, com ci winna za stół, pranie i t. d., bo pieniędzy dać ci nie mogę. Zrobiłam wiele wydatków w tym miesiącu, których byłabym uniknęła, gdybym była wiedziała, że interesa moje są w tak złym stanie. Kupiłam za czterdzieści dukatów płótna na koszule, bo ich potrzebowałam, i z trudnością mogłam się obejść bez nich; pokazano mi bardzo piękną sztukę płótna, z jaką nie łatwo się spotkać, więc kupiłam. Gdybym zupełnie miała popaść w nieszczęście, znalazłabym odwagę potrzebną dla zniesienia go; kochać mnie będziesz w szmacie płóciennéj tak, jak w jedwabnéj sukni i czuć się będę szczęśliwą. Nie dbam o zobaczenie się znowu kiedykolwiek ze światem, poznałam zawczasu najświetniejszą jego stronę i znużyłam się nią; nie znużę się życiem skromném, nawet ubogiém, byleś mnie kochał.“

Do rzucenia kamieniem na kobiétę, która tak pisze, nie wiele chyba znajdzie się rąk gotowych. Taką zaś samą, nie w słowie tylko, ale i w czynie, pozostaje ona do końca długiéj, bardzo długiéj próby, coraz to nowemi zaprawionéj goryczami i troskami. Raz zdaje jéj się, że krewny podkomorzego, krajczy koronny, odbywszy podróż do Wiednia, porozumiał się z jéj teściem i mężem dla „wydania jéj.“ To znowu przejazd przez okolice Niemirowa, czy nawet sam Niemirów, księcia Karola de Ligne, wracającego od armii rosyjskiéj, napełnia ją obawami. Nareszcie, wobec usuwającego się w nieokreśloną odległość rozwiązania tak przykréj a skandalicznéj sytuacyi, stryj-biskup bierze na się porzucenie dotychczasowéj neutralności i pisze, zachęcając płochą synowicę, aby przybyła do niego, do Werek, obiecując zapomnienie „przeszłych jéj nieoględności“, byle zaniechała „szalonéj swéj miłości dla podkomorzego.“ Jednocześnie prawie z tym listem zjawia się oczekiwany od tak dawna sam podkomorzy, chłodny po swojemu, chłodniejszy nawet niż kiedykolwiek, a zakłopotany widocznie, i oświadczywszy, iż nie może w obecnym stanie rzeczy przedłużać swojego pobytu w Niemirowie, radzi także — wyjazd do Werek. Helenka pada bez zmysłów na ziemię. Gdy powraca do przytomności, znajduje przy sobie tylko panny służebne; podkomorzy odjechał do Niemirowa. Helenka pisze:

„Zostawiłeś mnie w rozpaczy najokropniejszéj, nie zdradziwszy ani na chwilę żadnego uczucia litości. Pozostaje mi tylko powiedzieć ci, że życie jest mi nienawistnym ciężarem, jeżeli trwać masz w zamiarze opuszczenia mnie; żądam rachunku od ciebie z losu mojego, złożonego przezemnie w twoje ręce. Czy byłbyś zdolnym do rozporządzenia nim tak lekomyślnie?“

List pozostaje bez odpowiedzi przez dzień cały. Nazajutrz dopiero odbiéra Helenka kilka słów, oznajmiających jéj, że podkomorzy leży w łóżku, chory. Choroba nie jest udaną. Trwa ona trzy długie miesiące, podczas których pacyent walczy ze śmiercią. Helenka zaś zrzadka tylko i ukradkiem zaglądać mogąc do Niemirowa, cierpi podwójnie.

Znosi ona i tę probę stoicznie; jak gdyby zaś dopełnioną została przez nią miara przeznaczonych jéj doświadczeń, pochmurny otaczający ją widnokrąg rozjaśnia się nagle. Podkomorzy wraca do zdrowia i odjeżdża wprawdzie, ale ujęty widocznie zachowaniem się swéj przyjaciółki, i obiecujący nowe ze swéj strony zabiegi rozwodowe. Niebawem zaś nadchodzi wiadomość, usuwająca potrzebę tych zabiegów z jednéj i to najtrudniejszéj strony: Helenka jest wolną; książę Karol poległ w potyczce forpocztowéj na ziemi francuskiéj z wojskami republikańskiemi.

Testament młodego bohatera, już wspomniany w tych kartkach, dopomina się o miejsce w szeregu dokumentów wywiedzionych na światło dzienne historycznym procesem tak niespodzianie wytoczonym dokoła zapomnianéj osoby i całkiem nie-historycznéj dotąd postaci naszéj rodaczki. Skoro przyszło jéj mieć historyą, dokument, o którym mowa, należy do téj historyi, bo wyjaśnia lepiéj od wszelkich analitycznych rozbiorów i określeń, czém był ten mąż tak srodze zdradzony przez nią; czém był dla drugich i czém był dla niéj.

Testament księcia Karola de Ligne.

Ponieważ prawdopodobnie przyjdzie mi poledz, jeżeli nie w téj wojnie, to w jakiéj innéj, chcę aby postarano się o odszukanie mojego ciała i aby pogrzebano je z wszystkiemi honorami wojennemi i z największą pompą, wojskową, ma się rozumiéć.

Chcę, aby przeniesiono ciało moje do „Bel-Oeil“, po zabalsamowaniu (bo nie chcę być dla nikogo przykrym), życzę bowiem sobie być z dziadami moimi, którzy wszyscy byli uczciwymi ludźmi z ojca na syna.

Chcę aby serce moje było osobno włożone w chustkę, którą nosiła kochana przezemnie i którą proszę, aby dała w tym celu swo-

ją chustkę. Ponieważ posiadała ona moje serce przez ciąg całego mojego życia, chcę, aby było ono, po mojéj śmierci, tak szczęśliwém, jak może niém być serce w nieobecności téj, którą uwielbia, to jest w zetknięciu z czemś, co do niéj należało. Proszę ją, aby wyhaftowała na jednym rogu téj chustki: *Alona*, na drugim: *Tendresse délicieuse*, na trzecim: *Indissoluble*, na czwartym: od 21 września 1787 do daty mojéj śmierci.

I. Cały mój zbiór rycin oraz zbiór rysunków oryginalnych, i, w ogóle, wszystko co znajduje się w moich tekach, będzie sprzedaném przez licytacyą, tam gdzie sprzedaż okaże się najkorzystniejszą, w Paryżu, Wiedniu, Londynie lub Amsterdamie.

Nota bene. Gdyby kto z mojéj rodziny życzył sobie miéć ten zbiór, będzie mógł posiąść go, płacąc zań cenę nie mniejszą jak sto tysięcy florenów, gdyż nie zawierając nic miernego, a składając się z oryginałów autentycznych, rysunki te są prawdziwie nieocenionemi. Uczyni to sumę okrągłą 100,000 florenów, która będzie zupełnie moją własnością i niezależną od spadku mojego, który przypada naturalnym moim spadkobiercom. Suma ta podzieloną będzie na dwie części: 80,000 będą umieszczone *à fonds perdu* na rzecz mojéj córki naturalnéj Krystyny; tak że czynić to będzie 8,000 florenów rocznie, z których brać się będzie na jéj utrzymanie 500 florenów rocznie aż do 15-go roku jéj życia, 1000 zaś od 15-go do 20-go, w którym to czasie wyjdzie ona prawdopodobnie za mąż i wtedy będzie wydawać swoje pieniądze tak jak zechce; tak jednak, aby nie mogła wydawać więcéj jak 8,000 florenów rocznie i aby cały kapitał oszczędzony do 20-go czy 25-go roku jéj życia, jeżeli by nie wyszła za mąż pierwéj, był umieszczony na czwartym lub piątym procencie, bacząc zawsze na to, aby przyłączać procenta do kapitału.

II. Gdyby umarła bezdzietnie, Norokos będzie jéj spadkobiercą. Ponieważ jestem ojcem przybranym tego tureckiego dziecka, znalezionego podczas wojny, pozostająca suma 20,000 florenów będzie podobnież umieszczoną na jego rzecz, z temi samemi zastrzeżeniami co dla Krystynki. Jeżeliby umarł on bezdzietnie, Krystyna weźmie spadek po nim. Zalecam im, aby się pobrali z sobą, jeżeli tylko będą mieli pociąg wzajemny do siebie, pragnę tego najgoręcéj i proszę moję siostrę Krystynę, aby starała się o to. Siostrę moję Krystynę ustanawiam opiekunką nad niemi; w jéj zaś zastępstwie hrabinę Teresę Dietrichstein, poprzednio żonę h-go Kińskiego. Przekazuję nadto Krystynce portret jéj matki malowany przez Le Clerc'a i łańcuch, który noszę na szyi, z napisem na zapince: „*Ces liens me sont chers*". Proszę ją, aby nie rozstawała się z nim nigdy i nosiła go przez pamięć dla mnie i dla téj, która mi go dała.

III. Roporządzenia dla sług.

Przekazuję Norokosowi moję strzelbę turecką damaszkowaną i złotem sadzoną oraz pałasz mój ze stalową rękojeścią, to jest ten, który mi służył w obecnéj wojnie, ażeby pamiętał, że wojnie winien swój stan i że powinien uważać wojenne rzemiosło jako fortunę swoję i żywioł swój, a wojsko jako swoję ojczyznę.

IV. Przekazuję mojemu ojcu mały obrazek Le Clerc'a oraz rysunek pana Duvivier przedstawiający tak samo potyczkę pod Pösig, prosząc aby zawieszono na nich mój krzyż „Zasługi“ oraz krzyż ś-go Jerzego, gdyż zawdzięczam oba przykładowi otrzymanemu od ojca mojego i słuchając tego, co rotmistrz Wolff powiedział mu w chwili śmierci, i wspominając te słowa przez całe życie, przyszedłem do szczęścia posiadania w armii kilku przyjaciół.

V. Przekazuję mojéj siostrze Krystynie wszystkie moje rysunki oprawione wraz z miniaturami, kameami i małemi ramkami.

VI. Przekazuję mojéj córce Sydonii portret jéj matki, aby starała się nie naśladować jéj przykładu, oraz szablę moję turecką, otrzymaną w darze od księcia Potemkina, którą trzymać powinna zawsze w swoim pokoju, aby dzieci jéj wiedziały, że wolą moją jest, ażeby wszyscy byli żołnierzami; po pierwszéj zaś bitwie, w któréj mam nadzieję, że syn mój odznaczy się, da mu ona tę szablę odemnie.

VII. Przekazuję pani Kińskiéj, h-ce Dietrichstein z domu, wszystkie moje ryciny oprawione, które znajdują się w „Bel-Oeil“ w moim apartamencie, oraz łańcuszek, który noszę na szyi, a który pochodzi od jéj najlepszéj przyjaciołki; z tego powodu śmiem prosić ją, ażeby nosiła go przez całe życie, przez pamięć na to, iż pochodzi on od kogoś, co umieścił całe swoje szczęście w szczęściu pani Kińskiéj, o czém jestem przekonany, iż mogę zapewnić (*sic*).

VIII. Przekazuję księżnie Lichstenstein, z domu Mandesch, rozmaite przedmioty, które posiadam w Brukselli, a które będą wyszczególnione, oraz zegarek mój, jako znak, iż najszczęśliwszemi godzinami przezeń wskazanemi były te, które przebyłem przy niéj i że do ostatniéj godziny myślałem o niéj jako o przyjaciółce, która szła w mojém sercu za tą, którą uwielbiałem zawsze!

IX. Przekazuję księżnie Jabłonowskiéj, Czackiéj z domu, rozmaite przedmioty które posiadam w Brukselli, a które będą wyszczególnione, oraz pierścionek, który nosiłem zawsze, z godłem: „*Indissoluble*“, a także mały portfel z łańcuszkiem i inne portfele lub szkatułki, w których znajdują się listy lub papiery pisane przezemnie. Daję jéj ten ostatni dowód mojego zaufania, jako téj, dla któréj żywię najwięcéj wdzięczności za wszystkie świadczone mi

przez nią łaski, téj, która najlepiéj rozumiała zawsze wszystko co czułem, wszystkie myśli i wszystkie smutki moje, wreszcie jako prawdziwéj przyjaciółce, o któréj jestem pewien, że nie zapomnę nawet na tamtym świecie.

X. Przekazuję księżnie Linowskiéj (*sic*), Thun z domu, moje piękne wydanie dzieł Shakespeara i najlepszego konia angielskiego z mojéj stajni, pod warunkiem aby do niéj saméj zależał.

XI. Przekazuję pannie Karolinie de Thun ośm moich pięknych świéczników srebrnych z moim pięknym imbryczkiem do kawy, oraz dwadzieścia dukatów rocznéj renty, aby mieć mogła wszędzie, gdzie jéj się zdarzy być, i nawet w domu do którego uczęszcza zwykle, najlepszy fotel lub szesląg, jaki wynalezionym będzie kiedykolwiek.

XII. Przekazuję pani de Wojna stolik z przyrządem do herbaty, aby przypominała sobie przyjemność, z jaką chodziłem na herbatę do niéj, oraz dwie szable tureckie dla Maurycego i Feliksa, jéj synów.

XIII. Przekazuję mojemu dobremu przyjacielowi Poniatowskiemu pałasz mój z kamieniem od marszałka Laudona razem z temblakiem, prosząc go, aby przypasał ten pałasz przy spotkaniu się z nieprzyjacielem, przez pamięć dla kogoś, który chętnie byłby dał swoje życie dla ocalenia jego życia. Także pięknego konia mojego Winer'a, ażeby miał starania o nim aż do śmierci.

XIV. Przekazuję bratu mojemu Ludwikowi pałasz mój od króla Polskiego i pistolety po Marlborough'u.

XV. Przekazuję mojemu przyjacielowi Franciszkowi, h-mu Dietrichsteinowi broń, którą będę miał przy sobie, gdy polegnę na polu bitwy, albo tę, która będzie w mojém posiadaniu, jeżeli umrę zwyczajną śmiercią, za wyjątkiem téj, która objętą została pojedyńczemi legatami, i polecam mu wykonanie wyżéj zamieszczonych legatów, przekonanym będąc, iż nie zostawi on mojego ciała nieprzyjacielowi. Gdyby jednak coś zaszło w tym względzie, np. gdyby sam był jednocześnie rannym, nie zaniedba on niczego dla odzyskania go, wraz z łańcuszkami i innemi przedmiotami, które noszę przy sobie.

XVI. Portrety pań: Kińskiéj, Lichtenstejnowéj, Jabłonowskiéj, Limowskiéj (*sic*) i Karoliny, portret Poniatowskiego i portret pani de Wojna, o którego wyjednanie dla mnie proszę, będą umieszczone w Bel-Oeil w wieży należącéj do mojego apartamentu, gdzie znajdują się ryciny kolorowane będące własnością pani Kińskiéj. Portret mojéj żony będzie usunięty — zalecam to pilnie — i zaniesiony do magazynu. Pokój ten staje się świątynią przyjaźni, nad drzwiami będzie napis: *Chambre des indissolubles.*

Proszę ażeby kazano zrobić moje popiersie, które umieszczoném będzie pośrodku wieży na piedestale, z twarzą zwróconą ku portretowi pani Kińskiéj i proszę mojego ojca, aby napisał i kazał wyryć na tym postumencie wiersze, wyrażające szczęście, którém cieszyłem się w tém towarzystwie, ale bez pochwał dla mnie; nad każdym z portretów także napisze wierszami portret każdéj osoby.

XVII. Rozporządzenie dla sług (nie przepisane).

XVIII. Daruję pani Kińskiéj mojego dobrego psa Tristana, ażeby miała o nim staranie; był on dla mnie tém, czém byłem dla niéj, traktowany jako dobry pies zawsze wierny.

Człowiek, który napisał ten testament i przypieczętował go krwią swoją, bijąc się jak lew, zasługiwał zapewne na to, aby myśli jego, uczucia i smutki były rozumianemi tak, jak je podobno rozumiała pani Jabłonowska. Musiał jednak spotykać na drodze swojéj sporo kobiet nie podobnych w tym względzie do pani Jabłonowskiéj, a niekoniecznie chyba na potępienie zasługujących z tego tytułu. Na swoje nieszczęście, trafił na jednę z takich kobiet w osobie własnéj żony. Sposób, w jaki żona ta przyjmuje wiadomość o jego bohaterskim zgonie, powtarzając frazes, zastosowany przez panią de Sevigné do śmierci wielkiego Tureniusza, podlega krytyce, nawet ze stanowiska prostéj przyzwoitości, ale stwierdza jeden z wybitnych a sympatycznych bądź co bądź rysów jéj charakteru: absolutną ową i bezwzględną szczerość, z którą zapoznaliśmy się już w Abbaye-aux-Bois. W złém tak jak w dobrém jest ona szczerą przed drugimi i przed sobą.

„Kula armatnia, pisze, porwała księcia Karola, jestem wolną, boska to wola: ta armata była nabitą od początku wieczności!“

Żałować nam wypada, iż nie posiadamy wiadomości o tém, jakiego przyjęcia doczekała się z jéj strony druga z kolei nawiédzająca ją jednocześnie prawie żałobna wiadomość, która więcéj jeszcze podobno od pierwszéj przyczyniła się do uchylenia przeszkód, dzielących ją od wybranego przez się towarzysza życia. Umarł w kwiecie wieku nieszczęśliwy wychowanek pana Delorme, brat jéj, Ksawery Massalski, czyniąc ją spadkobierczynią ogromnego majątku. Wahający się dotąd i przeciwnemi a równoważącemi się wpływami kierowany podkomorzy, nabywa natychmiast niewidzianéj przedtém stanowczości, pisze do żony, donosząc o śmierci jednego z dwóch synów wychowywujących się w Niemirowie (którego Helenka pielęgnowała zresztą podczas choroby z macierzyńską troskliwością), i ofiarując zwrot drugiego syna, pod warunkiem zgodzenia się jéj na

rozwód. I stryj-biskup zaś uznaje obecnie wolę bożą tam, gdzie widział pierwéj tylko szaloną miłość. I biedna Anna Potocka traci odwagę dłuższego oporu. I w trzy miesiące po dniu, w którym nieszczęśliwy rycerz padł wśród bohaterskiéj szarży na baterye francuskie, o północy, w kaplicy klasztoru Bernardyńskiego opodal od Werek, dwoje kochanków staje u ołtarza. I, mimo przelotnego wzruszenia, złowieszczém w téj uroczystéj chwili sprawionego widzeniem, Helenka jest szczęśliwą w nowém, wybraném przez się przeznaczeniu.

„Jutro więc zobaczę cię z powrotem, pisze do męża, po kilkodniowém rozstaniu, i zobaczę takim, jakim byłeś, bo nie chcę, abyś kiedykolwiek w czémkolwiek miał się zmienić: przymioty, dary przyjemne, dowcip, wady, kaprysy, wszystko jest mi drogiém; gdybyś był więcéj doskonałym, nie byłbyś już tym Wincentym, dla którego byłabym popełniła wszystkie szaleństwa, gdyby Bóg nie był, w swém miłosierdziu, skierował wszystkiego do rozsądnego rozwiązania."

List ten służyć może za epilog do znanych nam dotąd dziejów pięknéj grzesznicy. I niejednego chyba z rozpamiętywujących dzieje te, weźmie ochota zastosować do niéj francuskie przysłowie: *tout est bien qui finit bien*. Nie jest ona oczywiście z tych, które za wzór służyć mogą, ale z tych niezaprzeczenie, o których niezrównany moralista wyrzekł „że im wiele przebaczoném będzie", z tych które rozbijają u nóg ukochanego czarę, drogocennemi napełnioną wonnościami i zamiatają jedwabnemi włosami prochy z pod stóp jego. I plemienniczką podobno także tamtéj legendowéj córy sławiańskiéj, co to „nie chciała Niemca," rzucającą się także, przed groźbą nienawistnego losu, w przepaść bez widomego dna. Dno bezpieczne i miękkie znalazło się dla niéj, ale przypadek tylko tak zrządził, czy też wspomniane wdzięcznie przez nią miłosierdzie boże. Czytelnicy, których przygody jéj zająć potrafiły, nie zechcą być mniéj miłosiernymi.

Kazimierz Waliszewski.

LISTY CZESKIE.

XVI.

Dziennik włoski „Fanfulla“ zamieścił w październiku 1887 r. artykuł o Słowianach w Austryi, w którym czytamy: „Życie narodowe słowiańskie wzmogło się nadzwyczajnie w Czechach i na Morawach. Uniwersytet czeski i piękny teatr narodowy w Pradze są dwoma wielkiemi pomnikami pracy cywilizacyjnéj w Czechach. Każdy dobrze myślący i prawdziwie ukształcony człowiek spogląda z radością na odradzanie się ludów, które niedawno jeszcze traktowane były jak rodzaj paryasów europejskich. Świat nie może im odmówić swego uznania.“

Prawie w tym samym czasie (20 listopada t. r.) rzecznik krańcowéj partyi niemiecko-narodowéj w Czechach wygłosił w Liebenau, z okazyi wiecu libereckiego związku niemieckich narodowców, mowę o polityczném położeniu i o zadaniach Niemców w Czechach. Mówca powiedział dosłownie co następuje: „Zadaniem naszém na przyszłość nie może być jedynie przeciwdziałanie czechizacyi; mamy bowiem do zaspokojenia dawny obowiązek, zaciągnięty przez Niemców w Austryi; musimy dążyć z wszelką stanowczością, skoro tylko władza do rąk nam się dostanie, do zgermanizowania krajów wchodzących w skład naszéj połowy cesarstwa.“

Powyższe cytaty służą za punkt wyjścia do szczegółowéj historyi rokowań pojednawczych, które odbyły się w drugiéj połowie 1887 roku między politycznymi przywódcami Czechów i Niemców, z wyraźnie wypowiedzianą ze strony czeskiéj dążnością pokojowego zakończenia opłakanéj rozterki narodowościowéj.

Historyk niemiecki Zwiedineck v. Südenhorst pisał pod koniec tegoż roku o tych układach w redagowanym przez siebie piśmie „Zeitschrift für Geschichte und Politik“ (zeszyt I) co następuje: „Utrzymać przymierze dwóch cesarstw jest najważniejszém zadaniem narodowém Niemców w monarchii austro-węgierskiéj. Ku temu muszą użyć całego swego wpływu, na to powinni ponosić wszelkie ofiary, to mając na celu, mogą z czystém sumieniem zostawić Czechom takie godności, jak „nocnego stróża w Časlawie“ (1) i inne tym podobne zaszczyty. Niemcy obowiązani są obstawać przy tém, żeby starodawny sojusz Czech i Węgier z cesarstwem niemieckiém pozostał nienaruszonym. Czy zaś Czechy rządzone będą z Wiednia czy z Pragi, to właściwic sytuacyi nie zmienia, a nawet w tym ostatnim wypadku nie jest dla Niemców wyłączoną możliwość, powrócenia do praw, które im się należą. Ale pierwszym do tego warunkiem będzie, ażeby sami Niemcy starali się o przestrzeganie sprawiedliwości i uczciwie zasłużyli na poszanowanie, którego się domagają, żeby okazali gotowość do ustępstw nie uwłaczających ani ich godności narodowéj, ani własnemu interesowi, ażeby porzucili bezużyteczną mrzonkę reprezentowania wielkiego mocarstwa, słowem, żeby pogodzili się z myślą, iż muszą znosić się wzajemnie ze współziomkami, których ujarzmić nie mogą.“

Nie potrzebuję oddawać, że p. Zwiedineck nie zyskał sobie pochwały naszych Niemców za wyrażenie takiego zdania. D-r Knotz przemawiał w zupełnie innym tonie na uroczystości stowarzyszenia szkolnego, odbytéj w Gorlicach 24 stycznia r. b. Właściwie o prawdę nie troszczył się bardzo, bo chodziło mu jedynie o poduszczenie zgromadzonych Niemców przeciw niegodziwym Czechom. Chcąc jaknajzjadliwiéj wykazać niesłychaną przemoc i ucisk wywierany na Niemcach w Czechii, wołał stentorowym głosem: „Doszło już do tego, że w Pradze mieszka teraz 200,000 Czechów, kiedy przedtém było ich tylko 32,000. Miasto Pilzno było dawniéj zupełnie niemieckiém; teraz mieszka tam 30,000 Czechów i tylko 8,000 Niemców.“ — „Z Czechami nie ma co paktować, grzmiał Knotz, oni są gwałcicielami pokoju. Poeta czeski mówi: Prędzéj oliwa zmiesza się z wodą, aniżeli Czech pogodzi się z Niemcem; a inny równie stanowczo odzywa się o tém: prędzéj wąż rozgrzeje się na lodzie, aniżeli my będziemy znosili się wzajemnie.“

---

(1) Dzienniki niemieckie uważały to za ukrzywdzenie narodu niemieckiego, że zarząd gminny czeskiego miasta Časlawa przy obsadzaniu stanowiska stróża nocnego, postawił warunek, żeby kandydat był Czechem.

Tak głosi d-r Knotz, który, bądź-co-bądź, więcéj odemnie może powiedziéć o poezyi czeskiéj; bo ja nie potrafiłbym powyższych słów przytoczyć.

Wychodząca w Liberecu „*Volkszeitung*“ z 18 stycznia r. b. nie cytuje wprawdzie czeskich poetów, ale opiera swoje wywody na sporze między młodymi a starymi Czechami i mówi: „Nowa porażka Staroczechów (1) tak oczywiście pociąga za sobą osłabienie ich wpływu, że pochodzące od nich propozycye pojednawcze (niezależnie od nieszczerości ich pokojowych zapewnień) choćby tylko ze względu na wzrastającą bezsilność téj partyi w stosunku do Młodoczechów, żadnéj już nie mogą miéć wartości. Myśléć o paktowaniu z tymi ostatnimi, o swobodnych, nieprzymuszonych rokowaniach (mniejsza o nazwę tych prób pojednawczych) byłoby szaleństwem!“

Jak dalece podobne poglądy krańcowych narodowców niemieckich znalazły już w styczniu r. b. oddźwięk u bardziéj umiarkowanych Niemców austryackich, świadczy „*Tagesbote aus Mähren*“, znany organ tego stronnictwa, w artykule poświęconym rokowaniom pojednawczym (numer z 19-go stycznia r. b.), gdzie czytamy: „Czasy są zaiste zbyt poważne na takie pojednawcze komedye. Niemcy nie są bynajmniéj skłonni do ustąpienia za misę soczewicy swego prawa pierworodztwa, a ponieważ Czechy nie okazują t y m c z a s o w o gotowości do przyznania Niemcom należnéj im w Austryi przewodniéj roli i rząd również nie okazuje chęci uregulowania w ten sposób stosunków państwowych, przeto sejm czeski zostanie i nadal tém, czém był w ciągu minionéj sesyi, to jest sejmem bez głowy, areną szamotań między Młodo- i Staroczechami oraz wyszydzaną i lżoną przez Gregra „przesławną historyczną szlachtą“ (2).

Uważam za konieczne zaznaczyć tu przedewszystkiém jaknajkategoryczniéj, że propozycya w przedmiocie rokowań pojednawczych z Niemcami zrobiona została ze strony Czechów z najszczerszém życzeniem dojścia do możliwego porozumienia. Co do rządu, otwarcie powiedziéć możemy, że dzielił z nami to życzenie, że zatém w powyższéj sprawie szliśmy z nim zupełnie ręka w rękę. Nie mamy żadnego powodu ukrywać, że pozycya nasza mniéj jest ko-

---

(1) W dniu 17 stycznia r. b. przy wyborze posła do rady państwa od miast Kutna Hora, Hrudim, Časlaw kandydat Młodoczechów d-r Herold zwyciężył kandydata Staroczechów d-ra Hubácka 968 głosami przeciwko 351.

(2) Aluzya do sceny na ostatniéj sesyi sejmu czeskiego, kiedy d-r Edward Gregr z powodu jakiegoś, zresztą nic nieznaczącego głosowania, wygrażał szlachcie pięścią, i jakoby miał zawołać: „Naród czeski nakarbuje to sobie.“

rzystną od sytuacyi Niemców, że spór narodowościowy więcéj nam niż im krzywdy przyniesie, że zatém i my z większém niż oni utęsknieniem pragniemy zakończenia téj rozterki pojednaniem.

A teraz do rzeczy.

Niemieccy posłowie sejmowi wystąpili *in corpore* z sejmu czeskiego 22 grudnia 1886 r., ponieważ postawiony przez nich wniosek w przedmiocie rozdziału Czechii na dwie części, według narodowości zaludnienia, odrzucony został zaraz przy pierwszém czytaniu większością sejmu (posłowie miast czeskich i gmin wiejskich, tudzież partya szlachty historycznéj). Wypada tu przypomniéć dwie okoliczności. Po pierwsze, że wniosek Plenera z 1886 roku co do administracyjnego przepołowienia Czechii był w głównych punktach tylko powtórzeniem podobnego w 1885 r. przez Herbsta postawionego wniosku, który wtedy, po gruntownych rozprawach, przepadł. Co zatém stało się w grudniu 1886 r. i pociągnęło za sobą wyjście posłów niemieckich, streścić można w krótkości jak następuje: Niemieccy posłowie sejmowi uważali za odpowiednie interesom swego stronnictwa powtórzyć wniosek o przepołowieniu Czechii, odrzucony w roku poprzednim po dłuższéj dyskusyi, czeska zaś większość sejmowa nie uznała za potrzebne wznawiać rozpraw co do tego wniosku, raz już gruntownie przeprowadzonego. Ponieważ zaś w grudniu 1886 r. wszystkim było wiadomo, że posłowie niemieccy szukali tylko przyzwoitego pozoru do wyjścia z sejmu czeskiego i że Plener dla tego jedynie występuje ze swoim wnioskiem, ażeby jego stronnictwo mogło nareszcie taki pozór znaleść, więc złożono na barki czeskiéj większości ciężar dostarczenia mniejszości niemieckiéj upragnionego pozoru do wyjścia z sejmu, jakkolwiek ta większość musiała wiedziéć, że ustąpienie posłów niemieckich zgotuje rządowi tylko kłopoty, lub co najmniéj nieprzyjemności.

Co do tego winienem zaznaczyć, że wyjście posłów niemieckich z sejmu było stanowczo ułożone, jako najskuteczniejszy manerw ich taktyki i że pozór ku temu znalazłby się zawsze, choćby go Niemcy mieli (jak się to u nich mówi) chwycić z powietrza. Przy téj sposobności mam do powiedzenia coś, co w naszych stosunkach ma ważność zasadniczą.

Niemcy wystąpili podówczas z sejmu czeskiego dla tego, że uważali za rzecz niezgodną ze swoją godnością narodową, z charakterem przedstawicieli wielkiego narodu niemieckiego figurować w tym sejmie w mniejszości, i mogli nam powiedziéć: „Czynimy jako mniejszość to samo tylko, co dawniéj Czesi również jako mniejszość zrobili. Nikt nam nie może zarzucić, że wnosimy do nowego

życia parlamentarnego Austryi jakąś szkodliwą inowacyą—idziemy tylko za przykładem, danym przez naszych przeciwników narodowych.“ Na to możemy z naszéj strony odpowiedziéć jedynie szczerem: *Pater peccavi*, które zresztą postaram się zupełnie przedmiotowo uzasadnić.

Parlamentaryzm jest niemożliwym bez większości i mniejszości, bez stałéj zasady, że większość roztrzyga a mniejszość decyzyą jéj przyjmuje i poddaje się jéj. Wyobraźmy sobie, że ta zasada, to prawo większości nie będzie powszechnie uznane i stosowane, a znajdziemy się poprostu wśród anarchii, wśród negacyi porządku prawnego, tak niezbędnego w naszych powikłanych stosunkach politycznych i społecznych. Zupełnie tak samo jak rozstrzyga większość przy wyborach na członków wszelkich ciał reprezentacyjnych, musi téż decydować większość w uchwałach tych ciał już wybranych. W monarchii austryackiéj mamy jako najwyższe ciała przedstawicielskie delegacye obu połów cesarstwa do spraw im wspólnych; posiadamy następnie dwie rady państwa austryacką i węgierską, daléj sejmy pojedynczych królestw i krajów w obu tych połowach i nareszcie reprezentacye okręgowe i przedstawicielstwa czyli zarządy pojedynczych gmin. We wszystkich tych ciałach większość musi rozstrzygać i stanowić, a mniejszość musi poddawać się postanowieniom większości, jeżeli ma istniéć jakikolwiek porządek prawny.

Otóż w téj skomplikowéj maszyneryi parlamentarnéj może się zdarzyć wypadek, że mniejszość wyborców, nie mając wcale widoku przeprowadzenia swego kandydata, nie wybiera go i nie ma środka przymuszenia jéj, aby się przy urnie pokazała i zaświadczyła o swojéj słabości; ale wybrany przedstawiciel jest bądź-co-bądź obowiązany spełnić powierzony sobie mandat, a że każde ciało przedstawicielskie koniecznie z pewnéj liczby osób składać się musi, więc i ich postanowienia, jeżeli pominiemy jednomyślność poglądów i przekonań, muszą być regulowane liczbą, t. j. większością głosujących członków. Gdyby chcieć dla mniejszości, jako takich windykować prawo wydzielania się z korporacyi przedstawicielskich, trzebaby je w konsekwencyi uznać za prawo przysługujące wogóle wszelkim mniejszościom, a w takim razie nie potrzebuję wykazywać zamieszania powszechnego, które musiałoby wytworzyć się w całém naszém życiu publiczném.

Posłowie narodu czeskiego na sejm w Pradze i do austryackiéj rady państwa popełnili przed laty błąd wielki, według mego zdania, windykując takie prawo dla siebie, jako dla mniejszości; wystąpili z sejmu czeskiego i trzymali się również zdala od rady państwa.

Daliśmy sami zły przykład i sądzę, że nie omylę się, utrzymując, iż Niemcy nie byliby w r. 1886 powzięli tego postanowienia, gdyby nie mogli powołać się na ów dany przez nas zły przykład. Dla tego powiedziałem, że powinniśmy otwarcie mówić: *Pater peccavi.*

Jakże więc obecnie stoją rzeczy? Dziś Niemcy wystąpili z sejmu czeskiego i grożą również wyjściem z rady państwa, bo i tam są w mniejszości. W Czechach opuścili sejm w 1886 roku wszyscy posłowie niemieccy; w Wiedniu uczynili to nie wszyscy Niemcy, lecz tylko klub niemiecko-austryacki, klub niemiecki, zjednoczenie niemiecko-narodowe i bezwątpienia antysemici. Demokraci nie wezmą zapewne udziału w wystąpieniu, a w żadnym razie nie uczynią tego Niemcy z krajów alpejskich. Niemcy znają téż dobrze siłę swojéj pozycyi, wiedzą, że wyjście ich z ciał parlamentarnych ma zgoła inne znaczenie dla dzisiejszego rządu austryackiego, aniżeli wtedy miało wystąpienie Czechów z sejmu i z rady państwa. Co do tego nie powinniśmy miéć żadnych złudzeń. Rząd austryacki uczuł się już bardzo nieprzyjemnie dotkniętym wyjściem posłów niemieckich z sejmu czeskiego, a nie ulega wątpliwości, że zapowiedziane już wystąpienie z rady państwa tak zwanych liberalnych Niemców zgotowałoby rządowi większe jeszcze kłopoty. Rządowi zatém austryackiemu wiele na tém zależy, ażeby skłonić niemieckich posłów z Czechii do powrotu do sejmu czeskiego i tym sposobem zapobiedz możliwemu wyjściu Niemców z austryackiéj rady państwa. Wszystko to Niemcy wiedzą naturalnie lepiéj odemnie, i na tém właśnie budują swoje plany. Rząd chcieliby miéć miękki i skłonny do usług; uważają, że powinienby im sam równać drogi, po których iść z nim razem byłoby im najwygodniéj i dlatego obstają teraz przy tém, żeby im rząd dał to, czego czeska większość w sejmie odmówiła. Rząd powinien dostarczyć (według ich wyrażenia) dostatecznych rękojmi, że wszystko to, czego się domagają w Czechii, jako praw narodowych, przyznane im będzie w całéj pełni. Nienawistne równouprawnienie Niemców i Czechów w królestwie czeskiém poczytują za upokorzenie wyższego pod każdym względem narodu niemieckiego. Najlepiéj do gustu przypadłaby im dawniejsza supremacya żywiołu niemieckiego w całém życiu publicznėm, albo otwarciéj mówiąc, konstytucyjnie ustalone panowanie w całym kraju „wyższych“ Niemców nad „niższymi“ Czechami. Ponieważ jednak widzą, że osiągnąć to obecnie byłoby rzeczą nie tak łatwą, a właściwie, że się to stało niepodobieństwem, więc żądają rozpołowienia królestwa czeskiego i chcą, żeby rząd sam ten rozdział przeprowadził, wbrew sejmowi czeskiemu i jego czeskiéj większości. Ale i to przepołowienie musiałoby być takiém, jakiego sobie

Niemcy życzą. Nie idzie tu o podzielenie na dwa administracyjne terytorya czyli prowincye, jedną niemiecką, drugą czeską z równemi prawami dla Czechów w czeskiéj, dla Niemców w niemieckiéj połowię. O czém inném Niemcy myślą i byliby zadowoleni dopiéro w takim razie, gdyby podział został przeprowadzony w następujący sposób.

Królestwo czeskie będzie podzielone według granicy językowéj na dwie części: jedna z nich jest zupełnie czyli rdzennie niemiecką. Językiem wyłącznie używanym w urzędzie, w sądzie i w szkole, słowem w życiu publiczném, ma tam być język niemiecki. Do żadnego urzędu podania pisane po czesku nie będą przyjmowane, w żadnéj szkole mowa czeska nie będzie cierpianą. W téj części Czech język czeski ma być uważany jako zgoła dla życia publicznego nieistniejący — zupełnie jak chiński. Gdyby w téj niemieckiéj części Czechii Czechowie mieli być tu i owdzie tolerowani, to tylko pod jednym warunkiem, że się wyprą wyraźnie swojéj narodowości, albo przynajmniéj dzieci oddadzą na pastwę germanizacyi. Druga część Czechii, w któréj tymczasowo Czesi cierpiani są jako mieszkańcy kraju, dopóki nie ulegną nieuniknionéj germanizacyi, musiałaby być tak urządzona, aby najprzód panował w niéj język niemiecki, jako państwowy i żeby na téj podstawie prawa narodowe zamieszkałych tam Niemców były im w najrozleglejszych rozmiarach zabezpieczone. Rzecz naturalna, że język niemiecki, jako państwowy w monarchii austryackiéj, musiałby w publiczném życiu owéj drugiéj części Czechii ważniejszą odgrywać rolę aniżeli czeski. Podania do urzędów i do sądów mogłyby być wprawdzie wnoszone, a w najgorszym razie, nawet załatwiane w języku czeskim, ale językiem wewnętrznéj służby w urzędach i władzach sądowych musiałby być niemiecki. Czeskie szkoły mogłyby również egzystować w téj części kraju, ale język niemiecki musiałby być przedmiotem obowiązującym we wszystkich zakładach naukowych.

Ponieważ zaś dzisiejszy rząd austryacki nie może już wdawać się w takie rzeczy, więc Niemcy obstają przy swojém twierdzeniu, że ich prawa narodowe w Austryi nie są dostatecznie szanowane, że w rozwoju swego życia narodowego napotykają przeszkody, słowem, że germanizm w Austryi jest zagrożony.

Jeżeli więc mimo takiéj odpornéj pozycyi Niemców, ze strony czeskiéj powtarzają się ciągle próby zakończenia opłakanego sporu narodowościowego w Czechach jakiémś porozumieniem, jakiémś pokojowém rozstrzygnięciem, zadawalniającém o ile możności obie strony, to dzieje się to nie tylko z przyczyny, że tak sobie życzy

rząd, ale głównie dla tego, że my Czesi szczerze i uczciwie pragniemy pokojowego i przyjaznego obok siebie pożycia obu mieszkających na jednéj ziemi ludów. Najnowsze zatém rokowania pojednawcze podjęte zostały z naszéj strony nie koniecznie na komendę rządu: odpowiadają one bowiem pragnieniu tak często już przez nas okazywanemu: dojścia do takiego z naszymi niemieckimi współziomkami *modus vivendi*, któryby i oni przyjąć zechcieli.

W sierpniu r. z. dr. Rieger oddał pierwszą wizytę d-rowi Schmeykalowi a powtórzył ją późniéj we wrześniu. Celem téj wizyty było przekonanie się, czy po stronie niemieckiéj jest jakabądź skłonność do rokowań pojednawczych.

Wypada mi tu zastanowić się dłużéj nad stosunkiem, w jakim znajdują się obecnie do siebie obaj ci przywódcy. Dr. Rieger uchodzi za politycznego kierownika Czechów, dr. Schmeykal za takiegoż rzecznika Niemców i zajmowali istotnie te stanowiska dopóty, dopóki Czesi i Niemcy w Czechii stali naprzeciw siebie jako zwarte, jednolite stronnictwa narodowe. Czytelnicy tych listów dostatecznie są już poinformowani o fatalném rozpadnięciu się czeskiéj partyi narodowéj na dwa odłamy, na tak zwanych Staro- i Młodoczechów; wiedzą również, że Młodoczesi nie uznają powagi dr. Riegera jako politycznego przywódcy narodu, że ta partya w ciągu lat całych robiła wszystko, co mogła, żeby podkopać znaczenie dr. Riegera u narodu czeskiego i muszę dodać, że właśnie w ostatnich czasach zaszły okoliczności, które bardzo sprzyjały téj podziemnéj robocie. Przy wyborach dopełniających do rady państwa zwyciężyło niedawno trzech kandydatów młodoczeskich znaczną większością, a jeden z tych wyborów odbył się na Starem-mieście w Pradze, którego deputowany jest, rzec można, najważniejszym między posłami od narodu czeskiego do rady państwa. Gdyby chcieć obecnie stanowisko dr. Riegera oceniać według wyniku tych trzech wyborów, trzebaby wydać zdanie bardzo niekorzystne. Rzeczy jednak tak źle nie stoją. Rezultat tych trzech wyborów wynikł, jak już powiedziałem, ze zbiegu okoliczności, które działaniu Młodoczechów chwilowo sprzyjały, ale wątpię, ażeby trwały wpływ wywierać mogły. Następujące objaśnienia zupełnie sprawę wyświetlą.

W sejmie czeskim wszyscy przedstawiciele narodu czeskiego tworzą klub i występują jako zwarte stronnictwo. Młodoczesi stanowią w tym klubie krańcową lewicę, ale dr. Rieger jest prezesem klubu i jednolitość stronnictwa narodowego (pominąwszy niektóre wybryki Młodoczechów) dość silnie się przedstawia. Frakcya Młodoczechów wynosi w przybliżeniu piątą część całego klubu. Inaczéj ukształtowały się rzeczy w 1887 r. w czeskim klubie rady pań-

stwa. Ten klub składa się z 38 posłów czeskiéj narodowości z Czechii, z 9 posłów słowiańskiéj (możnaby także powiedziéć, czeskiéj narodowości) z Morawii i z 8 posłów tak zwanéj historycznéj, narodowo usposobionéj partyi szlacheckiéj z Czech. W ciągu r. z. nastąpiła w tym klubie scysya, wskutek wyjścia czterech czeskich posłów pod wodzą dr. Edwarda Gregra, brata właściciela „Narodnich listów“. Ci cztéréj, wzmocnieni jeszcze o trzech członków przez trzy wzmiankowane wyżéj wybory, tworzą obecnie w radzie państwa z siedmiu członków złożony klub młodoczeski pod nazwą „klubu niezależnych posłów czeskich“. Otóż w lecie r. z. ta secesya pierwszych czterech Młodoczechów była już w ogóle uważana w Czechii za błąd polityczny i różne ze wszystkich stron stowarzyszenia polityczne, jak również reprezentacye gminne i okręgowe wyraziły kategoryczne życzenie, ażeby przywrócona była jedność w czeskiéj partyi narodowéj w radzie państwa i żeby stronnictwo zgodnie do swoich celów zdążało, kiedy zaszła okoliczność, która zdawała się usprawiedliwiać tę akcyą Młodoczechów.

W sierpniu r. z. nowy minister oświaty, baron v. Gautsch, wydał pod tytułem „dyslokacyi szkół średnich“ reskrypt, który w gruncie rzeczy jest zredukowaniem liczby istniejących szkół średnich (gimnazyów i szkół realnych). To rozporządzenie ministeryalne napsuło wiele krwi wśród ludności czeskiéj w Czechii—Niemców zaś nie bardzo rozdrażniło. Rząd wydał je, nie uważając nawet za stosowne porozumiéć się przed tém z czeskimi posłami w radzie państwa lub przynajmniéj zasięgnąć ich opinii, lubo wiadomém było, że pozycya deputowanych względem ludu czeskiego stanie się przez to wielce kłopotliwą. Wytworzenie i rozwój średniego wykształcenia w Czechach miało przecież stanowić główny punkt mandatu posłów czeskich. Liczba szkół średnich czeskich i niemieckich w Czechii była zawsze bardzo nie normalnie ustosunkowana do procentu czeskiéj i niemieckiéj ludności. Trzeba przedewszystkiém wiedziéć, że przed 1848 r. w całéj Czechii nie było ani jednéj czeskiéj szkoły średniéj. Czeskie gminy miejskie, idąc za popędem patryotycznéj ofiarności, zrobiły co do nich należało i założyły kilka szkół średnich z własnych funduszów. Zadaniem więc posłów czeskich do rady państwa było starać się, żeby rząd objął takie gminne szkoły średnie na swój wyłączny koszt, lub żeby przynajmniéj przyznaniem subwencyi państwowéj zabezpieczył im dalszą egzystencyą. Działanie posłów czeskich w tym kierunku wydało już od r. 1880 nie jeden pomyślny rezultat, ale wiele jeszcze brakowało do zakończenia téj akcyi, kiedy w sierpniu r. z. ogłoszony został ów reskrypt ministeryalny. Rzeczoném rozporządzeniem nietylko od-

jęto niektórym szkołom średnim rządowym wyższe klasy, ale postawiono zasadę, że szkołom średnim bądź gminnym, bądź prywatnym żadna nadal subwencya rządowa przyznawana nie będzie. Prócz tego, z końcem r. z. wstrzymano wypłacane dotychczas subsydya rządowe.

Powyższe rozporządzenie było bardzo pożądaną wodą na młyn Młodoczechów. Wygłaszane przez nich oddawna już hasło „opozycya przeciw gabinetowi Taafego" zdawało się znajdować w niém najzupełniejsze usprawiedliwienie. „Jesteśmy partyą rządową, służymy rządowi, oto nasza nagroda"—mówiono z pewnym pozorem słuszności, który następnie tłómaczył poniekąd powzięte przez Młodoczechów postanowienie zupełnéj zmiany taktyki stronniczéj i rozpoczęcia stanowczéj przeciwko rządowi opozycyi. „Madziarowie, rozumowano daléj, zdobyli wszystko opozycyą konsekwentną; powinniśmy iść za ich przykładem itd. itd." Nie myślę tu bynajmniéj wdawać się w wykazywanie, o ile odmienném jest w cesarstwie austryackiém położenie Madziarów, bo zamiarem moim jedynie jest wyświetlić, jaki na raz spełnił się zwrot w opinii narodu czeskiego na korzyść programu Młodoczechów: „opozycya przeciw rządowi!" co ułatwi każdemu zrozumienie, jakim sposobem i dla czego przy wydarzonych od tego czasu trzech nowych wyborach do rady państwa, wybrani zostali kandydaci Młodoczechów.

Właśnie w téj chwili, kiedy to piszę (w lutym r. b.) napływa nowa woda na młyn młodoczeski, ponieważ zaś w listach moich idzie mi przedewszystkiém o przedstawienie wiernego obrazu stosunków między stronnictwami w Czechach, wspomnę więc zaraz o tych okolicznościach, które partyi młodoczeskiéj dają pożądaną sposobność przedstawienia w najjaskrawszém świetle jéj liberalizmu i politycznéj krańcowości.

Zaraz na pierwszém posiedzeniu rady państwa, po feryach Bożego Narodzenia (25 stycznia r. b.) przedstawiono dwa projekty do prawa, które ze względu na swoję naturę musiały być przedmiotem nader ożywionych rozpraw.

Minister oświaty, baron von Gautsch, wniósł w tym dniu do Izby prawo, tyczące stosunku władz akademickich do stowarzyszeń i zgromadzeń młodzieży, studyującéj w uniwersytetach". Sens i cel tego prawa przedstawia się krótko i węzłowato jak następuje: „studenci na uniwersytetach nie powinni brać udziału w agitacyach politycznych ani w żadnych działaniach stronniczych, a władze uniwersyteckie mają nad tém czuwać, żeby agitatorowie polityczni nie popychali do tego studentów, żeby zatém przywódcom ani adherentom partyi politycznych nie był dozwolony dostęp ani udział w zgro-

madzeniach studenckich. Otóż trzeba wiedzieć, że stowarzyszenia studenckie w uniwersytetach austryackich (tj. przedlitawskich) od wielu już lat są niestety narzędziami agitacyi i demonstracyi politycznych. Najsilniéj działa tam krańcowa partya niemiecko-narodowa, albo wprost, albo téż pod płaszczykiem antysemityzmu. To stronnictwo, uważające Przedlitawią jedynie za przedmiot anneksyi dla potężnego cesarstwa niemieckiego, ta partya, która przez usta jednego z głównych swoich agitatorów w radzie państwa porównywała Austryą do „wypalonéj trociczki", zostawiającéj po sobie popioły przeznaczone jedynie do mierzwienia ziemi niemieckiéj, tyle już pod tym względem dokonała, że trzeba zgodnie z prawdą powiedzieć, iż dzięki jéj uczucie austryackiego patryotyzmu zostało zupełnie wytępione w sercach oddanych jéj studentów. Doszło już do tego, że popiersia ich cesarskich mości i następcy tronu usunięto z lokalów tych stowarzyszeń studenckich. W wiedeńskiéj radzie państwa studenci uniwersyteccy, w służbie niemieckiéj opozycyi, tworzą główny kontyngens téj galeryowéj publiczności, która podobnie jak płatni sankiuloci za czasów rewolucyi francuskiéj, uważa za swoje zadanie demonstracyjnie popierać akcyą rzeczników opozycyi i napędzać strachu zarówno większości jak rządowi. Jak dalece interes praskich Młodoczechów jest identycznym z opozycyą niemiecką w radzie państwa, okazuje się już z téj okoliczności, że stowarzyszenia studenckie w czeskim uniwersytecie w Pradze, zupełnie jak w Wiedniu, używane są przez agitatorów młodoczeskich do podobnych celów i agitacyi stronniczych.

Gdy więc minister Gautsch pragnie swoim projektem do prawa ochronić patryotyzm austryacki, istotnie zagrożony, i wyrwać broń napastniczą z rąk opozycyi niemieckiéj, spotyka się z opozycyą Młodoczechów, których interesa stronnicze ucierpiéć muszą z powodu owego prawa. A kiedy partya Staroczechów w radzie państwa, oceniając przedmiotowo obecne okoliczności i uwzględniając oczywiste dla każdego motywa, okazuje zupełną gotowość rozpoczęcia obrad nad przedstawionym projektem i ewentualnie nadania mu *mutatis mutandis* mocy prawa, dostarcza tém samém Młodoczechom pożądanéj sposobności do wystąpienia w roli odważnych obrońców zagrożonéj akademickiéj w o l n o ś c i studentów i do ogłoszenia Staroczechów a przedewszystkiém d-ra Riegera za niewolnicze narzędzia rządu i tchórzliwych satelitów reakcyi—co téż właśnie czynią w obecnéj chwili.

Drugi projekt do prawa, wniesiony do rady państwa 25 stycznia r. b., nosi tytuł „Prawa stanowiącego zasady wychowania i oświaty w szkołach ludowych." Powyższy projekt wniesiony zo-

stał przez ks. Aloizego Lichtensteina, jednego z przywódców tak zwanych konserwatywnych, albo klerykalnych Niemców i przez 30 jego stronników. Konserwatywnymi nazywają się w austryackiéj radzie państwa ci Niemcy, którzy nie idą z niemiecką opozycyą, klerykalnym zaś jest w Austryi każdy, kto, krótko mówiąc, nie jest wrogiem kościoła katolickiego, lecz żąda dla niego praw i swobód windykowanych przez wszelkie akatolickie i izraelickie korporacye, słowem, kto się na to nie zgadza, ażeby szkoly ludowe służyły do odrywania dzieci katolickich od kościoła katolickiego. W tym więc wypadku otwarci wrogowie kościoła katolickiego zakrzyknęli o „s z k o ł a c h w y z n a n i o w y c h“, wiedząc dobrze, że tłum da się zawsze ujarzmić i poprowadzić odpowiednim frazesem. Że Prusacy, ten arcywzór, to bożyszcze wielkoniemieckich aspiracyi posiadają i zasadniczo uznają szkoły wyznaniowe, o tém milczy się przezornie i głosi, jakoby dla Austryi takie szkoły miały być niebezpieczeństwem społeczném, fatalnym krokiem wstecz na polu oświaty ludowéj. Nadto, centraliści niemieccy brzydzą się projektem Lichtensteina jeszcze i z téj, bardzo dla nich ważnéj przyczyny, że ten projekt żąda wyraźnie od rady państwa postawienia tylko głównych zasad do prawa o oświacie ludowéj i pragnie, żeby przeprowadzenie prawa, odpowiadające specyalnym stosunkom danéj prowincyi, pozostawione było właściwym sejmom krajowym. I na to mają gotowe hasło, oburzając się przeciwko s p r o w i n c y o n a l i z o w a n i u szkół ludowych, które według ich twierdzenia ma być brzemiennėm w straszne następstwa niebezpieczeństwem dla jedności państwa, dla jedności armii a zatém dla europejskiego stanowiska monarchii.

Młodoczesi, podobnie jak liberalni Niemcy, są otwartemi nieprzyjaciołmi kościoła katolickiego; Staroczesi, przeciwnie, nie mają do tego żadnéj rozsądnéj przyczyny. Młodoczesi chcieliby wszystkich Czechów przerobić na samych Husytów, nie zastanawiając się, że Husyci byli tém, czém byli i robili to, co robili jedynie z pobudek wyegzaltowanego fanatyzmu religijnego, który nie zupełnie da się pogodzić z jawnie i otwarcie okazywaną przez Młodoczechów niereligijnością. Według programatu Młodoczechów, Czechowie powinniby być, jeżeli już nie Husytami, to przynajmniéj protestantami, albo wreszcie przyłączyć się do kościoła prawosławnego—tylko nie wolno im być katolikami. Staroczesi przeciwnie, biorą rzeczy tak jak są; nie wypierają się swoich husyckich przodków, ale wiedzą bardzo dobrze, że tak zwane świetne czasy husyckie były początkiem i właściwą przyczyną upadku i prawie dokonanéj zagłady narodu czeskiego, bo przeciwko husytom powstała cała Europa ka-

tolicka a mały naród nie mógł tak mnogim nieprzyjaciołom stawić dłuższego oporu. Więc Staroczesi uważają za rzecz zupełnie niewczesną wznawiać dawne namiętności, a ostatnie czasy nauczyły ich wdzięczności właśnie katolickiemu duchowieństwu za gorliwe współdziałanie od końca 18 wieku około wskrzeszenia w ludzie czeskim ducha narodowego. Nadto, Staroczesi nie są nie-religijnymi z zasady,—nie jest takim przedewszystkiém dr. Riéger; przeciwnie panuje wśród nich zdanie, że uczucie religijności jest ozdobą każdego ukształconego człowieka i że rozsądne pielęgnowanie tego uczucia stanowi najważniejszą część składową wychowania młodzieży, a zatém w planie wychowawczym szkoły ludowéj dobrze urządzonéj powinno zająć należne miejsce.

Otóż, ponieważ projekt do prawa Lichtensteina domaga się należnego uwzględnienia religijnych pierwiastków oświaty w szkole ludowéj, nie wykluczając religii katolickiéj, i dla tego ucieka się do współudziału duchowieństwa katolickiego w kierownictwie szkołą elementarną a przytém, wbrew centralizmowi niemieckiemu bierze także w rachubę autonomiczne dążenia, przeto Staroczesi sądzili, że nie mieli żadnego powodu do odrzucania projektu *a limine*, lecz przeciwnie, okazali i tu skłonność przystąpienia do rozpraw i do nadania projektowi *mutatis mutandis* mocy prawa. Ale Młodoczesi stoją tu znowu w zupełności po stronie opozycyi niemieckiéj i korzystają również z téj pożądanéj sposobności, żeby w oczach narodu czeskiego oczernić Staroczechów z dr. Riegerem na czele, jako klerykałów, obskurantów i wrogów oświaty ludowéj. Chcąc jednak zasłonić się przed zarzutem, że zaniedbują tu sposobność osiągnięcia czegoś w tak ważnéj sprawie dla samorządu królestwa czeskiego, przedstawili od siebie samoistny kontr-projekt, w którym usunięty jest zupełnie moment religijny, a pozostawiona natomiast dążność autonomiczna czyli „sprowincyonalizowanie“ oświaty ludowéj.

Z powyższego okazuje się oczywiście, że taktyka stronnicza Młodoczechów względem Staroczechów polega na rzucaniu piasku w oczy niedoświadczonych tłumów—i tak téż zawsze postępuje to stronnictwo. Rzecz jasna, że ich projekt do prawa nie ma żadnych widoków powodzenia i nigdy w radzie państwa większości nie zdobędzie, bo cała opozycya niemiecka głosować będzie w zwartych szeregach przeciwko zaakcentowanemu w nim „sprowincyonalizowaniu“ oświaty ludowéj, a wszyscy konserwatywni Niemcy staną w obronie własnego projektu. Nie mogą więc liczyć Młodoczesi na powodzenie parlamentarne i cała ich akcya przedstawia się tylko jako bardzo przezroczysty manewr stronniczy, mający przekonać

ludzi niedoświadczonych, że partya młodoczeska lepiéj wszystko rozumié od dr. Riegera i od Staroczechów.

Jeżeli więc chodzi o stanowczą i przedmiotową odpowiedź na pytanie: czy dr. Riegera można jeszcze uważać za politycznego przywódcę narodu czeskiego i czy jako taki posiada dostateczną powagę do przeprowadzenia z Niemcami pojednawczych rokowań, któreby obowiązywać mogły naród czeski?—wypadnie odpowiedzić na to z pewném zastrzeżeniem. Dr. Rieger jest zawsze uznanym wodzem politycznym większości narodu czeskiego; przedstawia stanowczo jako taki polityczne poglądy téj większości, i takiego stanowiska nie zaprzeczają mu nawet Młodoczesi; ale ma przeciwko sobie bardzo ruchliwą partyą, która wszystkich środków używa do uszczuplenia jego powagi i podkopania pozycyi i któréj zgodę na zawarte przez siebie z Niemcami punkta pojednawcze w takim tylko razie mógłby pozyskać, gdyby pojednanie w ten sposób było przeprowadzone, iżby ujemna krytyka Młodoczechów, wobec ogólnego przyzwolenia okazała się bezsilną.

A teraz pomówmy o d-rze Schmeykalu.

Stanowisko tego politycznego *de nomine* wodza Niemców w Czechii jest z gruntu różne od pozycyi dr. Riegera. Dr. Rieger był, jak się to zwykle mówi, z rodu zamożnym człowiekiem, i należy obecnie do posiadaczy większéj własności ziemskiéj, jako właściciel *dominium* Maleč. Ale cały naród czeski wie, że dr. Rieger, zawsze gotów do ofiar, używał środków materyalnych, które posiada, na cele narodowe i że nigdy pod żadnym pozorem nie korzystał ze swéj pozycyi politycznéj w celu pomnożenia swych materyalnych środków, słowem, że zawsze w najbezinteresowniejszy sposób, według sił i możności pracował dla dobra swego narodu. Pomimo więc pewnego pod tym względem rozluźnienia pojęć w ostatnich czasach, ta jedna okoliczność nadaje dr. Riegerowi w oczach narodu czeskiego powagę moralną, któréj nawet antagonizm Młodoczechów uszczuplić ani przyćmić nie jest w możności.

Dr. Schmeykal był w 1861 r. dependentem u adwokata w Czeskiéj Lipie. Nie miał żadnego majątku. Kiedy w tymże roku wybrany został na posła do sejmu czeskiego, politycznym wodzem Niemców w Czechii był dr. Herbst. Utalentowany młodzieniec stał się wkrótce (jak wtedy mówiono) adjutantem d-ra Herbsta, a kiedy wódz przeniósł pole swojéj działalności politycznéj do Wiednia, dr. Schmeykal awansował na uznanego powszechnie zastępcę Herbsta w Czechii. Konstytucya lutowa 1862 r. nadana była, jak wiadomo, w celu zapewnienia Niemcom hegemonii politycznéj w Czechach, Niemcy więc byli przez długie lata uprzywilejowanymi wykonawcami

politycznego panowania w królestwie czeskiém a dr. Schmeykal ich uznanym przywódcą; że zaś, jak wiadomo, z polityczną władzą łączą się korzyści materyalne, więc dr. Schmeykal stał się z czasem człowiekiem bogatym.

Program polityczny dr. Herbsta i jego następcy streszczał się krótko węzłowato w hegemonii czyli panowaniu Niemców w Austryi; najprzód w całéj Austryi a po 1867 r. przynajmniéj w jéj połowie; „my Niemcy“ mówiono, „jesteśmy *beati possidentes* i to nam wystarcza“. Ale od r. 1879 hegemonia niemiecka w Austryi przestała być prawem zasadniczém państwa, a że Niemcy wskutek tego również przestali być *beati possidentes*, więc skończyło się i ich zadowolenie. Niemcy w cichości odłożyli na bok tak długo z miłością piastowany tytuł „przyjaciół konstytucyi“, konstytucya bowiem nie ubezpieczyła im prawa do politycznéj hegemonii, i zapowiedzieli głośno swoję opozycyą przeciw rządowi, który śmiał postawić zasadę: że Austrya, rozwiedziona z Niemcami, musi z konieczności stanąć na własnych, austryackich nogach. W téj głośno zapowiadanéj opozycyi przeciwko rządom Taafego nie długo trzymali się Niemcy czescy z tą zwartością stronniczą, jaką okazywali z początku. Zaraz po 1879 r. zagrożeni bądź co bądź w swém uprzywilejowaném stanowisku, Niemcy rozpoczęli walkę przeciw gabinetowi Taafego z wielką pewnością zwycięstwa. Według ich przekonania, ministeryum to winno było niechybnie upaść pod ciosami opozycyi niemieckiéj; gdy jednak tak łatwo przewidywane powodzenia nie nastąpiły, uznano, że taktyka stronnictwa, wytknięta przez przywódców, jest nie odpowiednia i postawiono zasadę: „maszerować oddzielnie, uderzać razem“. Dawniejsza „zjednoczona lewica“ rady państwa, niezależnie od wytworzonych w niéj drobnych frakcyi demokratów i antysemitów, rozpadła się na „klub austryacko-niemiecki“ i „klub niemiecki“. Właściwą różnicę między tymi dwoma odłamami opozycyi niemieckiéj możnaby określić tak: niemiecko-austryacka opozycya dąży do wskrzeszenia w Austryi hegemonii niemieckiéj, uważając zawsze Austryą za cel a żywioł niemiecki tylko za niezbędny do tego celu środek, i regulując się według prądów z góry, tak aby bądź co bądź nie straciła możności rządzenia w danym razie; niemiecka opozycya znaczy to samo co negacya Austryi jako celu a zatém lekceważenie możności rządzenia, zbytecznéj w takim razie a nawet bez treści.

Ten rozdział w łonie opozycyi niemieckiéj na dwie nieprzyjazne partye, które łączy właściwie tylko wspólna nienawiść dla gabinetu Taafego, wykazał już bardzo wyraźnie do jakiego stopnia specyalnie w Czechii wytworzone stosunki stronnicze wpływają sto-

nowczo na wytwarzanie się stronnictw w wiedeńskiéj radzie państwa. W Czechach najprzód ozwało się hasło: tylko po niemiecku, a raczéj, według ulubionego wyrażenia: ostro po niemiecku; w Czechii wytworzył się najprzód antagonizm między Niemcami austryackimi a niemieckimi narodowcami; tu najprzód wodzowie polityczni opozycyi niemieckiéj w radzie państwa, czyli tak zwanéj „zjednoczonéj lewicy, napiętnowani zostali jako „statyści“ (za czasów rewolucyi francuskiéj wyrażenie *hommes d'état* było również stosowane do tak zwanych trybunów ludowych), jako „łowcy tek ministeryalnych“ i „ambitni karyerowicze“, tu wreszcie otwarcie wypowiadano zasadę: że należne Niemcom stanowisko może im być doskonale zabezpieczone bez żadnego uwzględniania pozycyi państwowéj monarchii austryackiéj, jedynie jak najściślejszém przyłączeniem się do cesarstwa niemieckiego. Krańcowo-narodowi trybunowie niemieccy z Czechii, Knotz, Prade, Strache i Pickert, są właściwymi założycielami „klubu niemieckiego“ w radzie państwa; 42 posłów niemieckich stworzyło ten klub, który jednak niedługo istniał, bo wkrótce nastąpił nowy rozdział i tu wypada zaznaczyć, że ten rozdział był wynikiem różnicy zdań wśród krańcowo-narodowych trybunów niemieckich z Czechii. Knotz i Prade a z niemi 16 posłów niemieckich założyli „zjednoczenie niemiecko-narodowe (klub nie jest niemieckim wyrazem), Pickert został w klubie niemieckim a Strache złożył swój mandat (1).

Jakaż tedy jest właściwa dążność tego „niemiecko-narodowego zjednoczenia“ i czém się ono właściwie różni od klubu niemiec-

---

(1) W przedmiocie stosunków między stronnictwami w radzie państwa ogłoszono w marcu 1888 r. następujący wykaz:

Klub polski	56	Prawica, partya rządowa
Cesky klub	57	
Prawe centrum (klub Hohenwarta, konserwatywni Niemcy, Słoweńcy)	34	
Klub centrum (Lichtenstein, klerykalni)	19	
Klub niemiecko-austryacki (Herbst, Plener)	87	lewica, opozycya niemiecka
Klub niemiecki	24	
Zjednoczenie niemiecko-narodowe	18	
Związek niemieckich liberałów (Schönerer, antysemici)	6	
Centrum liberalni (Coronini)	11	głosują raz z prawicą to znów z lewicą
Klub niezawisłych posłów czeskich (Gregr)	7	
Klub rusiński	4	
Klub Trentino (Włosi)	7	
Posłowie nie należący do żadnego klubu	16	
	346	
Wakujących mandatów	7	
Ogólna liczba	353	

kiego? Sprawy wewnętrze klubu niemieckiego, zakończone rozdziałem, nie zostały ujawnione a istotny program „niemiecko-narodowego zjednoczenia“ również nie jest znany, ale pierwsza parlamentarna akcya nowéj partyi niemieckiéj dość wyraźnie wykazuje swą rzeczywistą barwę. Po ogłoszeniu przymierza austryacko-niemieckiego z 1879 r. Knotz postawił w radzie państwa wniosek, ażeby formalną uchwałą obu izb rady państwa, przymierze to było uznane za zasadnicze prawo państwowe Austryi i żeby je nadal traktowano jako sankcyą pragmatyczną. Można więc śmiało twierdzić, że właściwą dążnością „niemiecko-narodowego zjednoczenia“ jest poddanie Austryi pod zwierzchnictwo cesarstwa niemieckiego. Jeżeliby chodziło o określenie różnicy między klubem niemieckim a niemiecko-narodowém zjednoczeniem, to możnaby powiedzieć, i jeden i drugie chcą w gruncie rzeczy tego samego; Austryaków nie ma ani w klubie ani w zjednoczeniu; stanowisko polityczne Austryi, jéj polityczna niezawisłość nikomu tam nie leżą na sercu, tylko że jedni sądzą, iż mogą i powinni już teraz, bez żadnéj ceremonii wypowiadać swoje dążenia, gdy tymczasem drudzy uważają za stosowne czekać w przezornéj powściągliwości na odpowiednią do tego chwilę.

Jakże wobec tego wszystkiego przedstawia się tak zwany do dziś dnia przywódca polityczny Niemców w Czechii, dr. Schmeykal? Sądzę, że mu nie zrobię krzywdy, twierdząc, iż z politycznego swego usposobienia należy do téj partyi, którą w radzie państwa reprezentuje klub niemiecko-austryacki. Ale ambicya jego na tém polega, ażeby pozostać wodzem politycznym Niemców w Czechach. Tymczasem w Czechii przewodzą Niemcom Knotz, Prade, Strache i Pickert; otóż przeciw nim wystąpić mężnie i stanowczo nie ma Schmeykal odwagi—usunąć się zaś zupełnie z widowni politycznéj nie ma ochoty. Kto chce płynąć do celu na rozbujałych falach ruchu narodowego, ten musi zdać się na ich wolę; tak téż robi dr. Schmeykal i tym sposobem zostaje nominalnym kierownikiem, bo się pozwala prowadzić. Jako więc do nominalnego wodza Niemców w Czechii, zwrócili się do niego dr. Rieger i najwyższy marszałek krajowy czeski, książe Jerzy Lobkowic z wnioskami swojemi w przedmiocie politycznego pojednania Czechów z Niemcami.

Wspomniałem wyżéj, że dr. Rieger rozpoczął pojednawcze rokowania od dwóch wizyt złożonych dr. Schmeykalowi. Dr. Schmeykal zażądał piśmiennéj propozycyi, która sformułowana została 29 listopada r. z. w odezwie księcia Lobkowica do dr. Schmeykala po osobistéj z nim rozmowie. W odezwie powiedziano między innemi:

„Pozwalam sobie proponować konferencyą pod mojém przewodnictwem, na którą zbiorą się przedstawiciele większości i mniejszości sejmowéj, mianowicie z jednéj strony reprezentanci klubu wielkich właścicieli ziemskich i czeskiego klubu, z drugiéj delegaci klubu posłów niemieckich, w celu dojścia do możliwego porozumienia się, pod jakiemi warunkami posłowie niemieccy weszliby na nowo do sejmu.

„Na tę konferencyę posyłają mężowie zaufania trzech wzmiankowanych klubów po 2 do 4 członków z każdego klubu, tak, że konferencya liczyłaby oprócz prezydującego najmniéj 6, najwięcéj 12 członków.

„Od przebiegu i rezultatu konferencyi zależałoby, czy i w jakiéj formie byłby do udziału w niéj zaproszony rząd cesarsko-królewski."

Książę Lobkowic proponuje jako podstawy do rozpraw następujące punkta, z zastrzeżeniem, że i inne nie będą wyłączone:

„1) W y t w o r z e n i e w s e j m i e k u r y i d l a n a r o d o w é j m n i e j s z o ś c i.

Zamiast istniejących trzech kuryi (wielka własność ziemska— miasta, ogniska przemysłowe, izby handlowe i rzemieślnicze—gminy wiejskie), trzy inne kurye (wielka własność ziemska — czeskie gminy miejskie i wiejskie — niemieckie gminy miejskie i wiejskie).

2) U r e g u l o w a n i e k w e s t y i j ę z y k o w é j w r e p r e z e n t a c y a c h g m i n n y c h i o k r ę g o w y c h przez prawo krajowe według następujących zasad:

„*a)* Każda gmina, każda reprezentacya okręgowa stanowi sama o języku lub językach (w gminach i okręgach mieszanych), które mają być urzędownie używane.

b) Odezwy i podania w innym języku mają być wprawdzie przyjmowane, ale załatwienie sprawy nastąpi w języku przyjętym przez reprezentacyą gminy lub okręgu.

c) Język mniejszości narodowéj w gminie lub okręgu, gdzie tę mniejszość tworzy część ludności, któréj proporcya będzie bliżéj prawem określona, ma być odpowiednio uwzględniony.

d) Miasta z własnemi statutami załatwiają podania w obu językach (1).

3) Z m o d y f i k o w a n i e p r z e p i s ó w i s t n i e j ą c y c h w p r z e d m i o c i e u ż y w a n i a o b u j ę z y k ó w k r a j o w y c h w e w ł a d z a c h s ą d o w y c h.

---

(1) Tyczyłoby się to także Libereca, tak zwanéj metropolii niemieckiéj w Czechach ($1/_5$ część ludności stanowią Czesi).

W drodze rozporządzeń należałoby postanowić, żeby we wszystkich sądach w kraju każdy w swoim języku mógł domagać się wymiaru sprawiedliwości i takowy otrzymać, bez stawiania jednak wszystkim urzędnikom sądowym znajomości obu języków krajowych, jako koniecznego warunku do uzyskania posady i posuwania się w karyerze.

a) Według téj zasady pewną ilość posad radców w najwyższym trybunale krajowym należałoby zatrzymać dla radców, którzy służyli w okręgach czeskich i odpowiednią ilość dla tych, którzy służyli w okręgach niemieckich.

b) W najwyższym trybunale handlowym, a ewentualnie w praskim trybunale krajowym, należałoby postanowić taki podział senatu, żeby w każdym senacie, o ile to jest możliwe, wszystkie kwestye prawne w jednym tylko języku były traktowane, w związku jednak z tém wypadałoby wydać przepis, żeby w zasadzie traktowanie pojedynczego sporu prawnego, przynajmniéj w pierwszéj i drugiéj instancyi odbywało się we właściwym języku.

c) Przy każdym sądzie powiatowym i przy każdym sądzie okręgowym funkcyonowałby jeden urzędnik sądowy (albo kilku, stosownie do faktycznych wymagań służby), władający dobrze obudwoma językami krajowemi; od innych zaś urzędników nie wymagałoby się tego.

4) Zmniejszenie ciężarów, obarczających niektóre gminy, wskutek założenia szkół dla mniejszości narodowych.

W drodze prawodawstwa krajowego udzielonoby z funduszów krajowych wyższe subwencye takim gminom, którym wzrosły szkolne ciężary skutkiem tego, że obowiązane są, ze względu na zamieszkałą w gminie pewną liczbę dzieci obcego pochodzenia i należących do mniejszości narodowéj, zakładać nowe szkoły.

Praga 29 listopada 1887 r. *Lobkowic.*"

Na powyższe pismo marszałka krajowego odpowiedział doktor Schmeykal 19-go grudnia t. r. Z téj odpowiedzi okazuje się, że niezwłocznie po ustnych jego rokowaniach z dr. Riegerem i ks. Lobkowicem, odbywały się narady mężów zaufania posłów niemieckich, bo d-r Schmeykal wspomina we wstępie do swéj odezwy o uchwale tych mężów zaufania, którą właśnie 23 listopada piśmiennie był zakomunikował. „Rokowania takie (brzmi cytowany ustęp) wtedy tylko będziemy mogli rozpocząć, jeżeli tak rząd, jak przywódcy większości sejmowéj zwiążą się przyrzeczeniem, że przystają na zasady zawarte we wnioskach posłów niemieckich z ostat-

nich posiedzeń sejmowych i na takie zmiany w ustroju krajowym, które zabezpieczają samoistność narodową Niemców w sejmie" (1).

D-r Schmeykal wzmiankuje następnie o odezwie marszałka krajowego z 29 listopada i mówi:

„Uznając z wdzięcznością okazaną przez waszą książęcą mość gotowość do pośredniczenia w otwartéj kwestyi spornéj, jak również chęć wytworzenia konkretnéj podstawy do rokowań, nie znajdujemy w tém piśmie upragnionéj zasadniczéj zgody na znane nam wnioski (2) i żałujemy, że nie dostrzegliśmy w czterech proponowanych punktach podstaw do zadawalających obie strony wyników.

„W odpowiedzi na każdy z tych czterech punktów, pojedynczo wzięty, nastręczają nam się następujące uwagi:

„*ad 1.* Uprzejme chęci względem nas widoczne są w tym proponowanym punkcie; niemniéj jednak zmuszeni jesteśmy oświadczyć, że potrzebuje on istotnego uzupełnienia przez dokładne rozgraniczenie sfery działania obu kuryi w celach zabezpieczenia ich interesów narodowych.

„*ad 2.* Objęte tym paragrafem propozycye uważamy za materyał do dyskusyi z tą jedną zmianą, że ustęp *d* ograniczony będzie do stołecznego miasta Pragi (3).

„*ad 3.* Tu zaraz na początku wypowiedziana jest zasada używania w całym kraju obu języków krajowych przy wnoszeniu podań i załatwianiu ich, słowem utrakwizm języka urzędowego, przez co utrzymałaby się w całéj sile zasada rozporządzenia językowego z 19 kwietnia 1880 r., przeciw któréj w interesie narodowym terytoryum niemieckiego językowego występowaliśmy zawsze.

„Podobnież postawione tu jest żądanie, żeby sprawy wynikające z podań w języku czeskim, prowadzone były w tymże języku „przynajmniéj" w pierwszéj i drugiéj instancyi, przez co język czeski zyskałby, jako wewnętrzny-służbowy, nierównie rozleglejsze zastosowanie, aniżeli mu nawet przyznaje zwalczany przez nas dekret ministra sprawiedliwości z 23 września 1886 r.

---

(1) Z téj pierwszéj już odpowiedzi widać, że d-r Schmeykal, zteroryzowany przez krańcowych narodowców, odrzuca układy między obiema partyami co do projektowanego porozumienia, a raczéj uniemożliwia je, bo oczywiście nie może być mowy o rokowaniach tam, gdzie jedno stronnictwo zgóry oświadcza, że *conditio sine qua non* polega na tém, ażeby mu wszystko przyznano, czego tylko zażąda.

(2) Znane wnioski w przedmiocie administracyjnego przepołowienia królestwa Czeskiego.

(3) A zatém nie będzie rozciągnięty do Libereca.

„Co do nas, jedynym środkiem rozstrzygnięcia kwestyi językowéj, wydaje nam się rozgraniczenie okręgów według narodowości, ze wszystkiemi w naszych wnioskach proponowanemi odcieniami w przeprowadzeniu, przyczém gotowi jesteśmy przystać na takie w terytoryum niemieckiém urządzania, które bez szkody dla niemieckiego języka urzędowego mogłyby uwzględnić potrzeby praktyczne interesantów, szukających wymiaru sprawiedliwości i władających tylko czeską mową.

„Wreszcie uważamy za obowiązek wyrazić nasze przekonanie, że uregulowanie tych stosunków językowych powinnoby nastąpić jedynie na drodze prawodawstwa państwowego.

„*ad 4*. Na taką próbę rozwiązania sporu szkolnego zgodzić się nie możemy i proponujemy natomiast przepis, na mocy którego mniejszościom narodowym byłaby zostawiona swoboda tworzenia własnych gmin szkolnych, obowiązanych, wzamian za zwolnienie od ogólnych ciężarów szkolnych, myśléć samoistnie o potrzebach swoich szkół.

„Nadto, za dalszy nader ważny przedmiot wspólnych narad powinno być, zdaniem naszém, uznane wydanie przepisów o utworzeniu sekcyi narodowych w radzie szkolnéj krajowéj i w radzie kultury krajowéj, w związku bowiem z naszém żądaniem rozgraniczenia okręgów według narodowości, uważamy takie urządzenie za niezbędny warunek wszechstronnéj i pomyślnéj działalności tych organów.

„W razie, gdyby zakomunikowane nam podstawy do rokowań zostały za zgodą rządu zmienione i dopełnione w myśl naszych wyżéj wyłuszczonych kontr-propozycyi, bylibyśmy gotowi rozpocząć układy, według form wskazanych w piśmie pana marszałka krajowego.

„Praga 19 grudnia 1887 r. *Dr. Schmeykal.*“

Powyższą odezwę otrzymał książę Lobkowic 20 grudnia a odpowiedział na nią 5 stycznia 1888 r. Ks. Lobkowic streszcza najprzód to, co zrobiono dotąd w celach projektowanych układów, a następnie o odezwie d-ra Schmeykala mówi:

„Wniosłem z tego wszystkiego z przyjemnością, że mężowie zaufania niemieckiego klubu sejmowego, warunkowo wprawdzie ale bądź-co-bądź okazują skłonność rozpoczęcia układów według form określonych w mojém piśmie z 29 listopada 1887; żałuję jednak, że w ich odpowiedzi na moje propozycye wprowadzona jest na nowo w całéj rozciągłości uchwała powzięta przez wzmiankowanych mężów zaufania w dawniejszém stadyum układów z powodu wniosków p. d-ra Riegera, stanowiąca, że układy w takim tylko razie będą

mogły przyjść do skutku, jeżeli zarówno ze strony rządu, jak przywódców większości sejmowéj nastąpią zobowiązujące obietnice zgodzenia się na zasady wyłuszczone we wnioskach niemieckich posłów z ostatnich posiedzeń sejmowych.

„Bo gdyby to postanowienie miało być uważane jako niezachwiane i obowiązujące nawet wobec uczynionych przezemnie późniéj propozycyi, w takim razie byłoby ono równoznacznem żądaniu, które z tego już powodu sprzeciwia się istocie proponowanych układów, że zawsze przy ich początku musiałoby nastąpić takie co do spornych kwestyi porozumienie, którego w najlepszym razie możnaby się spodziewać na końcu narad, jako ostatecznego ich rezultatu.

„Nie mniéj jednak zakomunikowałem reprezentantom obu innych klubów sejmowych kontr-propozycye zawarte w piśmie p. d-ra Schmeykala z 19 grudnia 1887 r.“

Przedstawiciele tych obu klubów (wielka posiadłość ziemska i klub czeski), mówi daléj książę Lobkowic, gotowi są do układów, nie mogą jednak wyrazić zasadniczego zgodzenia się na wnioski niemieckich posłów sejmowych (przepołowienie Czechii), ani w swojém własném, ani tém mniéj w imieniu rządu. Kontr-projekty d-ra Schmeykala (oświadcza otwarcie książę Lobkowic) nie mają zapewne widoków bezwarunkowego przyjęcia, ale mogą być postawione jako przedmiot do dyskusyi „w celu zrobienia szczeréj próby: czy nie da się dojść do tak upragnionego pojednania i do umożliwienia tym sposobem powrotu posłów niemieckich do sejmu.“

Jako dowód tego poważnego życzenia większości sejmowéj wykazuje książę Lobkowic, że ta większość wyznaczyła już swoich przedstawicieli na proponowaną konferencyą, a mianowicie: klub wielkiéj własności ziemskiéj ks. Karola Schwarzenberga, hr. Ryszarda Clam-Martinica, hr. Franciszka Thuna i ks. Windischgrätza; klub czeski, d-ra Riegera, d-ra Mattusa, d-ra Trojana i Zeithamera.

Książę Lobkowic prosi o wskazanie reprezentantów niemieckich posłów sejmowych, wyraża zdanie, że konferencya mogłaby się odbyć przed otwarciem rady państwa (25-go stycznia) i kończy swoje pismo temi słowy:

„Gdyby mężowie zaufania klubu niemieckiego uznali to za niemożliwe z jakichkolwiek powodów, w takim razie pozwalam sobie już teraz prosić o wskazanie terminu, w jakim, według ich zdania, konferencya zgromadzićby się winna: ale w każdym razie proszę o zakomunikowanie mi przed otwarciem rady państwa nazwisk tych panów, którzy mają być powołani do reprezentowania klubu niemieckiego na konferencyi w charakterze mężów zaufania.

Praga 5 stycznia 1888 r. *Lobkowic.*“

Na tę drugą odezwę marszałka krajowego odpowiedział d-r Schmeykal dopiéro 22 stycznia r. b. na podstawie narad i uchwał mężów zaufania niemieckich posłów sejmowych, którzy umyślnie w tym celu w Pradze się zgromadzili. Należy tu zaznaczyć, że organa krańcowéj partyi niemieckich narodowców zwykłym swoim trybem, t. j. z zupełném pominięciem wszelkiéj grzeczności, postawiły zasadę, że Niemcy nie powinni układać się z Czechami i że mimo to uchwały, na których opiera się odpowiedź d-ra Schmeykala, nie zostały powzięte jednogłośnie przez mężów zaufania niemieckich posłów sejmowych. Mniejszość dość silna obstawała za wejściem w układy pojedyncze z Czechami.

Odpowiedź d-ra Schmeykala jest tak charakterystyczną, że muszę większą jéj część dosłownie przytoczyć. D-r Schmeykal stwierdza, że odebrał pismo z 5 stycznia i odpowiada n a p o d s t a w i e g r u n t o w n e g o, p o w a ż n e g o z b a d a n i a p r z e d m i o t u:

„Przedewszystkiém uważamy za potrzebne usunąć wszelką wątpliwość co do faktu, że przytoczona na wstępie naszego listu z 19 grudnia 1887 r. uchwała, któréj kopię zakomunikowaliśmy jego książęcéj mości i dr. Riegerowi, jako odpowiedź na czynione przez obu tych panów w swoim czasie ustne wezwania w przedmiocie wejścia w układy pojednawcze z niemieckimi posłami, uważana jest za dotąd trwającą i nawet wobec późniejszych propozycyi jego książęcéj mości, postawionych 29 listopada 1887, co do projektowanéj konferencyi, za ważną i obowiązującą.

„We wspomnianéj uchwale zastrzegliśmy, że zasadnicze zgodzenie się przywódców większości sejmowéj i rządu na nasze wnioski, przedstawione w ciągu ostatnich posiedzeń sejmu, jak niemniéj na zmiany w porządku obrad sejmowych w celu zabezpieczenia niezależności Niemców w sejmie, będzie najpierwszym warunkiem przystąpienia z naszéj strony do układów w przedmiocie osiągnięcia jakiegoś porozumienia.

„Wprawdzie propozycye pana marszałka krajowego, tyczące konferencyi, postawiły na miejsce ogólnikowo dotychczas traktowanych postulatów pojednawczych wyraźnie określony cel naszego powrotu do sejmu; ale głębokie przekonanie, jak nagląco kraj i państwo potrzebuje wewnętrznego spokoju, skłoniło nas do obmyślenia takich warunków tego powrotu, ażeby przy nich mógł być osiągnięty przyjazny grunt dla głównych przynajmniéj kwestyi spornych i żeby nasze wejście do sejmu nie stało się równoznaczne z ponownem rozpoczęciem walki między narodowościami.

„P o w o d o w a n i t a k i é m p a t r y o t y c z n é m d ą ż e n i e m, usiłowaliśmy rozszerzyć w duchu pierwszéj naszéj uchwały nakreślone w odezwie z 29-go listopada 1887 r. podstawy do obrad, stawiając kontr-propozycye, których przedmiotem było zasadnicze zaakcentowanie przedstawionych przez nas w sejmie wniosków, jak niemniéj zakreślenie proponowanym z drugiéj strony kuryom narodowym bardziéj ograniczonéj sfery działania, w celu zabezpieczenia interesów narodowych.

„Cofnięcie rozporządzeń językowych w związku z narodowém rozgraniczeniem okręgów i z odpowiedniemi do tego środkami przeprowadzenia; podział krajowéj rady szkolnéj i krajowéj rady kulturowéj na sekcye narodowe,— oto były przedmioty, których wcielenia do treści obrad domagaliśmy się, pragnąc w ten sposób pozyskać zasadnicze zgodzenie się na nie większości sejmowéj i rządu, zgodzenie się tém dla nas niezbędniejsze, że właśnie ostre wykluczenie z obrad sejmowych kwestyi narodowego rozgraniczenia pociągnąć musiało za sobą nieuniknione wyjście posłów niemieckich i dla tego musimy obstawać przy zasadniczém wpisaniu powyższych kwestyi do programu projektowanéj konferencyi, któréj ostatecznym celem ma być nasz powrót do sejmu.

„Nadto postawione przez nas żądanie uprzedniego zgodzenia się co do zasady na nasze życzenia, nie ma w sobie n i c n o w e g o a n i z a d z i w i a j ą c e g o.

„Już w deklaracyi, którą ustępując złożyliśmy zgromadzonemu sejmowi na posiedzeniu 22 grudnia 1886 r. wypowiedzieliśmy otwarcie, że dopóty będziemy się trzymać zdala od rozpraw sejmowych, dopóki nie pozyskamy rękojmi przedmiotowego ocenienia naszych skarg i propozycyi.

„Ale postępowanie nasze nie sprzeciwia się nawet istocie proponowanych narad, gdzie bowiem, jak w tym wypadku, idzie o wyrównanie sprzeciwieństw w publicznych stosunkach dwóch narodowości, tam swobodna dyskusya wtedy tylko może mieć widoki powodzenia, jeżeli toczyć się będzie na silnym gruncie poprzedniego porozumienia się w pewnych punktach zasadniczych (1).

„Zasady, z których wychodzimy, wyłuszczyliśmy już oddawna szczegółowo w samym sejmie i na innych miejscach. Jeżeli na téj drodze nie mogliśmy przekonać większości sejmowéj o słuszności i stosowności naszych propozycyi i jeżeli zarówno ta większość, jak rząd w troskliwości o publiczne dobro, o położenie kraju i cesar-

(1) Według téj szczególnéj logiki dyskusya nad kwestyami spornemi wtedy tylko byłaby możliwą, gdyby przedmiot rozpraw zgóry był rozstrzygnięty.

stwa nie mogą znaleść żadnéj pobudki do uwzględnienia w zasadzie naszych propozycyi, to trudno, żebyśmy żywili nadzieję, iż na drodze zamierzonéj konferencyi dojdziemy do celu, t. j. do przedmiotowego porozumienia się między sobą.

„Niezgodzenie się na zasady wniosków, przedstawionych przez nas w sejmie, znaczy to samo, co odrzucenie samych wniosków, sądzimy, że w interesie publicznym leży zaniechać układów, do których moglibyśmy przystąpić jedynie z obawą bezowocnego i jeszcze bardziéj drażniącego zerwania (1).

„W nadesłanéj nam odezwie z 5 stycznia r. b. oświadzono, że przedstawiciele obu innych klubów sejmowych nie są w możności wypowiedzenia zasadniczéj aprobaty na nasze wnioski sejmowe i że im się inne kontr-propozycye, zawarte w naszém piśmie z 19-go grudnia 1887 roku, wydają nie tak sformułowanemi, ażeby można liczyć na przyjęcie ich według naszego życzenia w zamierzonéj konferencyi.

„Jakkolwiek gorącém jest nasze pragnienie (?) porozumienia się co do warunków naszego powrotu do sejmu, a zatém pokojowego ukształtowania się stosunków w kraju; żałujemy szczerze, że wobec przyjętéj przez reprezentantów większości sejmowéj postawy, zmuszeni jesteśmy, w związku z naszemi dawniejszemi uchwałami i tu na wstępie wyłuszczonemi wywodami, otwarcie oświadczyć, że nie możemy przystąpić do proponowanéj przez p. marszałka krajowego konferencyi, ani przedsięwziąć wyboru naszych przedstawicieli na tę konferencyą.

„Do tego oświadczenia niech nam wolno będzie dodać, że wobec tak częstych z drugiéj strony zapewnień o gotowości wejścia na drogę porozumień nie spodziewaliśmy się, żeby większość sejmowa samych zasad naszych wniosków uwzględnić nie chciała i przyzwolenie swoje ograniczyła do formy, która dopuszcza wprawdzie dyskusyą nad naszemi propozycyami, ale nie zapewnia najmniejszego przedmiotowego zadość uczynienia.

„Jeżeli zważymy wszystkie trudności stawiane przyjęciu w zasadzie naszych propozycyi, to musimy dojść do przekonania, że powodu ich szukać wypadnie jedynie w prawno-państwo-

---

(1) To rozumowanie nie wytrzymuje również krytyki. Właśnie interes publiczny w Czechach domaga się porozumienia między obiema mieszkającemi w tym kraju narodowościami, stosunki bowiem zaczynają być nie do zniesienia. Komu więc istotnie leży na sercu interes publiczny, ten musi rękę przyłożyć do układów, nie zaś cofać ją od nich. Obawa o „większe rozdrażnienie“ jest a raczéj byłaby zupełnie bezzasadną, gdyby znalazła się dobra wola do porozumienia.

wych konsyderacyach, w kierunku których iść nie mamy możności (1).

„Powtarzając oświadczenie gotowości wejścia w układy co do warunków naszego powrotu, do sejmu, pod zastrzeżeniami rozwiniętemi przez nas w ciągu dotychczasowych wstępnych rokowań, kończymy wyrażeniem szczeréj podzięki za najlepsze chęci jego książęcéj mości pana marszałka krajowego.

„Praga 22 stycznia 1888 r. *Dr. Schmeykal.*

Tym sposobem rozpoczęte przez d-ra Riegera w sierpniu r. z. rokowania pojednawcze w styczniu r. b. spełzły zupełnie na niczém.

Zanim wypowiem własne zdanie o tym epizodzie, jaskrawo oświetlającym nasze stosunki publiczne i stanowiącym bardzo charakterystyczny do ich oceny przyczynek, przytoczę dziennik niemiecki, wychodzący w Czechii, który wyraża godny uwagi pogląd na niepowodzenie ostatnich rokowań pojednawczych.

Gazeta „*Leipauer Zeitung*“ z 11 marca r. b. ocenia w artykule wstępnym mowę d-ra Schmeykala, wypowiedzianą przez niego z powodu przybycia niemieckiego pociągu teatralnego. W téj mowie d-r Schmeykal wygłosił hasło: „przez wojnę do pokoju“, a gazeta ze swéj strony pisze:

„Hasło: przez wojnę do pokoju jest słuszne; przyjmujemy ją bez zastrzeżeń, ale w ustach p. Schmeykala brzmi ono nieprawdziwie, bo on zapewne, a niezawodnie jego stronnicy nie pokoju pragną, lecz wojny do nieskończoności. Zresztą i co do pokojowych usposobień p. Schmeykala, nie mamy takiéj bezwarunkowéj, niezbitéj pewności. Gdyby p. Schmeykal życzył sobie istotnie pokoju, byłby się inaczéj znalazł w sprawie propozycyi pokojowych Lobkowica. Jeżeli te propozycye, uczciwie postawione, spełzły na niczém, to winien temu przedewszystkiém p. Schmeykal. Wiemy dobrze, że osobiście nie był za bezwarunkowém ich odrzuceniem, ale tém karygodniejszém właśnie jest, że się poddał naciskowi krańcowych. Jeżeli chciał rzeczywiście pokoju, to powinien był użyć swéj powagi do doprowadzenia do skutku konferencyi, która tylko pomódz mogła a w żadnym razie nie byłaby zaszkodziła. Energiczne jego słówko wystarczyłoby w tym wypadku, nie wymówił go i wolał dogodzić p. Knotzowi i jego sa-

(1) Oczywiście, że dzielą nas względy prawno-państwowe. My mówimy: „Królestwo czeskie, jako integralna część składowa cesarstwa austryackiego!“ a nasi Niemcy mówią najprzód wszyscy razem: „precz z królestwem czeskiém!“ — po za nimi zaś stoją krańcowi narodowcy z programatem: „precz z Austryą!“

telitom. Niech i tak będzie. Ale w takim razie, niechże pan doktór oszczędzi nam swoich frazesów o pokoju, o pokojowych życzeniach. Sposobność, jeżeli nie do pokoju, to do zawieszenia broni była gotowa; odtrącił ją od siebie, a teraz jego ludzie nie chcą ani jednego, ani drugiego, ani pokoju, ani zawieszenia broni. Chcieli tylko rozszerzenia placu boju i zdziczenia walczących. Pragną wojny w każdéj gminie, wszelką bronią, choćby na noże. Wobec tego mowy p. Schmeykala brzmią prawie komicznie. P. Schmeykal podobny jest do człowieka, któryby udawał, że wierzy w wyleczenie ciężko chorego samém życzeniem wyzdrowienia. Minęły już czasy, kiedy takie żarty były możliwe.“

Co mówi zupełnie otwarcie „*Leipauer Zeitung*“, gotów jestem potwierdzić bez żadnych zastrzeżeń. Dr. Schmeykal działał w wyżéj wyłuszczonéj sprawie nie według własnego zdania, ale pod naciskiem krańcowych narodowców i musiał odrzucić proponowane rokowania pojednawcze, ponieważ tak chcieli krańcowi narodowcy. Z tego faktu okazało się jasno, że spór narodowościowy w Czechii wstąpił w nową fazę; bo przeciw naszym narodowym dążeniom, przeciw całemu rozwojowi naszego życia narodowego występują już nie austryaccy Niemcy, którzy chcą tylko w Austryi nad różnojęzycznemi ludami panować, i właśnie dla tego nie przeszkadzają im istnieć, żyć, — lecz wyłącznie krańcowi narodowcy, to jest żywioł, z którym jedynie w téj nieszczęsnéj kwestyi mamy do czynienia, jako z miarodajnym pośród Niemców w Czechii.

Chcąc jasno zdać sobie sprawę z sytuacyi, musimy przedewszystkiém nowemu przeciwnikowi spojrzéć prosto w oczy i otwarcie sobie powiedziéć, co on o nas myśli i czego my od niego spodziéwać się możemy. Ponieważ zaś ma się tu do czynienia ze szczególniejszym objawem, niechaj mi nie weźmie za złe czytelnik, jeżeli się nad nim nieco szerzéj zastanowię. Najprzód tedy wypadnie stwierdzić stan faktyczny sprawy a następnie powiedziéć to, co posłuży do wyjaśnienia tego stanu.

Partya krańcowych narodowców wśród Niemców w Czechii, czyli, jak się oni sami nazywają, „rdzenni Niemcy“, albo Niemcy „ostro narodowego tonu“ uważają Czechów nietylko za niższą narodowość, która z powodu swéj niższéj natury nigdy nie wzniesie się na ten szczebel duchowego rozwoju, na jaki wydźwignęli się Niemcy wśród innych narodów świata; ale widzą w Czechach rodzaj szkodliwego robactwa, przeszkadzającego rozwojowi ducha niemieckiego, a zatém skazanego na doszczętne wytępienie w interesie prawdziwéj (niemieckiéj) cywilizacyi. I dla tego równouprawnienie narodowe Niemców i Czechów w Czechii, t. j. przyznanie

językom obu narodów jednakich praw w urzędzie i przed sądem, jest dla tych dzielnych mężów „obrzydliwością w oczach Pana“, bo w ich pojęciu najgorszy nicpoń niemiecki jest jeszcze wyższą istotą od najlepszego z Czechów, mimo bowiem że nicpoń, jest niemieckim nicponiem. Jak niegdyś mówiło się o arystokratach, że dla nich człowiek zaczyna się dopiero od barona, tak samo trzeba powiedzieć o krańcowych narodowcach niemieckich, że według ich przekonania, właściwy człowiek rozpoczyna się dopiero od niemieckiego nicponia, albo raczéj od najniższego stworzenia niemieckiéj narodowości. To téż Czesi nie mają żadnego prawa być uważanemi za naród i jako naród istniéć; jedyne wyjście, które im pozostaje, do czego właściwie sami ze wszystkich sił dążyć powinni,—to dać się zgermanizować. W dalszéj konsekwencyi na Austryą wkłada ta partya odpowiedzialność za to, że Czesi nie są dotąd całkowicie zniweczeni; nowa zaś Austrya a przedewszystkiém ministeryum Taafego winno jest wielkiego grzechu, że Czechów uznaje za naród zdolny do życia, że nawet wygłasza rodzaj narodowego równouprawnienia między Niemcami a Czechami. Dla tych fanatyków narodowych uchodzi za niezbity pewnik, że o rzeczywistém równouprawnieniu Czechów i Niemców mowy być nie może; ale nie dość na tém, należałoby, według nich, uniknąć nawet pozoru takiego równouprawnienia.

Na podstawie takich poglądów oświadczyli téż krańcowo-narodowi Niemcy, że z Czechami nie można wdawać się w żadne rokowania pojednawcze, a dr. Schmeykal poddając się temu rozkazowi, odrzucił z podziękowaniem propozycye dr. Riegera i marszałka, ks. Lobkowica co do odbycia konferencyi pojednawczéj.

Zapatrywania więc krańcowych narodowców były w téj ważnéj sprawie miarodajnemi i możnaby stąd wywnioskować, że znakomita większość Niemców w Czechach musi do téj partyi należyć. Tak jednak nie jest. Najprzód, stronnictwo niemiecko-austryackie, czyli według dawnéj nazwy, wierno-konstytucyjni liberalni Niemcy mają bardzo wielu zwolenników wśród Niemców w Czechii i sam dr. Schmeykal do nich należy. Następnie istnieje w Czechach tak zwana niemiecka partya „ekonomiczna“ tj. stronnictwo umiarkowanych Niemców, które, przedewszystkiem usposobione jest po austryacku, a powtóre głosi tolerancyą narodową i stawia na pierwszym planie życia publicznego interesa ekonomiczne (stąd nazwa partyi), wspólne Niemcom i Czechom, jako jedyny środek łagodzenia ostrości antagonizmów narodowych. Nadto znajdują się wśród Niemców w Czechii inne jeszcze żywioły, które, zgodnie ze swojém powołaniem i stanowiskiem społecznėm, tworzą stronnictwo „spo-

koju i porządku" i dla tego przeciwni są z zasady wszelkiéj podniecającéj agitacyi. Wszystkie te jednak umiarkowane frakcye niemieckiéj ludności w Czechii są obecnie teroryzowane przez partyą radykalną narodowców krańcowych, jak to zresztą zwykle się dzieje z żywiołami umiarkowanemi w czasach pod względem politycznym burzliwych. Najbardziéj radykalni, z natury swojéj bywają w niespokojnych czasach najniespokojniejszymi, najczynniejszymi, najenergiczniejszymi,najwięcéj robią hałasu, są najbezwzględniejszymi w wyborze i zastosowaniu wszelkich możliwych środków i dla tego, mając przeciw sobie spokojnych, mniéj energicznych, bardziéj ludzkich i względnych przeciwników, utrzymują się zwykle na widowni życia publicznego w każdéj burzliwéj dobie. A żyjemy właśnie w bardzo burzliwych czasach, przypominających niespokojne dni 1848 r. (1). Zupełnie jak wtedy, gdy nagłe zachwianie się władzy rządowéj tudzież silnych dotychczas podstaw porządku państwowego i społecznego i wynikająca stąd niepewność przyszłości wprawiła wszystkie umysły w stan niepojętego podniecenia, tak i teraz ciążąca na środkowéj Europie niepewność najbliższéj chwili jest naturalną przyczyną podobnego wzburzenia, które panuje szczególniéj wśród pewnéj części niemieckiéj ludności w Czechii.

Z bezsilnych, rozproszonych żywiołów rzeszy niemieckiéj powstało dzięki świetnym wojennym czynom narodu niemieckiego zjednoczone, potężne cesarstwo. Naród niemiecki, czynnik dawniéj nic nie znaczący na polu polityki europejskiéj dźwignął się nagle do pierwszorzędnéj potęgi, a nawet rości pretensyą do zajęcia pierwszego i najwyższego miejsca wśród mocarstw na całéj kuli ziemskiéj. Stąd owo przeświadczenie o wyższości, które każdego Niemca ożywia i jego niemieckiemu sercu silniéj bić nakazuje, aniżeli uderzać może serce niemieckie. „*Civis Romanus sum*" odzywało się przed tylu a tylu setkami lat, kiedy dzisiejsi „panowie świata" byli jeszcze tylko barbarzyńcami; „jestem Niemcem" słychać dziś na około, a jakkolwiek w Europie niema już Barbarzyńców, ale według niemieckich teoryi prawnopaństwowych, cały szereg ludów powinienby być uznanym za niewolników pozbawionych praw, za materyał budowlany do urzeczywistnienia planów ambitu niemieckiego. Czém może być dla prawdziwego Niemca, któremu takie poglądy stawiane są jako ideały polityczne przyszłości, państwo austryackie? jakie ma dla niego znaczenie prócz materyału budowlanego do

---

(1) Niech mi wolno będzie zaznaczyć, że o 1848 r. mówię nie tylko ze słyszenia, lecz że mając wtedy lat 27, jako członek i sekretarz komitetu narodowego w Pradze, brałem czynny udział we wszystkich wypadkach.

przyszłych planów? czém dla niego będzie naród czeski ze swoim „bzikiem równouprawnienia narodowego“ (1), jeżeli nie przeszkodą, którą koniecznie usunąć trzeba? Co to obchodzi prawdziwego Niemca, że dzisiejszy rozwój jego samolubstwa narodowego jest najprostszém zaprzeczeniem wszelkiego humanitaryzmu, wszelkiego chrześciaństwa i wszelkiéj prawdziwie ludzkiéj cywilizacyi, która opierać się może jedynie na zwalczaniu zarówno jednostkowego jak zbiorowego, a więc i narodowego egoizmu?

Że nasi „rdzenni Niemcy“ nie wdają się w podobne rozpamiętywania, to rzecz oczywista; że w głębi serca nie są bynajmniéj Austryakami, nie ulega również żadnéj wątpliwości; że wreszcie rząd austryacki nie dość stanowczo występuje przeciwko anty-austryackim agitacyom i manewrom krańcowo-narodowych Niemców—jest-to objaw, nad którym można ubolewać, ale który łatwo daje się wytłómaczyć. Rzeczywiście wytwarza to w Austryi stosunki osobliwsze i wcale niepocieszające. Manifestacye i demonstracye niemiecko-narodowe są w Austryi czemś prawie świętém, nietykalném i z natury swojéj dobrém. W ostatnich czasach śmierć cesarza Wilhelma dała znów do takich objawów sposobność. Szczególną a niewątpliwie niepokojącą jest okoliczność, że nasi krańcowi narodowcy niemieccy otwarcie tak postępują, jak gdyby tylko w cesarstwie niemieckiém byli prawdziwie u siebie w domu. Podobnie jak dziecko, dotknięte w swoich uczuciach, płacze na łonie matki, tak nasi Knotzowie udają się do cesarstwa niemieckiego i skarżą się matce Germanii na swoje krzywdy, opowiadając, jak są w Austryi zagrożeni i uciskani, jakich doznają zniewag w najświętszych uczuciach, kiedy im ciemięzcy każą żyć w pokoju i przyjaźni z niższymi Czechami i na domiar wszystkiego uczyć się ich języka. W Dreznie, Lipsku, w Gorlicach i w Berlinie wypowiadają obywatele austryaccy w miejscowych stowarzyszeniach podobne mowy, i gorzko żalą się na wrogie względem nich postępowanie gabinetu Taafego.

Coby na to powiedział rząd niemiecki, a przedewszystkiém kanclerz niemiecki ks. Bismarck, gdyby niemieccy poddani z Alzacyi i Lotaryngii jeździli do Paryża lub do innych miast francuskich i tam skarżyli się na niesprawiedliwości doznawane od rządu niemieckiego i gdyby przytém zdobywać mogli taką czynną sympatyą i takie skuteczne poparcie Francuzów, jak to nasi Knotzowie umieją wśród Niemców cesarstwa niemieckiego? Jakby téż przyjęto w Niemczech poddanych takich za ich powrotem z podobnéj narodowéj wycieczki z Francyi? Zapewne inaczéj aniżeli u nas bywają przyj-

(1) „Deutsche Volkszeitung“ z 23 marca 1888 r.

mowani powracający z państwa niemieckiego Knotzowie, względem których rząd austryacki skromne, prawie szacunkiem nacechowane milczenie zachowuje. Taka postawa, przyjęta przez rząd austryacki względem właściwych inicyatorów i kierowników krańcowo narodowego ruchu Niemców czeskich, wzmacnia tylko i popiera ten ruch i nie można się dziwić, że ta agitacya tak między Niemcami w Czechii grasuje.

Ruch ten, szczególniéj w Czechii, popierany jest niewątpliwie z Niemiec, otwarcie przez stowarzyszenie szkolne niemieckie, w tajemnicy, ale z wiadomością wszystkich, przez niemieckie wolnomularstwo, a pod pokrywką—przez rząd niemiecki. Nasi Knotzowie wiedzą bardzo dobrze, gdzie w razie ostateczněj potrzeby znajdą opiekę i pomoc. Pod tym względem nie trzeba sobie robić żadnych złudzeń, a jeżeli się pragnie stawić opór grożącemu niebezpieczeństwu, należy je najprzód dobrze poznać i przywyknąć do patrzenia mu prosto w oczy. Tém wielkiém niebezpieczeństwem jest dla nas Czechów nietajony bynajmniéj plan Niemców z cesarstwa, według którego, tak zwana niemiecka połowa Austryi, tak zwana Przedlitawia, tj. austryackie kraje stanowiące dawniejszą część rzeszy niemieckiéj, t a k c z y o w a k powinny i muszą powrócić do cesarstwa niemieckiego. W myśl tego planu pracuje niemieckie stowarzyszenie szkolne, zakładając szkoły niemieckie w słowiańskich okolicach Austryi z celem krzewienia niemieckiego ducha czyli systematycznéj germanizacyi ludności słowiańskiéj; plan ten, jako *credo* prawdziwie niemiecko-narodowego patryotyzmu, rozpowszechnia potajemnie działający związek niemieckich masonów, który, jak wiadomo, trudni się dziś prawie wyłącznie polityką, a szczególniéj w północnéj Czechii bardzo ważną w ruchu niemiecko-narodowym odgrywa rolę. Wobec tego planu stoi wprawdzie rząd niemiecki z przyzwoicie założonemi rękoma, ale jego spojrzenia, dodające otuchy, mówią wyraźnie, że w tym przynajmniéj wypadku znany aksyomat *vox populi vox Dei* zupełnie jest usprawiedliwiony.

Nie ulega zatém wątpliwości, że pod względem przyszłéj egzystencyi i zawarowania sobie praw do narodowego bytu, naród czeski jest zupełnie zależnym od spełnienia się lub niespełnienia wielkich dziejowych wypadków, które tymczasem przygotowywane są z największą gorliwością przez jego wrogów. Jeżeli państwo austryackie zdoła przy pomocy innych mocarstw europejskich zachować wobec sąsiedniego cesarstwa niemieckiego swoję nieuszczuploną polityczną pozycyą, tj. samoistność i niezależność, wtedy naród czeski może się oddać nadziei, że w takiéj niezawisłéj Austryi znajdzie potrzebną pewność prawną podtrzymania i pielęgnowania swéj narodowo-

ści. Gdyby jednak z powodu przymierza niemiecko-austryackiego z 1879 r. wytworzył się stosunek zależności Austryi od Niemiec, wtedy przedewszystkiém język niemiecki w armii musiałby jeszcze głośniéj w Austryi się odezwać, aniżeli to dziś praktykuje w celach jednolitéj komendy, pielęgnowanie zaś wszystkich nie niemieckich żywiołów w państwie zejśćby musiało na podrzędny plan wobec coraz oczywistszéj konieczności zgermanizowania całéj monarchii.

Naród czeski musi być naturalnie solą w oku szczególniéj krańcowo-narodowym, którym przyćmiewa wejrzenie w przyszłość i którzy dla tego myślą tylko o usunięciu z drogi téj zawady. Naród czeski widzi tylko w utrzymaniu Austryi i w pełnym rozwoju jéj potęgi politycznéj swoje ocalenie i swoję przyszłość; Niemcom zaś krańcowo-narodowym nic zależy nic na utrzymaniu Austryi, ani na jéj politycznéj sile. Są to naturalnie sprzeczności, które się pogodzić nie dadzą i które tylko wtedy znikną, gdy pozycya państwa austryackiego względem cesarstwa niemieckiego tak się ukształtuje, żeby Austrya mogła od wszystkich swoich obywateli wymagać jednakiego poszanowania swéj niezależności, nie obawiając się napomnienia z Berlina.

Ponieważ krańcowi narodowcy niemieccy nie mogą wystąpić otwarcie ze swojemi pragnieniami i planami, tymczasowo przeto czynią co jest w ich mocy, żeby Czechów jako stojącą im w drodze przeszkodę poniżyć i potępić nietylko w oczach Niemców w Czechii ale w opinii Europy. Prasa niemiecko-narodowa dokonywa pod tym względem rzeczy godnych podziwu. Że o Czechach nie mówi się nigdy w tonie przyzwoitym—to rozumie się samo przez się; że przy téj sposobności zastosowany jest cały słownik niemieckich obelżywych wyrazów, łatwo sobie wystawić, że wreszcie prokuratorya austryacka jedynie obrazę niemieckiéj narodowości za karygodną uważa,—to, po wszystkiém co się wyżéj powiedziało, nikogo już zdziwić nie powinno. Samo przez się rozumie się, że w organach niemiecko-narodowych wszystkie dobre przymioty człowieka są niemieckiemi a złe czeskiemi, że zatém „wierność niemiecka", „uczciwość niemiecka" występują zawsze przeciwko „czeskiemu kłamstwu" i „czeskiéj chytrości." Co prawda „niemiecka uczciwość" nie bardzo troszczy się o prawdę, kiedy chodzi o spotwarzenie i oczernienie Czechów i tu bowiem szlachetny cel uświęca niewinne środki.

Tak naprzykład dzienniki niemieckie podały wiadomość, że w Białogrodzie jakieś towarzystwo czeskie święciło zgon cesarza niemieckiego Wilhelma radosną ucztą. „Rzecz szczególna,—są słowa gazety, że ci Czesi pili szampańskie wino, kiedy zwyczajna gorzałka

stosowniejszą by dla nich była". Tymczasem cała ta wiadomość, do której naturalnie w dziennikach niemieckich znalazły się odpowiednie komentarze o dzikości narodu czeskiego, jest poprostu złośliwém, *ad hoc* skomponowaném zmyśleniem.

W różnojęzycznéj miejscowości Czeski-Schumburg (w północnéj Czechii) tamtejsza grupa stowarzyszenia „Narodni jednota severočeská" (1) odbyła 26 lutego zebranie, o którém podał wiadomość korespondent niemiecko-narodowéj „*Deutsche Volkszeitung*". Według tego sprawozdania, jeden z mówców, i to nauczyciel, miał między innemi powiedziéć: „Wstyd, to dla was Czechów, że cierpicie u siebie szkołę niemiecką; już sam napis „szkoła niemiecka" powinienby w was gniew obudzać; ten napis powinniście zerwać i w błoto rzucić, z Niemcami zaś powinniście sobie postąpić, jak nihiliści i anarchiści, którzy ciągną na to losy, kto z nich ma czatować i napadać na znienawidzone osobistości." Na podstawie własnych badań na miejscu, mogę zapewnić, że całe to sprawozdanie jest kłamstwem; że 26 lutego na zebraniu istotnie odbytém w Czeskim-Schumburgu nikt nic podobnego nie powiedział. Ale *calumniare audacter, semper aliquid haeret* jest zasadą, według któréj zwykło się tu postępować.

Najsmutniejszy los w takim stanie rzeczy przypada różnym drobnym i większym mniejszościom czeskim w granicach tak zwanego zamkniętego niemiecko-językowego terytoryum. Miasto fabryczne Liberec, najznaczniejsze z niemieckich ognisk w Czechii, liczące 30.000 mieszkańców, z téj przyczyny nazywane metropolią niemczyzny w północnéj Czechii, nadaje pod tym względem ton. W Liberecu mieszka stosunkowo tyleż Czechów, ile w Pradze Niemców, tj. jedna piąta całkowitéj ludności. Ale kiedy w zarządzie gminnym Pragi przestrzegane jest najskrupulatniéj zupełne równouprawnienie obu narodowości, zarząd gminy Libereckiéj, wyłącznie z Niemców złożony, uważa swoich 6000 Czechów za pozbawionych wszelkiego prawa paryasów, którzy powinni i muszą znosić wszelkie możliwe upokorzenia.

Jako ilustracyą tego stanu rzeczy mogę przytoczyć fakt osobliwszy, nadmieniając, dla usunięcia wszelkich podejrzeń o stronność, że mi go dostarczyły gazety niemiecko-narodowe, a mianowicie: „*Deutsche Volkszeitung*", organ stowarzyszenia niemiecko narodowego w Liberecu i „Gablonzer-Ztung", organ niemiecko-narodowego stowarzyszenia w Jabloncu. Liberec z 30.000 mieszkańców

---

(1) Stowarzyszenie założone w północnéj Czechii celem podtrzymywania i popierania narodowości czeskiéj.

i Jablonec z 6000 mieszkańców są miastami fabrycznemi. Oba leżą niedaleko od granicy językowéj, a zatem w okolicy z bardzo mieszaną ludnością. Robocza ludność w fabrykach (sukiennych, tkackich, przędzalniczych, hutach szklanych) jest w skutek tego również mieszaną, a robotnicy czescy, jako mniéj wymagający i tańsi, poszukiwani są nawet przez niemieckich fabrykantów, którzy zresztą odznaczają się swojém „ostro-narodowém usposobieniem“ (uświęcone wyrażenie), ponieważ, jak wiadomo, tam gdzie idzie o pieniądze, ustaje nietylko wszelka czułość, ale wychodzą na jaw inne rzeczy prócz sentymentów narodowych.

W dawniejszych czasach nikt w téj okolicy nie pytał, czy w jakiéjś fabryce pracują niemieccy czy téż czescy robotnicy. Teraz dzieje się zupełnie inaczéj. Stowarzyszenia niemiecko-narodowe postawiły silnie za główne zadanie oczyścić gruntownie z czeskiéj ludności tak zwane „zamknięte niemiecko-językowe terytoryum“. Według programu niemiecko-narodowych stowarzyszeń, miejscowości te powinny być wszystkie „rdzennie-niemieckiemi“ i dla osiągnięcia tego celu wzmiankowane stowarzyszenia uciekają się do wszelkich możliwych środków. Wyraźne przepisy zasadniczego prawa państwowego w Austryi, jako to: równouprawnienie, swoboda przenoszenia się z miejsca na miejsce i inne ogólne prawa obywateli nie istnieją dla tych stowarzyszeń; wszystko to musi ustąpić przed teroryzmem, który z wymyślną bezwzględnością dąży do swego celu, do „oczyszczenia zamkniętego terytoryum mowy niemieckiéj“.

Niemiecko-narodowe stowarzyszenie w Liberecu poczyna sobie zupełnie, jakby niemiecki rząd narodowy w Czechach, i strofuje według upodobania, niemiecko-narodowe stowarzyszenia w innych miastach, jeżeli tylko nie poddają się najściśléj postawionym żądaniom. Takiego despotyzmu doznało także w ostatnich czasach i niemiecko-narodowe zgromadzenie w Jabloncu. Dziennik „Deutsche Volkszeitung“ poddał działalność tego stowarzyszenia bardzo ostréj krytyce z tego jedynie powodu, że zaniedbano w niém jakoby piérwszego obowiązku narodowego. Stowarzyszenie Jabloneckie obarczone jest odpowiedzialnością za istnienie i ciągły przyrost czeskiéj kolonii robotników w fabrykach, które są własnością niemieckiéj firmy Mauthner i Oesterreich w Grünwaldzie pod Jabloncem, i poczytuje mu się to za winę, że nic nie zrobiło w celu przeciwdziałania temu — „pożałowania godnemu stanowi rzeczy“. Napadnięte w ten sposób i obwinione stowarzyszenie w Jabloncu usiłowało naturalnie usprawiedliwić się, powołując się na wymianę listów z D-rem Schmeykalem. Jakie zdanie wypowiedział w téj

materyi Dr. Schmeykal—nie wiadomo. W dalszym ciągu usprawiedliwienia odwoływało się wzmiankowane stowarzyszenie do posiedzenia swego komitetu, na które zaproszony był i stawił się fabrykant Mauthner z Pragi Posiedzenie owo poświęcone było jedynie rozpatrzeniu sprawy Mauthnera i czeskiéj kolonii robotniczéj w Grünwaldzie. Prezydujący wyłożył rzecz całą i dodał, że jedynie najczystsze i najszlachetniejsze pobudki skłoniły komitet do działania, na które zdecydował się dopiero po gruntownem zbadaniu sprawy, po uważném wysłuchaniu świadków wiarogodnych i po dojrzałém rozważeniu doniosłości tego kroku (t. j. formalnego wezwania fabrykanta Mauthnera przed ów trybunał narodowy). „Tylko miłość ojczyzny—kończył swoje przemówienie prezydujący,—któréj czysto-niemiecki charakter pragniemy zachować z a j a k ą b ą d ź c e n ę i współczucie dla sąsiedniéj gminy (Grünwaldu), zagrożonéj w swoich najświętszych interesach, powodowała nami w tym razie. Osoby są dla nas zupełnie obojętne, występujemy zaś przeciwko rzeczy saméj, w któréj widzimy groźbę dla spokoju i dobrobytu rdzennie niemieckiéj okolicy (1) i widzieć ją będziemy dopóty, dopóki kolonia czeska w Grünwaldzie istnieje w dotychczasowéj sile“.

Fabrykant Mauthner nie odtrącił wmieszania się stowarzyszenia w swoje sprawy prywatne, lecz uznał, jako oskarżony, wszechwładztwo trybunału narodowego i potrzebę bronienia ze wszystkich sił, przeciwko zarzutom komitetu, podanéj w wątpliwość niewinności swojéj. Prosił, żeby nie zapominano, iż firma jego znajduje się w wyjątkowém położeniu, niemieckich bowiem robotników brakuje, trzeba mu więc tymczasowo okazywać cierpliwość. Chce on i będzie działać jako prawdziwy i nieustraszony Niemiec. Obawy o założenie w Grünwaldzie szkoły czeskiéj nie może podzielać, pod tym względem firma jego ma wszystkie nici w ręku, i jedném pociągnięciem pióra postawiona będzie tama wszelkim dążeniom słowiańsko-narodowym. Dopóki on żyje, widmo szkoły czeskiéj w Grünwaldzie pozostanie tylko złudną marą. Na zakończenie złożył oskarżony następującą deklaracyą:

„Uznaję nienormalność stosunków, wytworzonych przez czeską kolonią robotniczą w Grünwaldzie i gotów jestem radzić temu, ile mi sił starczy. Będziemy dążyć do możliwego zredukowania liczby naszych robotników słowiańskich i do zastąpienia ich niemieckimi. Przełożę szczególniéj naszemu dyrektorowi fabryki, energicznemu

---

(1) Rdzennie - niemiecka nazwa Gablonz jest zniemczeniem pierwotnie czeskiego nazwiska J a b l o n e c.

Niemcowi, ażeby, według możności, przyjmował tylko nieżonatych tkaczów czeskich. Gotów jestem poddać się wszystkim słusznym życzeniom i będę szczęśliwy, jeżeli gmina Grünwaldzka będzie nam pomocną w ich spełnieniu". Wtedy prezydujący zamknął posiedzenie następującemi słowy: „Jakiekolwiek przy tém nastręczyćby się mogły trudności, celem niewzruszonym fabrykanta niemieckiego musi być zmniejszenie etatu pomocniczych sił czeskich. P o w s t r z y m a n i e i c h w z r o s t u n i e w y s t a r c z a, tylko....zaradzić może (kropki wstawione wskutek przepisów prasowych—objaśnia „Gablonzer Zeitung"—prawdopodobnie zastąpiono niemi użyty w protokóle stowarzyszenia wyraz w y t ę p i e n i e). Spodziewamy się też po niemieckim patryocie, ż e n a s z r o z u m i é, i że szczerze i uczciwie weźmie się do zaradzenia złemu".

Pan Mauthner musiał jeszcze późniéj powtórzyć swoję deklaracyą wobec wszystkich urzędników zarządu gminy grünwaldzkiéj, a nareszcie przyrzec prezesowi niemiecko narodowego stowarzyszenia, przy uroczystém podaniu ręki, że usunie natychmiast każdego robotnika czeskiego, któryby wziął jakikolwiek udział w domaganiu się założenia szkoły czeskiéj.

Wszystko to ogłasza stowarzyszenie niemiecko-narodowe za pośrednictwem organu swego „Gablonzer Zeitung", chcąc się oczyścić od zarzutu, postawionego przez takież stowarzyszenie Libereckie, jakoby zaniedbywało obowiązków narodowych.

Nie chcę tu bynajmniéj zgłębiać kwestyi: czy stowarzyszenie niemiecko-narodowe w Jabloncu, wzywając formalnie fabrykanta przed swoje *forum* i przeprowadzając względem niego kompletne dochodzenie sądowe, nie przekroczyło swoich atrybucyi: rozstrzygnięcie tego pytania należy do rządu; to jednak mogę tu zauważyć, że czeskie stowarzyszenie z niczém podobném wystąpić by nie mogło, nie narażając się na napomnienia władz. Kiedy w roku 1873 deputacya czeska z Kolina udała się do przedstawicieli większéj własności ziemskiéj okręgu całkiem czeskiego z prożbą, aby na zbliżających się wyborach sejmowych głosowali na kandydata czeskiéj historyczno-szlacheckiéj partyi, ówczesna niemiecko-liberalna partya rządowa uważała ten krok mieszczaństwa czeskiego z Kolina za akt formalnego buntu, członków deputacyi ukarano więzieniem, a miasto Kolin wojskowym kwaterunkiem. Co do stosunków roboczych w północnéj (niemieckiéj) części Czechii, sam niemiecki poseł sejmowy Dr. Schlesinger przyznaje w swém piśmie: „Stosunki narodowościowe w Czechii", konieczność posiłkowania się czeskiemi siłami robotniczemi w miejscowościach niemieckich. Mówi on wyraźnie, że pod tym względem próba ściągnięcia do licznych kopalń

węgla kamiennego pod Cieplicami i Bernem niemieckich górników z Gór Kruszcowych, rozbiła się zupełnie o faktyczną nieudolność niemieckiéj ludności górskiéj. Podobnie jak z górnictwem, mają się rzeczy prawie ze wszystkiemi innemi przedsiębiorstwami przemysłowemi: panuje rzeczywisty brak robotników niemieckich. Wiadomo powszechnie, że robotnik czeski jest zdolniejszy, mniéj wymagający i tańszy. Nadto zaważyć może na szali porównania i ta okoliczność, że robotnicy czescy nie są tak w całéj masie opanowani propagandą socyalistyczną, jak niemieccy, i dla tego snadniéj poddają się karności.

Ta uznana wyższość robotnika czeskiego objaśnia więc w zupełności tak zwaną przez niemiecko-narodowych fanatyków „inwazyę czeską" do miejscowości północnéj Czechii, które pragną być rdzennie niemieckiemi; każdy zatém, kto bliżéj jest obznajmiony z socyalnemi stosunkami nowszych czasów, łatwo może osądzić, co warte są rozpowszechniane brednie o „wyzyskiwaniu ludności niemieckiéj przez imigrujących Czechów" i kto tu właściwie jest wyzyskany: czy niemiecki pracodawca, czy czeski robotnik? Ale to niewątpliwie napiętnować można jako niesłuszną pretensyę, kiedy niemiecki pracodawca wymaga od swego taniego i wytrwale pracującego robotnika czeskiego, żeby się zaparł swéj narodowości i żeby systematycznie prowadzone wynarodowienie swoich dzieci przyjął w milczeniu jako formalną *conditio sine qua non* ofiarowanéj sobie pracy. Życzyć a choćby nawet domagać się dla tych dzieci szkoły czeskiéj znaczy to samo w oczach niemieckiego pracodawcy, co popełnić karygodny występek, który powinien być ukarany natychmiastowém usunięciem. W czeskich miejscowościach przeciwnie, istnieją liczne kolonie robotnicze narodowości niemieckiéj i dla tych naturalnie wymagania publicznéj szkoły niemieckiéj stawiane są zawsze jako nietykalne prawo narodowe, przysługujące Niemcom w Czechii i jako takie znajduje téż wszędzie uwzględnienie.

Z tego wszystkiego, co się wyżéj przytoczyło, łatwo wywnioskować, że Czech słowiańskiéj narodowości nie używa jeszcze dotąd w swojéj wyłącznéj ojczyźnie (a innéj prócz Czechii nie ma) w pełni zabezpieczonych praw narodowych i że równouprawnienie narodowe pozostało dla nas zawsze *pium desiderium*.

Jak ważne ma to znaczenie dla narodu czeskiego, wobec tak stanowczych przeciw nam wystąpień naszych przeciwników i jak dalece mamy prawo nazwać naszą pozycyę niepewną, nieledwie od łaski zależną, okazuje się oczywiście ze wszystkich powyższych wyjaśnień. Nie może więc ulegać żadnéj wątpliwości, że waśń narodowa między Czechami a Niemcami jest zawsze dla pierwszych

osią, około któréj obracają się przyszłe ich losy. Im bardziéj niepokojącemi stają się stosunki, wśród których staczamy bój o zabezpieczenie sobie bytu narodowego, im mniejsze są siły, które naród czeski przeciwstawić może grożącéj mu germanizacyi, tém żywiéj powinniby wszyscy Czesi odczuwać konieczność narodowéj zgody i jedności.

Pod tym względem nie po różach stąpamy, a gdybyśmy się nawet w najszczęśliwszym razie utrzymali, to stanie się to nie dzięki naszéj zgodzie, ale pomimo naszéj niezgody. W téj chwili właśnie (marzec r. b.) sroży się walka między Młodo- i Staroczechami tak zawzięcie, jak gdybyśmy nic innego nie mieli do czynienia prócz tępienia się wzajemnie, a dzienniki niemieckie zapisują z największą dokładnością i z najżywszą radością wszystkie zajmujące wiadomości o „czeskich waśniach braterskich.“ Okrzykiem bojowym walczących jest „Dr. Rieger!“—„Dr. Gregr!“ Stronnictwo staroczeskie reprezentują w Pradze gazety „Hlas národa“, „Česká politika“ i niemiecki dziennik „Politik“; partya Młodoczechów ma swój organ „Narodni listy.“ Publicystyczna szermierka prowadzona jest prawie wyłącznie w ten sposób, że „Narodni listy“ są stroną napastującą, a dzienniki staroczeskie bronią się od tych napaści. Radykalizm polityczny staje na pozór przeciwko umiarkowańszemu nastrojowi, a przynajmniéj żywioły skłonne do radykalizmu politycznego tworzą stronnictwo „Narodnich listów“, t. j. młodoczeskie. Przyjrzawszy się jednak całemu sporowi dokładniéj na gruncie, trzeba dojść do wniosku, że różne inne momenty grają w nim ważną rolę. Najprzód d-r Juliusz Gregr, właściciel „Narodnich listów“ traktuje tę całą waśń praktycznie, jako zyskowny interes. Celem głównym tego przywódcy jest raczéj możliwe rozpowszechnienie jego dziennika, aniżeli zaakcentowanie i przeprowadzenie wyraźnie określonego programatu. Liczy on mądrze na wzmagający się zwykle w niespokojnych czasach krańcowy nastrój, dla którego opozycya ma sama przez się wartość; liczy na tych czytelników, którzy wolą każdy cięto napisany i suto łajaniem opieprzony artykuł, aniżeli gruntowne lecz spokojne i w przyzwoitym tonie traktowanie kwestyi politycznéj i w dzisiejszéj burzliwéj nieco dobie nie myli się w swoich wyrachowaniach. Liczy także z równie dobrém powodzeniem na bezmyślność szerokiéj publiczności, która mało dba o to, czy też cięte „Narodni listy“ przestrzegają pewnéj konsekwencyi w poglądach i czy nie mówią dziś czegoś wprost przeciwnego temu, co mówiły przed kilku tygodniami lub miesiącami, a jest zupełnie zadowoloną, jeżeli ma do czytania artykuł szarpiący tego lub owego na strzępy. Żądza skandalu stała się w naszém ży-

ciu publicznem jakąś modną chorobą. D-r Gregr umié się z tą chorobą obchodzić i wyzyskiwać ją na swoją osobistą korzyść. Tak wygląda ze strony praktycznego interesu waśń narodowa, narażająca na ciągły szwank całą sprawę narodową.

Winienem jednak wtrącić tu uwagę, że czeska deputacya do rady państwa stoi, jak zawsze, zupełnie zdala od wszelkich manewrów, jaką bądź drogą zmierzających do korzyści pieniężnych, że ma jedynie i wyłącznie na widoku popieranie narodowych interesów czeskich i że nie ma może w całém cesarstwie austryackiém drugiego kierownika partyi politycznéj, któryby w życiu publicznem działał z taką bezinteresownością i gotowością do ofiar, jak d-r Rieger. Wszystko to wié d-r Gregr równie dobrze jak ja, ale to wszystko nie jest dla niego pobudką do przyznania czcigodnemu mężowi należnego mu szacunku. Przeciwnie, d-r Gregr do tego tylko używa wolności prasy, żeby wszystkich nienawistnych sobie ludzi bez względu na ich wysokie zasługi, a szczególniéj d-ra Riegera, słowem i rysunkiem ośmieszyć w założonym *ad hoc* ilustrowanym dzienniku satyrycznym (1).

---

(1) Do charakterystyki sposobów, jakiemi walczą „Narodni listy“, a zatém i pan d-r Gregr, niechaj posłużą następujące fakta.

Česky klub“ (reprezentujący staro-czeską partyę w radzie państwa) postanowił odesłać do komisyi szkolnéj wniosek Lichtensteina (zmiana prawa o szkołach elementarnych). Stronnicy d-ra Gregra postawili wniosek w praskiém kolegium municypalném, żeby przedstawicielstwo gminy miasta Pragi udzieliło za to klubowi czeskiemu *votum* nieufności. Z tego powodu odbyły się czterodniowe rozprawy w kolegium municypalném (w marcu r. b.), na których przyjęta została większością głosów przenoszącą $^2/_3$ uchwała, że cała sprawa pozostawiona będzie uznaniu klubu czeskiego i tym sposobem wyrażone mu było zupełne zaufanie. Kolegium municypalne, którego posiedzenia są jawne, powzięło to postanowienie wskutek głosowania imiennego. Opozycya obsadziła suto galeryę swemi zwolennikami, po największéj części młodymi ludźmi, jak się to do dziś dnia praktykuje w innych zgromadzeniach, np. w austryackiéj radzie państwa. Ta *ad hoc* obstalowana publiczność robiła z siebie częścią w ciągu głosowania, a szczególniéj po oznajmieniu jego wyników takie widowisko, jakiego jeszcze sala ratuszowa w Pradze nie oglądała. Trwało to około 5 minut. Obelżywe wyrazy, np. „Neřadi“, „Šosáci“, „Zpátečnici“, „Hanba“, wydobywały się z setek gardzieli i deszcz pigułek papierowych spadał na kolegium municypalne. Otóż „Narodni listy“ nietylko stawały w obronie téj akcyi publiczności galeryowéj, jako zupełnie uprawnionego sposobu wyrażenia opinii wszechwładnego ludu, ale nawet obwiniają pojedynczych członków kolegium o obrazę tego wszechwładnego ludu, popierając swoje oskarżenie w y m y ś l o n e m i wyrażeniami tych członków o znalezieniu się publiczności galeryowéj.

Drugi fakt. W numerze z 27 marca r. b. wydrukowały „Narodni listy“ gwałtowną napaść na d-ra Riegera. „Rieger (pisze ten dziennik) jest posłem do rady państwa od miasta Pragi, a jak niesumiennie broni interesów miasta i całego ludu czeskiego, dowodzi następujące zdarzenie: Petycyą miasta o oddanie realnego gimnazyum męskiego pod zawiadywanie państwa trzymał u siebie w szufladzie 6 miesięcy i dopiéro wtedy przedstawi

Widocznie d-r Gregr pożerany jest ambicyą zostania politycznym przywódcą narodu czeskiego po obaleniu d-ra Riegera.

Czy na takiéj zamianie naród czeski istotnie by coś skorzystał? — to wielka kwestya; z tego, co ja wiem dokładnie, nie mogę dać twierdzącéj odpowiedzi. D-r Gregr, równie jak jego adherent, Sladkowsky, wstąpili przez młodzieńczą nierozwagę do związku niemieckich wolnomularzy, których musimy uważać za najniebezpieczniejszych nieprzyjaciół naszego bytu narodowego i pod których wpływem d-r Gregr widocznie pozostaje i działa.

* * *

Według wykazu urzędowego, frekwencya w wyższych szkołach czeskich w zimowym semestrze przedstawia się w następujących cyfrach:

Uniwersytety	Teologowie		Prawnicy		Medycy		Filozofowie		Suma		Ogólna suma
	zwyczajni	nadzwyczaj.	zwyczajni	nadzwyczaj.	zwyczajni	nadzwyczaj.	zwyczajni	nadzwyczaj.	zwyczajni	nadzwyczajni	
	studenci		studenci		studenci		studenci		studenci		
Czeski . . .	—	—	894	71	1002	19	195	97	2091	187	2278
Niemiecki .	280	1	451	69	555	5	83	81	1369	156	1525

Fakultet teologiczny zalicza się, jak widzimy, do niemieckiego uniwersytetu, t. j. istnieje dotychczas jeden tylko fakultet teologiczny, który uważany jest jako należący do pierwotnéj niemieckiéj wszechnicy. Jeżeli i teologów rozdzielimy według narodowości (200 czeskich, 80 niemieckich), to cyfra studyujących na obu uniwersytetach przedstawia się jak następuje:

Uniwersytet czeski . . . 2478 studentów
„ niemiecki . 1324 „

radzie państwa, kiedy już skończono narady nad budżetem 1888 roku i niepodobna było uwzględnić petycyi, a wszystko tylko dla tego, ażeby zrobić przysługę ministrowi oświaty Gautschowi. Tymczasem urząd burmistrza w Pradze konstatuje, że wspomniana petycya nadeszła do Wiednia dopiéro 19 marca, a d-r Rieger oświadcza, że ją dostał do rąk 21-go marca i natychmiast doręczył prezesowi rady państwa.

Technika	Liczba studentów		Według szkół fachowych					Matrykulowani	
	1886—87	1887—88	ogólny oddział	szkoła inży- nierów	szkoła budo- wnic- twa	szkoła budo- wy maszyn	szkoła che- miczna	zwy- czajni	nad- zwy- czajni
Czeska. . . .	367	344	—	146	45	79	48	318	26
Niemiecka. .	214	181	—	63	13	59	29	164	17

Ten wzrost naszych wyższych szkół czeskich jest bądź-co-bądź pocieszającym, ale inne w nich stosunki nie tak pomyślnie się przedstawiają. Na uniwersytecie czeskim profesorowie dzielą się na dwa wrogie obozy, dzięki opłakanemu sporowi o autentyczność rękopisów: królodworskiego i zelenohorskiego. Spór ten zamilkł wprawdzie od pewnego czasu, ale obie partye przypisują sobie zwycięstwo, a wynikła stąd rozterka trwa dotąd.

Praga 28 marca 1888 r.

Dr. Gabler.

ZE WSPOMNIEŃ OSOBISTYCH

Z CZASÓW OBLĘŻENIA PARYŻA.

Szanowny Redaktorze.

Nie wiem, czy życzeniu Twojemu uczynię zadość. Spodziewałeś się może iż we wspomnieniach moich utkwiły obrazki, utarczek i bitew, rozpraw politycznych i targań społecznych; a ja ci przesyłam pamiętnik, w którym kwestya żywienia dwumilionowéj ludności przez cztery przeszło miesiące (140 dni, od 18 września 1870 do 4 lutego 1871, daty, pod którą przybyły pierwsze transporta żywności po podpisaniu kapitulacyi), na pierwszym stoi planie. Wynikło to z ówczesnego położenia mego. Ranny w jednéj z piérwszych potyczek téj nieszczęśliwéj wojny i odwieziony do Paryża na krótki czas przed oblężeniem, znalazłem schronienie u jednego z przyjaciół, pełniącego obowiązki adjunkta przy merze... okręgu. Ręce zdrowe, dzięki Bogu, i do pracy zdolne mając, starałem się uiszczać dług, codziennie zaciągany względem mego dobroczyńcy, dopomagając mu w pracy, która niebawem stała się nader uciążliwą. Właściwie mówiąc, byłem jego sekretarzem przez cały ten czas, od którego żadna już chyba epoka w życiu nie wyda mi się dłuższą. I tego zapewne także nie domyślałeś się, że została mi po tych dniach pamiętnych gruba księga, wypełniona z dnia na dzień, a raczéj z nocy na noc—bo nocy często były dla nas bezsennemi—wrzucaną do niéj dorywczo, bez ładu i składu mozaiką wrażeń, informacyi i notat. Nosiłem się czas jakiś z zamiarem zużytkowania tego bezkształtnego ale obfitego materyału; uprzedziła mnie atoli taka powódź odnoszących się do téj epoki i zapewne więcéj zajmujących publikacyi, „pamiętników“, „dzienników“ i „wspomnień“, że osądziłem iż schować mi się z moim własnym dziennikiem wypada. Zajrzałem doń po wielu latach teraz dopiero, otrzymawszy list Twój, i znalazłem, że—co się tłómaczy łatwo przez rodzaj moich zatrudnień

w owym czasie — odnoszące się do wiktuałów szczegóły zajmują w nim sporo, może nawet najwięcéj miejsca. Czy nie najlepiéj zrobię, wypisując je częściowo tutaj tak jak są i trafiają się na pożółkłych już kartkach porzuconego w kąt dyaryusza? Chyba że najlepiéj. Za dokładność cyfr i informacyi, których dostarczę w ten sposób, ręczyć mogę o tyle, o ile to, co nas drogą urzędową doszło w tym względzie, było dokładném i zgodném z prawdą. Zresztą za nic. W naszéj, obrębem naszego okręgu ograniczonéj działalności, staraliśmy się o jak największą dokładność i sumienność w pełnieniu ciężkich naszych obowiązków. Przypuszczam, że i gdzieindziéj, w dziewietnastu sąsiednich okręgach, robiono tak samo. Nie mam żadnego powodu do dopuszczenia innego wniosku. W ogóle, ludzie, którzy stali w téj epoce na czele administracyi stołecznej, od ministra handlu i rolnictwa, p. Magnin (którego zastąpił późniéj J. Ferry), zaczynając, byli ludźmi nieposledniego gatunku. Będą zresztą czytelnicy twoi w możności wydania własnego w tym przedmiocie sądu.

1870.

8 września... Dziennik urzędowy i rozlepione na murach proklamacye z podpisem ministra handlu i rolnictwa opiewają, że posiadamy w ziarnie, mące, mięsie, napojach i innych wiktuałach zapas dostateczny na wyżywienie dwumilionowéj ludności przez 2 miesiące. Zakomunikowano nam cyfry, które odpowiadają istotnie temu wnioskowi: 350,000 cetnarów metrycznych (1) mąki, 150,000 cetnarów ryżu, 100,000 wołów, 500,000 baranów, 6,000 wieprzów, z tém co potrzeba dla ich wyżywienia, 60,000,000 racyi mięsa solonego, nie dający się obrachować ściśle ale olbrzymi zapas kartofli i jarzyn wszelakich, nakoniec trzymiesięczna prowizya soli, korzeni i kawy i sześciomiesięczny zapas win i innych spirytualiów. Te ostatnie cyfry w przybliżeniu. Codzienna konsumcya miasta w zwykłym czasie wynosi 8,000 cetnarów mąki dziennie. Rachunek przeto nie jest przesadzonym. Zasługa to, po największéj części, Klemensa Duvernois (2), który uległ zresztą naciskowi opozycyi i opinii publicznéj, a jak słychać i osobistym względom. Mówią, że zarobił olbrzymie sumy na zakontraktowanych dostawach. Cóżkolwiekbądź, jego inicyatywie zawdzięczamy obecną naszą obfitość. Były już wprawdzie, przed jego przyjściem do władzy, poczynione pewne zakupy na rzecz magazynów stołecznych, ale nie myślano, podejmując je,

(1) Cetnar metryczny (*quintal*) = 190 kilogr.

(2) Ostatniego cesarskiego ministra handlu.

o zaprowidowaniu Paryża na przypadek oblężenia. Tego, do czego teraz przyszło, nikt nie przypuszczał! Chodziło tylko o utworzenie wielkiego składu żywności dla armii, mającéj operować nad Renem. Pierwsze prowiantowe dostawy, których ściąganiem do stolicy kierował pod-intendent wojskowy, pułkownik Perrier, miały przeznaczenie wyłącznie militarne. Dopiero 8 sierpnia przyszło do wyznaczenia komisyi, która zająć się miała obliczeniem środków potrzebnych dla wyżywienia ludności paryskiéj przez 45 dni. Weszli do téj komisyi pp. Dumas, senator, Chevrean, senator i Darblay, poseł, którym przydany został pułkownik Perrier. Nazajutrz, 9 sierpnia, p. Louvet, dotychczasowy minister handlu, zastąpiony został przez pana Duvernois, który utworzył pod swojém przewodnictwem nową „Wyższą komisyą prowiantową", z generałem Mellinet, intendentem generalnym Guillot i pułkownikiem Perrier, reprezentującymi w niéj żywioł wojskowy. Podwójny, cywilno-wojskowy skład téj komisyi miał na celu utrzymanie pożądanego porozumienia między dwoma administracyami, tak ażeby obustronne ich usiłowania nie krzyżowały się, lecz dopomagały sobie wzajemnie. W ten sposób postanowione zostało, na początek, że administracya wojskowa zaniecha kupowania żywego mięsa a odstąpioną mieć sobie będzie potrzebną takowego ilość przez administracyą cywilną, któréj na odwrót odstąpi furażu, potrzebnego dla wyżywienia własnych jéj trzód. W dalszym ciągu uorganizowany już *ad hoc* personel administracyi wojskowéj, biura jéj, magazyny, piekarnie, wszystkie znajdujące się w jéj rozporządzeniu środki, ułatwiające rachunkowość, kredyt, kontrolę itd., oddane zostały do rozporządzenia administracyi cywilnéj. Większa część przeznaczonych dla miasta zakupów dokonana została przez pułkownika Perrier z funduszów ministerstwa wojny, bonifikowanych następnie przez ministerium handlu. W przeciągu 25 dni zdołał w ten sposób pułkownik Perrier sprowadzić za 250 milionów produktów wszelkiego rodzaju, których część odstąpiona została administracyi cywilnéj, zachowującéj, skądinąd zupełną swobodę działania i podejmowania zakupów na własną rękę. Ziarna zamówione zostały wogóle w domach trudniących się handlem z portami Baltyckiemi, z Węgrami i z Taganrogiem; mąka i mięsa solone w Anglii. Wino i spirytualie znajdowały się w dostatecznéj ilości na miejscu, lub nadchodziły wolnemi jeszcze drogami od południa. Tak samo kawa, cukier i korzenie. Inicyatywa prywatna wystarczyła w tym względzie, dla nagromadzenia zapasów przenoszących przypuszczaną (!) potrzebę. Wypadło, ma się rozumieć, zbudować naprędce nowe magazyny i założyć parki dla bydła. Lasek Bulońśki i nawet ogród Luxemburski zajęte zostały na

ten cel. Barany mianowicie obozują dokoła wczorajszéj senatorskiéj rezydencyi. Woły mieszczą się po większéj części na bulwarach zewnętrznych, rzędami ustawione wzdłuż trotuarów. Jak dotąd wyglądają zdrowo. — Jesteśmy tedy uprowidowani na dwa miesiące, biorąc w rachunek te jedynie zapasy, które mogły być skontrolowane przez administracyą, bo o tych tylko mowa w zakomunikowanych nam cyfrach i te tylko, które na teraz uwzględnić stosownem się zdało. Z jednéj zaś strony nikt nie wié i wiedziéć nie może, co się mieści i kryje po piwnicach należących do kawiarni, restauracyi a nawet domów prywatnych; z drugiéj strony woły, wieprze i barany nie stanowią całéj naszéj możliwéj prowizyi żywego mięsa. Mamy konie, których, podług statystycznych obliczeń, powinno być do 100,000 w mieście, i krowy, których powinno być do 8,000. Śmiało więc rzec można, że jesteśmy w stanie wyżywić się bodaj przez trzy miesiące. Ale *quid*, jeżeli oblężenie potrwa dłużéj? Na wczorajszém zgromadzeniu wszystkich merów kwestya ta była postawiona i postawiony także wniosek, ażeby odrazu zarządzona została r e k w i z y c y a wszystkich istniejących zapasów żywnościowych i ustanowiony podział takowych na racye *(rationnement)*. Większość odrzuciła propozycyą, jako zbyt radykalną i przedwczesną. Może przyjdzie nam żałować tego. Autor wniosku przemawiał za proporcyonalnym rozdziałem istniejących zapasów między okręgi i powołaniem nas do przewodniczenia w ich codziennéj dystrybucyi. Byłby to może najwłaściwszy systemat. Jak dotąd siedzimy z założonemi rękoma.....

18 września. Stało się. Jesteśmy w oblężeniu. Żadnéj zmiany dotąd w fizyonomii miasta i żadnéj w zwykłém funkcyonowaniu organów administracyjnych. Na targach tylko ruch większy niż zwykle, za przyczyną napływu klientów robiących zapasy. To, co się robi w tym względzie, robi się po większéj części trochę na żart i przez posłuszeństwo jednemu z tych haseł, którym tak łatwo ulega publiczność tutejsza, nawet kiedy są niedorzeczne. Dużo w tém nieporządku i marnotrawstwa, a mało rozsądnéj i może niezbędnéj przezorności. Ceny podniosły się cokolwiek, ale nie bardzo. W gruncie rzeczy, nikt prawie nie przypuszcza, aby oblężenie potrwać mogło dłużéj nad kilka tygodni....

27 września. Zdecydowano się nareszcie na uregulowanie sprzedaży żywego mięsa, przekonawszy się, jak szybko nagromadzone zapasy nikną. Postanowienie ministeryalne *(arrêté)* z dnia dzisiejszego ogranicza do 500 liczbę wołów, a do 5,000 liczbę baranów, które będą mogły iść codziennie na rzeź. Logiczném następstwem takiego kroku powinno być, jak się zdaje, zastosowanie podziału na

racye. Nie odważono się na to. Mięso sprzedawane będzie przez rzeźników na rachunek państwa, podług ustanowionéj taksy, z potrąceniem 20 centymów od kilograma na ich własny zarobek.....

7 *października.* Spędziliśmy noc całą w merostwie nad opracowaniem projektu do podzielenia na racye sprzedawanego mięsa. Przyjść bowiem do tego trzeba koniecznie. Wracając do domu o 5-téj zrana, zobaczyłem przed sklepami rzeźników długi o g o n czekających na otwarcie drzwi, które dopiéro o siódméj się otwierają. Kto się spóźni, nic nie dostaje. Między czekającemi najwięcéj kobiét. Były między niemi i schludnie a nawet elegancko ubrane. Były i stare, chore, ledwie na nogach się trzymające. Trzeba temu położyć koniec.... W ciągu dnia byłem na targu głównym *(Halles Centrales).* Zaczynają się tam robić pustki. Część p a w i l o n ó w już zamknięta. Urzędowe ceny dzisiejsze *(mercuriale)* wynoszą: stokfisz (dość obfity jeszcze) 1 fr. 30 c. kilogr., — mięso wołowe solone (w niewielkiéj ilości) od 1,75 do 2 fr. 50 c. ½ kilogr., — 1 węgorz 15 fr.,—1 szczupak 14 fr.,— 1 karp 12 do 15 fr., — masło solone (rzadkie i lichego gatunku 4 fr. 50 c. kilogr., — tłuszcz wołowy 2 fr. kil.,—smalec 2 fr. 25 c. kil.,—marchew (średnia wiązka) 1 fr. 50 c.,— kapusta od 75 do 1,80 głowa, — kalafiory średnie po 1 fr. 50 c.,— rzepa (średnia wiązka) 1 fr.,—groch zielony litr 3 fr.,— fasola biała, świeża litr 1 fr. 50 c., — groch szparagowy litr od 3 fr. 50 cent. do 6 fr., — selery, sztuka 25 c., — kartofle, ćwiartka (12-cie litrów) 3 fr. 50 c., — jaja, tuzin 2 fr. 36 c., — kurczę niezłe 12 fr., — indyk zwyczajny 30 fr., — królik 15 fr. U rzeźników pojawiło się także trochę mięsa oślego, które lepsze nierównie od końskiego i kosztuje 80 c. kilogr.....

14 *października.* Administracya wojskowa uciekła się już do zużytkowania, dla wyżywienia żołnierzy, koni, których mamy zawiele i które zjadają niepotrzebnie sporo przydać się mogącego inaczéj ziarna. Widziałem dziś pierwsze jatki końskie, założone na skraju lasku Bulońskiego. Żołnierze wiążą sami biedne zwierzęta, zabijają je młotkami, płatają i rozbierają mięso. Inni zdejmują skóry, z których wyrabiać się będą tornistry i trzewiki.....

15 *października.* Zamieszczona w „Dzienniku Urzędowym" nota przywołuje do porządku niektórych przemysłowców, wystawiających na sprzedaż łój nieoczyszczony, jako tłuszcz kuchenny, a pod nazwą smalcu, mięszaninę tłuszczu i oleju kokosowego, używaną w zwykłym czasie przez fabryki perfum.....

16 *października.* Podział mięsa na racye od dnia dzisiejszego wchodzi w wykonanie. Rola, z któréj wydzieleniem nam ociągano się dotąd, zaczęła się dla nas i zaczęły się ciężkie chwile. Ilość

mięsa rozporządzalnego każdodziennie rozdzielana będzie odtąd na okręgi a nam przypada obowiązek rozdzielania jéj w dalszym ciągu między mieszkańców naszego okręgu. Systemat, do którego skłoniliśmy się ostatecznie (zostawiono nam bowiem swobodę w tym względzie) i który prawdopodobnie zastósowany zostanie we wszystkich okręgach, jest następujący. Najprzód, zażądaliśmy od wszystkich rzeźników w naszym okręgu (jest ich 61), utworzenia syndykatu i wyznaczenia dwóch delegatów, z którymi miéć będziemy sprawę. Delegaci, w ten sposób ustanowieni, udawać się będą codziennie do jatek, które nam wyznaczone zostały (na przedmieściu „Grenelle“) i zabierać ilość mięsa, wydzieloną na trzy dni dla jednéj trzeciéj części rzeźników, to jest dla dwudziestu (sklep 61-go rzeźnika przeznaczony został dla osobnego użytku). Ci ze swojéj strony sprzedawać będą swoim klientom mięso, do którego ich racye dają im prawo na trzy dni. Trzydniowa rotacya ta obmyślona została z jednéj strony dla ułatwienia kontroli, z drugiéj strony dla uniknięcia zbytecznego rozdrabiania mięsa przy racyach, które obecnie wynosić mają 100 gr. na głowę osoby dorosłéj, 50 gr. na głowę dziecka. Racye wydawane będą za okazaniem świadectw, któreśmy wygotowali i które sami udzielać będziemy, a wyglądają jak następuje:

CARTE DE BOUCHERIE
République Française
Liberté - Egalité - Fraternité.

Maire du ..... Arrondissement
Imię
Zamieszkanie
Liczba członków rodziny
Kwit na racyi
Podpis właściciela
Mer .... okręgu

NB. Każda fałszywa deklaracya względem liczby członków rodziny pociąga natychmiastowe skonfiskowanie niniejszego świadectwa, niezależnie od kar zastrzeżonych prawem.

TABLICA. (*)

Październik	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16
17	18	19	20	21	22	23	24	25	26	27
28	29	30	31	listopad	1	2	3	4	5	6
7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17
18	i	t.	d.							

NB. Racye, nie wybrane we właściwym czasie, umarzają się.

(*) Takie same tablice służą do pobierania procentów od renty państwowéj.

Przy wydawaniu racyi, rzeźnicy obowiązani są do stemplowania za każdym razem powyższéj tablicy pod dniem odpowiednim. Delegat merostwa pilnuje w każdym sklepie prawidłowego wykonania téj manipulacyi. Ponieważ jest 20 sklepów każdodziennie otwartych, wymaga to 20-tu delegatów. W niektórych okręgach, zamiast stemplowania, odejmują się, przy każdém wydaniu racyi, kupony dzienne, podobne do marek pocztowych. Co się tyczy 61-go sklepu rzeźniczego, o którym wspomniałem wyżéj, służyć ma on za skład centralny tego mięsiwa, które rozebrane nie zostanie w innych sklepach, i zasilać będzie tym sposobem te znowu sklepy, w których z jakiegokolwiekbądź powodu okaże się deficyt mięsa, a także zaspakajać potrzeby ambulansów prywatnych, osób chorych i wyjątkowo upoważnionych do wybierania nadetatowych racyi a wreszcie tych osób, któreby nie zdążyły jeszcze otrzymać świadectwa prawidłowego w biurach naszych.

20 *października.* Usterki naszéj organizacyi rzeźniczéj wychodzą na jaw. Przedewszystkiém jesteśmy w ciągłym deficycie mięsa. Rozdział racyi obrachowany został w ministeryum handlu podług spisu ludności, sporządzonego przed miesiącem, w piérwszych dniach oblężenia. Podług tego spisu, z ogólnéj cyfry 2,010,352 głów, przypada na nasz okręg 75,000. Owóż, wiemy dziś z pewnością i codzień przekonywamy się, że cyfra ta jest niższą od rzeczywistéj o całe 20,000! kto tedy spóźni się u drzwi rzeźnika, znowu może nic nie dostać. Znowu tedy długie i smętne ogony pojawiły się przed sklepami o 5-éj, a nawet o 4-éj z rana. Zdecydowaliśmy się dziś na zmniejszenie wszystkich racyi w naszym okręgu do 80 i 35 gramów. Przygotowujemy także nowe świadectwa, w których oznaczona będzie dla każdéj osoby godzina właściwa do zgłaszania się po racyę swoję. Wypadnie wreszcie uciec się do rozdziału wszystkich mieszkańców między nasze 60 sklepów rzeźniczych. Obecnie bowiem niektóre sklepy mają za wiele klientów, a niektóre za mało. Ale przewidujemy, iż spotkamy się w tym kierunku z żywą niechęcią publiczności, która lubi trzymać się s w o j e g o r z e ź n i k a, do którego nawykła i do którego ma zaufanie. Ale cóż robić?.....

23 *października.* Jedna z restauracyi (Brébant) zakupiła dziś na targu głównym 10 kilogr. świeżego masła za 320 fr.

25 *października.* Zapasy wołowiny nikną. Woły stojące na bulwarach zewnętrznych zaczęły padać, skutkiem zapewne nawiedzającéj nas słoty. Zdecydowano się oddać od razu na rzeź wszystkie słabsze sztuki i solić mięso. Co się tyczy baranów, tych jakby już nie było. Po pierwszych deszczach w parku ogrodu Luxenbur-

skiego pojawił się prawdziwy pomor. Wypadło i tu uciec się do natychmiastowéj rzezi na wielką skalę.

26 października. Otrzymaliśmy od komisyi państwowéj zawiadomienie, że z dniem 29 b. m. racye ograniczone zostaną do 50 gramów, w naszym okręgu uczyni to zaledwie 35 gr. na głowę! Jak dotąd, ludność nie skarży się zbytecznie, co po części wynika z tego, że najbiedniejsza jéj i najliczniejsza zarazem część najmniéj ma stosunkowo do cierpienia. Przywykła ona do małych racyi, któremi zadawalnia się nawet w zwykłym czasie, a które, dzięki utrzymywanéj taksie, nie kosztuje drożéj. Przytem, istniejące już dawniéj tanie kuchnie (*Fourneaux économiques*) podwoiły swą dobroczynną działalność. A przybyły także nowe analogiczne instytucye. W okręgu naszym istniały przed oblężeniem cztery „Tanie kuchnie“, z których dwie utrzymywane przez Zarząd Dobroczynności publicznéj (*Assistance Publique*), jedna przez „Towarzystwo Filantropijne“, a jedna przez prywatnego dobroczyńcę. Tu wydają dziennie 6,600 porcyi w zamian za *bony*, które kosztują 5 centymów, a które są hojnie rozdawane. Wydajemy ich sami znaczną ilość, dzięki dostarczanym nam na ten cel funduszom ze źródeł urzędowych i prywatnych. Prócz tego, utworzyliśmy 4 „kuchnie municypalne“ (*cantines municipales*), które wydają 2,200 porcyi dziennie (za 10 centymów bulion z jarzynami; za 20 centymów porcya mięsa wołowego, koniny albo słoniny z ryżem, kartoflami lub fasolą). Nakoniec, osobna piąta „Kuchnia municypalna“ przeznaczona została dla kobiet, przybywających do naszego okręgu, dla zarobku, z odległych dzielnic miasta. Ogółem okręg nasz dostarcza tym sposobem 10,124 porcyi dziennie, które po większéj części nic nie kosztują spożywających.

27 października. Sprzedano dziś na targu głównym 1,000 kilogramów masła solonego za 38,000 fr.

30 października. Postanowienie municypalne z dnia dzisiejszego zarządza rekwizycye ryb, znajdujących się w częściach Sekwany i Marny, dostępnych dotąd, oraz w kanale ś-go Marcina i w stawach lasku Bulońskiego i Wincenskiego. Połów dokonywać się będzie na rzecz i pod nadzorem municypalności. Drugie postanowienie, bodaj czy nie spóźnione, ogranicza liczbę koni, przeznaczonych na rzeź, które będą mogły być sprzedawane każdodziennie na targu końskim.

2 listopada. Przechodząc dziś ulicą du Bac, zobaczyłem na drzwiach restauracyi ogłoszenie: *Fermé pour cause de manque de viande. Reouverture le plus tôt posible.* Ochota do żartów nie zniknęła snać jeszcze.

3 listopada. Postanowienie municypalne z dnia dzisiejszego orzeka, iż żaden produkt, służyć mogący do pożywienia, nie powinien być usuwany od tego przeznaczenia. Kości mianowicie winny być oddawane razem z mięsem; służyć bowiem mają do wyrobu artykułów spożywczych. Od kilku dni, w dodatku do racyi mięsa wołowego, dostajemy podroby (*àbats*) od koniny, jako to: wątrobę i t. p., które sprzedają się u rzeźników po cenach taksy...

7 listopada. Pogłoska o mającém przyjść do skutku zawieszeniu broni wywołała dawno nie widziane zjawisko: w oknach sklepów, trudniących się sprzedażą wiktuałów, pojawiły się pyszne krążki masła świeżego i solonego. Dziś, razem z pogłoską, o któréj mowa, wszystko to zniknęło, jakby zaczarowane. Kryją się tedy jeszcze znaczne zapasy alimentów, smaczniejszych od tych, które spożywamy codziennie. Ale niéma na to rady. Piérwszy owoce połowów administracyjnych w wodach miejskich pokazały się na targu. Ryby sprzedają się od 1,80 do 2 fr. za kilogr.

10 listopada. Oto wykaz wiktuałów, znajdujących się na targu głównym, wraz z cenami: trochę szynki wędzonéj po 16 fr. kil.;—trochę (mniéj jeszcze) kiełbasy lugduńskiéj po 32 fr. kilogr.;—mięso ośle lub mułowe) w dość wielkiéj stosunkowo ilości) po 6 fr. kilogr.; gęś 25 fr.;—kurczę 15 fr.;—para gołębi 12 fr.;—indyk 25 fr.; — królik 18 fr.;—karp 20 fr.;—porcya kiełbików 6 fr.;—tuzin jaj 4 fr.;—głowa kapusty 1,50 fr.; — kalafior 2 fr.;—wiązka marchwi 2,25 fr.;—fasoli funt 5 fr.; — masła świeżego funt 45 fr.; — masła solonego funt 14 fr.

12 listopada. Widziałem dziś w sklepie wiktuałów kilka kuropatw po 15 fr., dwa zające po 35 fr., trzy bażanty po 45 fr., i sześć perlic po 12 fr.

13 listopada. Postanowienie ministeryalne (zawsze za późno!) orzekające rekwizycyą wszystkiego bydła rogatego. Krowy, aczkolwiek niema o tém wzmianki w urzędowém obwieszczeniu, zostawione będą tymczasowo właścicielom. Chodzi o to nateraz, aby wiedzieć, gdzie one są i ile ich jest.

15 listopada. Od kilku dni dostajemy na przemian wołowinę, baraninę i koninę, a wczoraj otrzymaliśmy zawiadomienie, że z dniem 20 b. m. wołowina i baranina wyczerpane będą zupełnie. Dziś dzień koniny, ale nie zdołano dotąd uregulować targu mięsa końskiego, a nie zdecydowano się na zarekwirowanie koni tak, jak zarekwirowano bydło rogate. Prawda, że zachodzą w tym względzie wielkie trudności. Liczyć się wypada z zapotrzebowaniem koni pociągowych, z organizacyą całą transportów i ruchu miejskiego, która od jednego zamachu byłaby rozstrojona. Rezultat

wszelako jest ten, że zamiast przypadających naszemu okręgowi 4,750 kilogr. koniny, otrzymaliśmy dziś 2,375. Przesiedzieliśmy połowę nocy w merowstwie, łamiąc sobie głowę nad tém, jak zaradzić temu deficytowi. Zredukowaliśmy ostatecznie racye do 30 gramów, a i tak będzie prawdopodobnie niedostatek racyi. Przechodząc bulwarem Rochechouart, zobaczyłem zbiegowisko ludzi przed barakami pułku *mobiles*'ów z departamentu Loiret. Przyglądano się powieszonemu nad bramą psu, oprawionemu i przystrojonemu podług zasad tutejszéj estetyki rzeźniczéj, z oznaczoną obok ceną: 20 fr. Nad biednêm zwiérzęciem widniał szyld: *Grande Boucherie Hippophagique, Canine et Féline.*

18 listopada. Dziś, w Belleville, byłem świadkiem następującego dyalogu: Wiele chcecie za waszego szczura, dobra kobiéto? — Dwadzieścia susów.—Dla-boga! dwadzieścia susów za szczura!—Są szczury i szczury, moja piękna pani. Gdzieindziéj dostanie pani szczura i za pięć susów. Ale jakiego? Szczura domowego! Szczura z rumowisk! Ja sprzedaje same szczury kanałowe (*d'égouts*). Proszę patrzyć jaki téż tłusty. Jak Boga kocham, sama dobyłam go ze stosu nieczystości.

19 listopada. Dziś znowu mamy deficyt w mięsie wołowém. A jutro? Jutro, podobno wcale mięsa nie będzie! W dodatku, od 15 b. m. dostajemy już tylko co dwa dni odpadki od koniny. W inne dni administracya zatrzymuje je. dla powierzenia przemysłowcom, którzy podejmują się wyrabiać z nich wiktuały wielorakiego gatunku (kiełbasy, kiszki), przedstawiające wagę podwójną. za pomocą dodatków z ryżu, tłuszczu, krwi i t. d. Moglibyśmy to robić sami i robilibyśmy lepiéj. Wiktuały te sprzedawane będą po cenach umiarkowanych, podług taksy. Szczęściem postanowiono oddawać nam przynajmniéj żołądek (*panse*) i flaki końskie w stosunku do wydzielanych nam racyi. I to stało się teraz pożądanym przyczynkiem!....

21 listopada. Jak to przewidywaliśmy, dziś niéma wcale świeżego mięsa i jutro go nie będzie, ani pojutrze. Dla uregulowania targu końskiego i sprzedaży koniny, ktora odtąd będzie jedyném dostarczaném mięsiwem, uznano za rzecz niezbędną zawiesić na trzy dni konsumcyą mięsa świeżego, a zastąpić je solonêm, w ilości, co prawda, nieco większéj. Gdybyśmy przynajmniéj w dalszym ciągu liczyć mogli na regularną dostawę końskiego mięsa! Ale zdaje się to więcéj niż wątpliwém, skoro rząd poprzestał jedynie na przyznaniu sobie m o n o p o l u k u p n a wszystkich koni, przeznaczonych na rzeź. Cóż tedy, jeżeli potrzebna każdodziennie ilość nie zostanie dostarczoną na sprzedaż? Powiadają nam, że niepodobna

odróżnić koni pociągowych od koni rzeźniczych. Prawda to jest, ale *salus populi suprema lex esto!*

24 listopada. Mamy dziś deficyt w koninie: naturalnie!

26 listopada Zamiast koniny, dostaliśmy dziś 4,500 kilogr. wieprzowiny.

27 listopada. Na niedzielę dziś, zamiast mięsa, mamy 4,500 kilogr. stokfisza. Snać koni wcale nie dostawiono na targ. Wzięto się też energicznie do poszukiwania krów, które będą musiały zastępować konie, gdy tych zabraknie. Na początek, postanowiono oddać na rzeź te krowy, które nie zostały zadeklarowane i podległy tym sposobem konfiskacie. Wyznaczono nagrodę za ich wyśledzenie i znaleziono ich tym sposobem 1,720, za które, mimo prawa orzekającego konfiskatę, zapłacono właścicielom po cenach mięsa, przeznaczonego na rzeź. Część tych krów służyć ma do wynagrodzenia nam dni stokfiszowych, część zaś zachowana zostanie do czasu, dla dostarczania mléka chorym i dzieciom. Od dnia dzisiejszego wydzielana nam będzie, w naszym okręgu, ilość 50 litrów mléka dziennie, którą sprzedawać będziemy w przeznaczonym na ten cel lokalu po 0,70 litr. za okazaniem świadectwa, wydanego w naszém biurze.

3 grudnia. Oto więc *menu* codziennego naszego pożywienia w ubiegłym tygodniu: niedziela — stokfisz; poniedziałek—wieprzowina solona; wtorek — stokfisz; środa—wołowina i baranina w konserwach; czwartek, piątek i sobota—wołowina świeża (z krów skonfiskowanych i zarezerwowanych wołów; targ koński nie dopisywał przez cały ten tydzień!). Ratuje nas cokolwiek nadzwyczajna dystrybucya prowiantów, któremi od czasu do czasu obdarza nas ministerium handlu, a które składają się z tłuszczu, jarzyn suchych, stokfisza, śledzi, oliwy, masła, séra, kartofli i mięsiwa rozmaitego. I tak, 6-go już października dostaliśmy na nasz okręg: 200 kilogr. séra i 2,000 kilogr. kartofli; 27-go października: 100 kilogr. stokfisza; 1-go listopada: sześć i pół kręgów séra szwajcarskiego; 2-go listopada: 500 kilogr. séra holenderskiego i 5,000 kilogr. kartofli; 9-go listopada: 400 kilogr. tłuszczu. Niéma żadnego stałego systemu w tych dystrybucyach, co się tłómaczy tém, że pochodzą one z zapasów, ulegających zepsuciu i domagających się natychmiastowego zużytkowania. Utworzyliśmy z razu w naszym okręgu pięć osobnych sklepów dla sprzedaży tych produktów; ale system ten okazał się niepraktyczny, byłby bowiem zmusił nas do utworzenia nowych świadectw, na podobieństwo tych, które służą do pobierania racyi mięsa, coby było pociągnęło za sobą zbyt uciążliwe biurowe komplikacye. Postanowiliśmy tedy ostatecznie skoncentrować i tę

sprzedaż w sklepach rzeźniczych, które stały się tym sposobem składem wszelakiego rodzaju wiktuałów. Wiktuały, o których mowa, wydają się za okazaniem tego samego świadectwa, które służy do mięsa, z przyłożeniem osobnego stempla. Tak samo robią w innych okręgach. Wiadomość o nadesłaniu nam i wystawieniu na sprzedaż tych n a d z w y c z a j n y c h prowizyi udzielamy naszym administrowanym za pomocą cyrkularza w formie następującéj:

Merostwo.... okręgu.

Zechciéj się P... udać z tym buletynem i ze świadectwem służącém do pobierania racyi (*Carte de rationnement*), do sklepu. . przy ulicy...

O godzinie...... bez opóźnienia.

Sprzedawać się będzie na każdą racyą	albo	500 gr.	ryżu	za	25 c.
	„	60 „	séra	„	,, c.
	„	65 „	słoniny	„	20 c.
	„	100 „	tłuszczu	„	25 c.
	,,	250 ,,	fasoli	„	,,

NB. Sprzedaż ta przeznaczona jest jedynie dla osób, które nic nie kupiły jeszcze z naszych zapasów. A zatém osoby, które by chciały kupować powtórnie, naraziłyby się na skonfiskowanie swojego świadectwa.

4 grudnia. Dekret z dnia dzisiejszego otwiera miastu kredyt 500,000 fr. na utworzenie nowych „tanich kuchen“.

5 grudnia. Zaczyna nas niepokoić kwestya światła a bardziéj jeszcze kwestya opału. Do téj pory nic prawie nie zrobiono w tym względzie. D. 26 listopada zadekretowano jedynie rekwizycyą nafty, przechowywującéj się w magazynach publicznych i prywatnych. Chodzi o zastąpienie gazu, którego niebawem zabraknie dla oświetlania ulic. Ale i węgla a drzewa zabraknie niedługo. Zima zapowiada się tymczasem ciężka, a składy już prawie wyczerpane. Mamy od kilku dni pięć i sześć stopni zimna, a ludność uboższa nie jest już w możności stawania do licytacyi tych kawałków drzewa, które pozostaią. Drzewo przeznaczone na wyrób mebli, albo nawet wyrobione w połowie, sprzedaje się już—na funty! Musimy patrzyć na to z założonemi rękoma, nie wydzielono nam bowiem w tym względzie żadnych atrybucyi. Zamierzone są podobno cięcia w laskach Bulońskim i Winceńskim, a wtedy przyjdzie zapewne do r a c y o n o w a n i a opału tak jak i reszty. Za późno, tak jak i reszty. Ryszard Wallace (1) najwięcéj dotąd zrobił: dał dziś 200,000 fr. na opał dla ubogich.

(1) Znany filantrop.

7 grudnia. Podaliśmy skargę do ministerium z powodu złego gatunku mięsa solonego, które nam dostarczone zostało. Otrzymaliśmy odpowiedź, że przekonano się w rzeczy samėj o nieobecności w niektórych beczkach polędwicy, która uległa defraudacyi...

12 grudnia. Od rana panika, z powodu rozpowszechnionėj pogłoski o blizkiém racyonowaniu chleba. Zbiegowiska u drzwi piekarzy dla robienia zapasów. Wieczorem proklamacya urzędowa, oświadczająca, że zapasy dalekiemi są jeszcze od wyczerpania—co jest prawdą—i że „chleb nie będzie racyonowanym"—co narazić może rząd na prędkie zadanie sobie fałszu. Tymczasem gatunek chleba staje się z dnia na dzień podlejszym, zbliżając się powoli do chleba razowego. Pogłoska przedwczesna wywołana została postanowieniem ministeryalném z dnia wczorajszego, zakazującém piekarzom sprzedaży detalicznėj mąki.

18 grudnia. Przybyło nam nowe źródło dostawy żywego mięsa, na które zresztą pewna część publiczności oglądała się już od dawna, niby na skarb niewyczerpany. W rzeczywistości nie było by czém wyżywić przez jeden dzień naszego jednego okręgu, z tego źródła: administracya ogrodu aklimatyzacyjnego, znajdując się w niemożności dostarczania dłużėj potrzebnego furażu swoim wychowankom, postanowiła oddać na rzeź biédne zwierzęta. Wczoraj jeden z rzeźników wystawił na sprzedaż małego słonia i dwa wielbłądy. Te ostatnie zakupione zostały hurtem za 4,000 fr. Menażerya w *Jardin des Plantes* ma dotąd zabezpieczony furaż, a nawet mięso dla swoich lwów i tygrysów i jest nadzieja, że cenniejszy ten zbiór zachowany nam będzie. Niezależne od naszych, do Syndykatu należących, rzeźników sklepy sprzedające mięso psów i kotów mnożą się...

24 grudnia. Przedstawione dziś zostały ministrowi handlu okazy jarzyn, wyhodowanych na gruntach opuszczonych przez stowarzyszenie ogrodników paryzkich. Niewielka to pomoc. Głowa kapusty, która w zwykłym czasie płaci się 25 c., kosztuje dziś od 5 do 6 fr...

25 grudnia. Drzewa lasku Bulońskiego padają pod toporem. Potém przyjdzie kolej na drzewa zasadzone po bokach dróg „departamentowych" i „narodowych"; potém na te, które stanowią ozdobę naszych bulwarów!.. Termometr schodzi każdėj nocy do 10 i 11 stopni niżėj zera. Ludność uboga cierpi więcėj od zimna niż od głodu, a jeszcze nie ma mowy o racyonowaniu opału! Przeżyliśmy dziś setny dzień oblężenia. Cennik urzędowy na targu głównym wykazuje: kartofle (dekalitr=$2\frac{1}{2}$ garnca polskiego) 20 fr.;—1 mar-

chew 0,60 c.; — 1 rzepa 1 fr.; — 1 burak 3 frank — selery (główka) 2 fr. 25 centymów; — pory (sztuka) 0,50 centymów; — kapusta (głowa) 20 fr.; sałata (funt) 5 fr.; — cebula (litr) 6 fr.; grzyby (funt) 5 fr.; — groszek konserwowany (400 gr. około 1 funt. ros.) 7 fr.;—fasola zielona (400 gr.) 7 fr.; — oliwa (kilogr.) 12 fr.; słonina, bardzo rzadka, (funt) 8 fr.; — szynka, jeszcze rzadsza, (funt) 14 fr.;—kiełbasa z mięsa końskiego (funt) 8 fr.; — jaja (sztuka) 2 fr.; masło świeże (kilogr.) 90 fr.; — sér — n i e d o z n a l e z i e n i a; tłuszcz wołowy (kilogr.) 2 fr.; królik, 40 fr.; — gołąb, 20 fr.; kurczę, 60 fr.;—gęś, 150 fr.;—indyk, 160 fr.;—zając, 70 fr.; kot, 20 fr.......... Pies (funt) 3 fr.; szczur, 2 fr.; wróbel, 1 fr. 25 c.;—kruk. 5 fr...

26 grudnia. Radość wielka między smakoszami : administracya ogrodu aklimatyzacyjnego zarządziła z okazyi świąt wielką rzeź swych pensyonarzy, zaczynając od dwóch dużych słoniów, które sprzedane zostały jednemu z rzeźników za 27,000 fr. a których mięso przechodzi jakoby wszystkie oczekiwania wymyślnych podniebień. Ci, którzy nie potrafią dobić się kąska téj nowéj s ł o n i n y, zadawalniać się będą zwierzyną mniéj nadzwyczajną, ale nie mniéj rzadką obecnie: sprzedaje się w wielu sklepach sarnina, jelenina itd. ktoś zachwalał dziś przedemną mięso z lamy. Wszystko to kosztuje od 30 do 35 fr. funt, a więc nie jest dostępne dla każdéj kieszeni. W niektórych restauracyach można zresztą dotąd, jeżeli się jest przy pieniądzach, zjeść wcale przyzwoity objad. Oto dzisiejsza karta u Tortoni'ego:

Entrée et rôt. Główka cielęca z sosem zielonym; żółw na oliwie; polędwica wołowa z sosem *poivrade.*—*Légumes* : *Cêpes bordelaise*, sałata z jarzyn.—Sorbety z rumem i kirszem. — *Entremets: Soufflets de nones*, *beignets de pommes.*—Dessert: Jabłka, gruszki, *Mendiants*, Biszkopty, Séry.—Wina, kawa, likwory.

Rachunek: od pięciu do ośmiu lujdorów na głowę.—Większą część naszéj ludności mało to obchodzi. Na szczęście, mamy dla niéj na jutro co innego, miłą zaprawdę niespodziankę i zamiast koniny, mięso wołowe świeże, i—świeże masło! Po 25 gr. na osobę. Na nowy rok gotujemy zaś niespodziankę drugą. Dziennik „Siècle“ zdradził już tajemnicę, co wywołało głosy niedowierzania i napaści na administracyą. Zaczém minister handlu napisał list do redaktora „Siècle“, potwierdzający podaną przezeń wiadomość i oznajmiający mianowicie, że w dniu 1 stycznia wszystkie okręgi dostaną (razem): 104,400 kilogr. dobréj wołowiny w konserwach (zamiast koniny), 104,000 kilogr. fasoli, 104,000 kilogr. oliwy; 104,000 kilogr. kawy w ziarnie; 52,000 kilogr. czekolady. „Widzisz pan, dodaje minister, że magazyny nasze nie są jeszcze puste.“ To może zbyteczna prze-

chwałka. My, których obowiązkiem i przeznaczeniem — chwilami bardzo ciężkiém w dzisiejszych czasach — jest wiedzieć więcéj od drugich, wiemy o jednéj stronie naszych magazynów, która zaczyna świecić pustkami: nie mamy już prawie mąki! Musimy ją wyrabiać dopiéro, a nie mamy dostatecznéj ilości młynów. Zarekwirowaliśmy wielkie warsztaty Cail & C-ie, i mamy nadzieję dojść do 300 par kamieni, coby wystarczyło — może! Ale i ziarna może nie wystarczyć z czasem. A już teraz chléb jest niegodziwym i prawie niejadalnym, choć dzienniki powtarzają jeden za drugim, że nie jedliśmy nigdy smaczniéjszego, posilniéjszego i zdrowszego! Zapewne źdźbła słomy, które się w nim coraz częściéj trafiają, dodają mu smaku i pożywności! Rzeczą jest trudną do zrozumienia, że do téj pory śmiertelność nie przybrała większych rozmiarów. Przenosi ona od dawna zwyczajną normę, ale nie sięga proporcyi, któréj możnaby się spodziewać. Oto tablica, która zakomunikowana nam została temi dniami drogą urzędową:

	Śmiertelność od 18 wrześ-nia 1870 do 24 grudnia	Śmiertelność w peryodzie odpowiadającym roku poprzedniego
Od 18 do 24 września.	1,272	820
„ 25 „ 8 października	1,483	747
„ 9 „ 15 „	1,610	752
„ 16 „ 22 „	1,746	825
„ 23 „ 29 „	1,878	880
„ 30 paździer. do 5 listopada . . .	1,762	921
„ 5 listopada „ 12 „ . . .	1,885	877
„ 13 „ „ 19 „ . . .	2,064	900
„ 20 „ „ 26 „ . . .	1,927	943
„ 27 „ „ 3 grudnia. . . .	2,023	846
„ 4 grudnia „ 10 „	2,455	882
„ 11 „ „ 17 „	2,728	955
„ 18 „ „ 24 „	2,728	980

Cyfry są względnie niskie dotąd, ale postęp w nich jest niepokojący!

28 grudnia. Zdecydował się nakoniec rząd na ustanowienie racyi drzewa. Wynosić będą one na teraz 75 kilogr. na tydzień na osobę a sprzedawać w 22 składach wyznaczonych *ad hoc*, podług taksy i za okazaniem świadectwa wydanego w naszém biurze i podobnego do tych, które służą do mięsa. Drzewo wydzielane w ten sposób pochodzić będzie ze świeżych cięć w laskach Bulońskim i Winceńskim.

30 grudnia. Postanowiono nareszcie także rekwizycyą koni, „prócz tych, które użyte są do służby obchodzącéj interes po-

wszechny.“ Skłoniono się do tego, oddawna pożądanego kroku pod naciskiem nieustających zawodów targu końskiego. Tymczasem postanowiono także zużytkować część krów, które dawniéj zarekwirowane już były i zadeklarowane w liczbie 6,000, ale które zostawiono do czasu właścicielom. Domyślamy się osobiście w naszym okręgu pewnéj liczby krów, które nie zostały dotąd zadeklarowane i uszły czujności policyjnéj. Wiem sam o jednéj takiéj krowie, wobec któréj przyznać zresztą muszę, iż czujność rzeczona może być uwolnioną od zarzutu. Najbystrzejszy z *detectives*'ów angielskich mógłby nie odkryć winowajczyni tam, gdzie się ona znajduje. Znajduje się na 2-ém piętrze nad antresolem w salonie dość eleganckiego apartamentu. Wyniesiono sprzęty z salonu a zastąpiono dywan grubym podkładem z gutaperki, który przygłusza stuk racic zwierzęcia i zapobiega innym niedogodnościom jego obecności. Za wyjątkiem właścicieli jego, oraz odźwiernych, którzy dopomogli do wprowadzenia go na 2-e piętro, nikt w całym domu nie wié o tym niezwykłym mieszkańcu. Odźwierni zaś dostając swoję część z codziennego wydoju, milczą. I ja nie będąc donosicielem z rzemiosła ani z obowiązku, milczę także.—Od kilku dni w naszych sklepach rzeźniczych, zamienionych w bazary, sprzedajemy także mąkę, któréj dostarczono nam pewną ilość, dla zastąpienia sprzedaży detalicznéj, zabronionéj piekarzom. Sprzedajemy ją po 0,50 c. za kilogram.

1871.

1 stycznia. Et ego in Arcadia!... I ja jadłem słoniowe mięso — u znajomego, który przebojem i na wagę złota zdobył spory kawał w sklepie t. z. angielskim i przyniósł sam do domu pod pachą, tryumfalnie. Nie rzadkim jest zresztą obecnie widok panów wytwornie ubranych,—nie mówiąc już o paniach, — idących na targ z koszykiem w ręku, który to koszyk wraca pusty najczęściéj. Dają się téż widziéć panowie i panie obładowane wiązkami — nie nadto ciężkiemi co prawda — drzewa lub łuczywa, pochodzącego z jakowychś beczek rozbitych lub starych sprzętów. U mojego znajomego mieliśmy dziś dobry ogień, dzięki zakupionym resztkom ze starego statku, rozebranego na Sekwanie.....

5 stycznia. Dziś w ministeryum sprawiedliwości jedna z mnożących się temi czasami „Sprzedaży“ na cel dobroczynny *(Ventes de charité)*, na których wiktuały, jak się rozumié, największą odgrywają rolę. Kawałek kiełbasy, starczyć mogący na 4 plasterki, sprzedany został za 25 fr., pasztet strasburski za 100 fr. Przed dwoma

tygodniami na „Sprzedaży", uorganizowanéj w ministeryum oświaty przez „Towarzystwo pomocy ofiarom wojny" pod przewodnictwem pani Jules Simon, figurował baran, przysądzony za 500 fr. Towarzystwo, o którém mowa, zdołało już, od czasu rozpoczęcia się oblężenia, założyć 5 „Tanich kuchen", wydzielających każda do 2,000 porcyi dziennie, bez żadnéj opłaty; urządzić warsztat, w którym 600 kobiét pracuje dla ubogich, i wydawać znaczną liczbę b o n ó w na opał, żywność i lekarstwa. Wszystko razem przedstawia wydatek 32,000 fr. miesięcznie.....

6 stycznia. W warsztatach Cail & C-ie funkcyonuje już 300 par kamieni; z dodatkiem młynów, dawniéj będących w użyciu, wystarcza to dla codziennego zapotrzebowania mąki, ale chodzi o to, jak długo będzie z czego mąkę robić. Zapasy nikną, choć nie wydziela się z ziarna więcéj jak 10% otrąb a chleb wypiekany stał się czémś nie zasługującém już na nazwę chleba i nie mającém nazwy w żadnym języku. Za wrzuceniem go do wody spływają na powierzchnię źdźbła plewy w takiéj ilości, jak gdyby kto sieczkę porznął. Na spodzie zaś naczynia Bóg wié jakie odnajdują się akscesorya! Na targach tymczasem i w sklepach prawie zupełne już pustki—przynajmniéj zewnątrz; wiemy bowiem z pewnością, iż po piwnicach kryją się jeszcze spore zapasy, ale jak dostać się do nich? Właściciele chowają się z niemi, bądź obawiając się rekwizycyi, bądź lękając się rabunku (bo i to zdarzyć się może), bądź wreszcie przewidując przedłużenie oblężenia i chcąc czy to zabezpieczyć się od głodu w chwilach krytyczniejszych jeszcze od tych, które przebywamy, czy to większy jeszcze osiągnąć zarobek. Mięsa zresztą, nawet solonego i mąki nie masz podobno w tych zapasach, a jedynie cukier, oliwa, kawa, czekolada, świéce i t. p. produkta. Szybko wyczerpująca się ilość mięsnych konserw przedaje się jeszcze w niektórych sklepach wiktuałów po cenach fantastycznych. Zresztą po za urzędową sprzedażą racyi mięsnych, targi nieurzędowe dostarczać tylko mogą psów i szczurów. Byłem dziś na targu głównym: żałobny widok! większa część pawilonów stoi pustką i zamknięta. Tu i owdzie wywieszone mięsiwa (zawsze przystrojone artystycznie, z ozdobami z wycinanego papieru i girlandami sztucznych kwiatów), a nad niemi napisy: *terre-neuve*, *bull-dog*, *terrier*, *basset*, a obok nich przybite gwoździem kudłate głowy, biédne, poczciwe głowy naszych najlepszych przyjaciół! — dla udzielenia wiarogodności etykietom. — Wiele za udo bull-dog'a?—Pięć franków funt. Radzę wziąć; *c'est du vrai prè-salè.* Miałem polecenie zajrzenia specyalnie do jednego pawilonu, w którym sprzedaje się od kilku dni, pod etykietą „flaków (*(gras-double*), rodzaj żelatyny zagadkowéj. Otrzymaliśmy ra-

port stwierdzający, iż produkt ten osiągnięty został za pomocą skór cielęcych, wziętych z garbarni i zanurzanych we wrzącéj wodzie!....

7 stycznia. Postanowienie z dnia dzisiejszego zarządza rekwizycyą drzewa ciesielskiego i stolarskiego *(de sciage)*, które sprzedawane będzie w 16 składach podług taksy i w ilościach od 250 do 1,000 kilogr. Wpłynie to może na obniżenie cen, które oddawna stały się nieprzystępne dla uboższych kieszeni. W sklepikach kilka kawałków drzewa lub węgla kosztuje od 15 do 20 fr. Drugie postanowienie zarządza rekwizycyą smoły ziemnéj, asfaltu i innych produktów analogicznych, służyć do opału mogących. Zimno ciągle dokuczliwe: od 8 do 10 stopni niżéj zera. Biedna ludność cierpi strasznie, ale musimy stoicznie patrzyć na to, nie dostarczono nam bowiem dotąd żadnego środka dla walczenia z tą plagą równie prawie groźną jak głód. Inne merostwa nie są szczęśliwsze. A prawda! przysłano nam 2,000 pasów flanelowych dla rozdania ubogim..... Co się tyczy światła, to od kilku dni już gaz zastąpiony został na ulicach naftą. Przeznaczono na ten cel 35,000 lamp, których oświetlanie powierzono koncesyonaryuszowi. Ten otrzymuje codziennie kwit na potrzebną ilość nafty i zajmuje się dobyciem takowéj od jéj posiadaczy, u których zarekwirowaną i przez których zadeklarowaną być musiała pod groźbą konfiskaty i kar prawem przepisanych....

9 stycznia. Rzeźnia w Grenelle, gdzie zaopatrywaliśmy się dotąd w mięso, stała się celem dla pocisków niemieckich. Rzeźnicy nasi oświadczyli jednomyślnie, iż brać ztamtąd mięsa nie będą. Odesłano nas do rzeźni na Batignolles.....

14 stycznia. Zbliżamy się szybkiemi, a jeszcze podobno za powolnemi krokami do racyonowania chleba. Postanowienie z dnia dzisiejszego nakazuje rekwizycyą wszystkich ilości mąki przenoszących 5 kilogr. na jedną rodzinę. Upoważnieni jednocześnie zostaliśmy do zakazania z naszéj strony piekarzom wyrobu i sprzedawania chleba, nazwanego dziś l u k s u s o w y m, to jest jadalnego. Nie na wiele się ten zakaz przyda, boć trudno nam zaglądać do wszystkich pieców. Tu i owdzie sprzedają się do téj pory pojedynczym osobom, nawet przez rzeźników pod naszą kontrolą będących, większe i wyborowe kawałki mięsa; tylko sprzedają się bardzo drogo. I biały chleb będzie nawet po naszym zakazie piekł się i sprzedawał w małych ilościach, tylko będzie się sprzedawał drożéj. Wogóle coraz to lepiéj potwierdza się to, że średnia klasa najwięcéj cierpi w teraźniejszych okolicznościach. Bogaci radzą sobie, a najubożsi znajdują w „Tanich kuchniach“ pożywienie (bez opłaty żadnéj) dostępniejsze niż w zwykłym czasie, a lepsze od te-

go, które kupować sobie mogli przed oblężeniem. Dla uniknięcia nowéj paniki, takiéj jak ta, która wywołana została przed miesiącem przez postanowienie, zakazujące detalicznéj sprzedaży mąki, rząd uznał za stosowne obwieścić znowu, że nie ma i nie będzie nigdy mowy o racyonowaniu chleba. To szaleństwo tym razem, bo jeżeli oblężenie potrwa jeszcze tydzień, co jest prawdopodobném, tedy trzeba będzie racyonować przed końcem tygodnia.....

16 stycznia. Zdecydowaliśmy się na krok heroiczny: ustanowiliśmy z naszéj własnéj inicyatywy 500 gramowe racye chleba w naszym okręgu. Ministeryum pozwoliło na to, bo wié, że jutro lub pojutrze będzie musiało nas naśladować. Może i radzi są temu, żeśmy dali ten przykład. Dwa czy trzy inne okręgi jutro ogłoszą racyonowanie. Ryszard Wallace dał znowu, dla rozdzielenia między wszystkie okręgi, 80,000 fr. reprezentujących 300,000 bonów do „Tanich kuchen.“

18 stycznia. Nareszcie! Ogłoszono racyonowanie we wszystkich okręgach: 300 gr. chleba na głowę dorosłéj osoby, 150 gr. na głowę dziecka. Licząc się z pozostającemi nam zapasami, mamy tych racyi na jakie 10 dni, 2 tygodnie najwięcéj, i to jeszcze dodając, oprócz ryżu, którego mało co zostało, Bóg wié jakie ingredyencye do mąki żytniéj i owsianéj, bo pszennéj jakby już nie było. Ustanawiając racye na samym początku oblężenia i poprzestając na ich ograniczeniu do 400 gr. (co równa się prawie przeciętnéj konsumpcyi w zwykłym czasie), bylibyśmy zyskali jakie 15 dni, bo od początku oblężenia przeciętna konsumpcya przeniosła 600 gr. na głowę dziennie. Naturalnie! Zastępowano chlebem wszystkie inne brakujące wiktuały i używano go do Bóg wié jakich użytków. Mieszkanka owa 2-go piętra, krowa, z którą teraz źle podobno będzie, żywiła się prawdopodobnie chlebem. Systemat zastosowany do pobierania racyi w piekarniach będzie tym samym, którego doskonałość względną wypróbowaliśmy w sklepach rzeźniczych. Chléb wydawany będzie za okazaniem świadectwa służącego do pobierania mięsa i z przyłożeniem każdą razą odpowiedniego stempla, lub za okazaniem specyalnych świadectw, które się drukują, i dla wydawania których ustanawiamy w każdéj dzielnicy *(quartier)* osobne biuro z pięciu urzędników złożone. Świadectwa te będą z kuponami, tak jak dawniejsze świadectwa do pobierania mięsa w innych okręgach. Odejmowanie kuponów okazało się bowiem praktyczniejszém od przykładania stempla, którego kontrola staje się uciążliwą. Dystrybucya chleba rozpoczynać się będzie o 7-méj z rana we wszystkich piekarniach, pod nadzorem dwóch gwardzistów narodowych i dwóch delegatów merostwa. Nauczeni

doświadczeniem, postanowiliśmy obecnie zarządzić odrazu rozdział mieszkańców między istniejące piekarnie. W tym celu tablica urzędowa rozlepiona na murach wskazywać będzie jakie domy prowidować się winny w jakich piekarniach. Nie mamy już zresztą powodu obawiania się opozycyi, z którą rachowaliśmy się na wstępie: przygnębienie jest tak wielkie w masie mieszkańców, że można z niemi robić co chcieć, jak ze stadem owiec—a nawet łatwiéj. Gazety prawią codziennie dytyramby o heroizmie paryskiego ludu, wytrzymującego stoicznie i bez szemrania wszystkie próby: o ile miarkować mogę, jest to heroizm negatywnéj natury: klasa wyższa znosi wszystko w milczeniu, bo się boi odezwać, klasa średnia, najwięcéj dotknięta, milczy także, bo ją czteromiesięczne cierpienia pogrążyły w stan apatyi bolesnéj i ponurego osłupienia. Woda u niéj w żyłach zamiast krwi, a zimno zamroziło szpik w kościach. Klasa najuboższa nakoniec nie skarży się, bo nie ma powodu do skargi: jé w „Tanich kuchniach“ nie gorzéj jak zwykle, a jé darmo, nic nie robiąc. Polityka z jednéj strony—bardzo roztropna, z drugiéj strony ten popęd—bardzo szlachetny—do dobroczynności, którego energii przemilczéć nie można w tutejszych wyższych sferach, a który nie ma podobno równego sobie nigdzie, zrobiły tyle, że właściwy ubogi lud będzie miał powód do żałowania tych dni okropnych. Pamiętać wypada o tém, że wszyscy mężczyźni, zdolni do noszenia broni, pobierają 1 fr. 5o c. żołdu dziennie, jako gwardziści narodowi, a ich żony oprócz tego 75 cen. Prawdziwymi męczennikami oblężenia są z rodzinami swojemi urzędnicy, pobierający od 1,8oo fr. do 2,5oo fr. pensyi rocznie i drobni rentyerzy. Tych żony trawią każdodziennie długie godziny, od 5-téj i 4-téj z rana u drzwi piekarzy i rzeźników, na mrozie i słocie, aby wrócić do domu z kawałkiem stokfisza, lub kromką chleba, którego sam widok obrzydzenie sprawia. Ci jedzą od dwóch miesięcy koty, szczury i Bóg wié co jeszcze. Ci głodzą się i marzną. Czy chcą mimo tego przedłużenia oblężenia? Bóg raczy wiedziéć, czego oni chcą! Niczego podobno, z czego by sobie jasno zdawali sprawę. Jakiś czas bawiła ich ta nowa sytuacya, jak każda nowość. Patrzyli na tę tragedyą, któréj stali się aktorami, z pewném upodobaniem, tak jak patrzą z 3-go piętra w teatrze „Ambigu“ na wystawione tam okropności dramatyczne. Powoli zaś wleźli, jak się tu mówi, *dans la peau du perronnage* i chodzą teraz po scenie, jak automaty, bez siły, bez woli i bez myśli prawie.... Wracając do porządku dziennego, kolportowanie chleba do domów zostanie surowo zabronione: równość przed prawem! Pewna ilość chleba białego — o ile starczy pszennéj mąki — będzie mogła być wypiekana dla chorych i wyda-

wana za świadectwem doktora i specyalnym kwitem udzielonym przez nas w następującéj formie:

> **Merostwo.... okręgu**
>
> Pozwala się okazicielowi kupić racyą chleba białego
>
> Kwit ten służy tylko na dzień dzisiejszy
>
> ..... Stycznia 1871 r.
>
> Mer...., okręgu

19 stycznia. Dekret z dnia dzisiejszego oznajmuje rolnikom, którzy zachowali jakikolwiek zapas zboża na siew i wogóle wszystkim posiadaczom wszelkiego ziarna, iż winni złożyć w tym względzie deklaracyą ministrowi rolnictwa pod karą konfiskaty, 10,000 fr. grzywien i 3 miesięcy więzienia. Za późno, zawsze za późno! Drugi dekret obwieszcza, iż poszukiwania dokonane będą w mieszkaniach wszystkich osób nieobecnych w mieście, dla zarekwirowania znaleść się mogących wiktuałów lub materyałów na opał służyć mogących. Wartość tych zapasów bonifikowana będzie właścicielom podług oszacowania dokonanego przez biegłych. Nagroda przyrzeczona zostaje denuncyatorom ziarna, które by deklarowane nie było. Nota urzędowa oznajmia skład mąki wydawanéj obecnie piekarzom: 50% mąki pszennéj, 30% ryżu, 20% mąki owsianéj. Zakrawa to na ironię, lub na bezczelność. W téj pseudo-mące, którą otrzymujemy w naszym okręgu, nie ma podobno śladu ani pszenicy, ani już nawet ryżu. Mąkę reprezentują otręby owsiane i mączka kartoflana (*fécule*), któréj poodkrywano w ostatnich czasach tu i owdzie dość znaczne zapasy. Zresztą nie wiadomo, co tam jest, ale z pewnością nic pochodzącego z jakiegokolwiek ziarna. Wiemy o dość znacznéj przymieszce fosforanu wapna, który służyć ma do udzielenia téj chemicznéj miksturze więcéj siły pożywnéj, a do którego wyprodukowania służą kości. Jakie kości? Lepiéj nie myśléć o tém. Chodzą w tym względzie rozmaite pogłoski, może nie zupełnie bezzasadne. To pewna, że z tych wołów, baranów, koni, któreśmy zjedli od początku oblężenia, nie zostało jednego gnacika. Zjedliśmy i szkielety także, pod postacią kiszek, kiełbas i innych tego rodzaju zaimprowizowanych wyrobów, i jemy je ciągle jeszcze w téj postaci, o ile ich starczy. Wiemy o tém najlepiéj, ponieważ od początku miesiąca kości i inne odpadki, które dawniéj rząd zatrzymywał, nam się już stale oddają, a my oddajemy je z naszéj strony przemysłowcom fabrykującym sztuczne kiełbasy i kiszki, z którymi to przemysłowcami rząd pierwotnie traktował. Jakim sposobem

chléb którym częstujemy teraz naszych administrowanych, nie truje ich gromadnie i nie wywołuje gwałtownéj śmiertelności; jakim sposobem, od miesiąca zwłaszcza, liczba codziennych ubytków w ludności (jakkolwiek rosnąca ciągle) utrzymuje się dotąd w umiarkowanych granicach, to stanowi zagadkę. Specyaliści twierdzą, iż naturalne następstwa téj próby, przechodzącéj ludzkie siły, którą narzucamy żołądkom, okażą się dopiero późniéj, po skończeniu oblężenia; teraz bowiem gorączkowy stan, wytworzony przez naprężoną sytuacyą, podtrzymuje chwilowo organizmy. Przypisują téż doktorzy wielką wagę temu, że dotąd nie brakuje nam wina, które działa jako paliatyw. Na wniosek zatém komisyi lekarskiéj, postanowiono na wczorajszém zebraniu wszystkich merów stołecznych, że $1/5$ część litra wina wydzielona będzie bezpłatnie we wszystkich piekarniach każdemu okazicielowi b o n u na racyą chleba. W tym celu beczka wina złożona będzie w każdéj piekarni i piekarze zaopatrzyć się winni w léjek i miarę odpowiednią.

21 stycznia. Sytuacya zbliża się widocznie do rozwiązania. Jesteśmy w peryodzie ostatnich wysileń konwulsyjnych i szamotania się z dławiącą nas fatalnością. Dekret z dnia dzisiejszego cofa onegdajsze rozporządzenie, odnoszące się do nagrody, wyznaczonéj za denuncyowanie ukrywanego ziarna. Denuncyacyi namnożyło się sporo, a ziarna odkryło się mało. Zmianę w postanowieniach swoich tłómaczy minister wysoką ceną ofiarowaną dostawcom zboża (50 fr. za cetnar metryczny pszenicy, 35 fr. za cetnar innego ziarna), oraz srogością kar orzeczonych poprzednim dekretem. W niektórych restauracyach Rotszyldowie znajdują jeszcze możność spożywania czegoś podobnego do ludzkiéj strawy,—ale muszą przynosić chléb z sobą. Warunek to *sine qua non*, towarzyszący także rzadkim zaprosinom na obiad, wymienianym jeszcze między znajomymi. Wyczerpują się w ten sposób resztki zapasów szynki, mortadeli i kiełbasy, zachowane—na ostatnią chwilę. Ulice przedstawiają wieczorem dość ciekawy widok, za sprawą latarek, w które zaopatrywać się winni wszyscy wychodzący z domu nocną porą, bo lampy naftowe bardzo niedostatecznie wyręczają latarnie gazowe. Zresztą nie wiele jest stosunkowo tych wieczornych przechodniów. Przejeżdżających się zaś powozami nie ma wcale, bo nie ma koni do ciągnięcia powozów. Ani dorożek ani omnibusów. Nawet na bulwarach cisza ponura. Kawiarnie jednak dotąd otwarte i częstują kawą po dawnemu, tylko po cenach podwyższonych. Kawy nie brakuje jeszcze u episyerów, ale cukier znikł czy schował się. Wyszło nawet dziś rozporządzenie, nakładające taksę na ten produkt także, dla zapobieżenia niegodziwym spekulacyom. Wynosi ona 1 f. 90 c.

za kilogr. przy sprzedaży hurtownéj i 2 fr. za kilogr. przy detalicznéj. Piwa można także dostać w kawiarniach, to jest napoju ochrzconego tém imieniem i nalewanego do tych samych *bock's*-ów co dawniéj, ale nie mającego zresztą żadnego podobieństwa, nawet w barwie, do właściwego płynu gambrynusowego. Bóg jeden wié, co piją w ten sposób odważni konsumenci! Wina zawsze dostatek.

24 stycznia. I drzewa ostatnie zapasy wyczerpują się. Była mowa na radzie ministrów o wycinaniu drzew rosnących na bulwarach, ale wniosek upadł śród milczenia, którego sens wymowny był ten, że nie warto, bo i tak długo nie wytrzymamy! Tymczasem racye ograniczone zostały do 25 kilogr. na tydzień i na osobę, dla zdobycia których to racyi trzeba pokutować kilka godzin przed naszemi biurami, aby uzyskać kwit i znowu kilka godzin przed składem. Brak zaś węgla jedno nie pożądane i nie przewidziane następstwo pociągnął za sobą, a mianowicie to, że fabrykacya czekólady—ważnego dziś artykułu spożywczego—ustała całkowicie. Utworzono tedy komisyą specyalną dla zaopatrzenia fabrykantów w węgiel, o ile się ten da znaleść. Wszystko to ostatnie podrygi... Od wczoraj Juliusz Favre układa się z Bismarkiem...

27 stycznia. Consummatum est... co także może znaczyć w tym przypadku, żeśmy skonsumowali wszystko, co było do skonsumowania. Ogłoszona dziś a datę dnia wczorajszego nosząca nota zapowiada na jutro zawieszenie broni...

28 stycznia... „Wykażemy, iż zostaje nam akurat tyle chleba, ile go potrzeba, aby się doczekać transportów żywności, i że nie mogliśmy przedłużać walki, bez narażenia na śmierć pewną dwóch milionów ludzi, mężczyzn kobiet i dzieci... „Słowa są noty zamieszczonéj w dzisiejszym „Dzienniku Urzędowym“.

29 stycznia. „Dziennik urzędowy“ dotrzymuje słowa a urzędowemu tekstowi kapitulacyi towarzyszy następujący wykaz: „Dnia 8 września, powtarzając tekst deklaracyi pana Magnin ministra handlu, rozlepionéj na murach, „Dziennik urzędowy“ zapewniał, że zapasy istniejące w mięsie, płynach, wiktuałach wszelakiego rodzaju wystarczające są dla wyżywienia 2,000,000 głów przez dwa miesiące. Oblężenie trwało cztéry miesiące i dwadzieścia dni. D. 27 stycznia zostawało w magazynach 42,000 cetnarów metrycznych pszenicy, jęczmienia, żyta, ryżu i owsa, co zamienione na mąkę przedstawia, z powodu małéj wydajności owsa, 35,000 cetnarów metrycznych mąki do pieczenia chleba odpowiedniéj. W téj ilości objęta jest cyfra 11,000 cetnarów pszenicy i 6,000 cetnarów ryżu, odstąpionych przed administracyą wojskową, która nie posiada żywności więcéj jak na 10 dni, a mianowicie: 12,000 cetnarów ryżu, pszenicy

i mąki i 20,000 cetnarów owsa. W czasie zwyczajnym Paryż spożywa, 8,000 cetnarów mąki dziennie, czyli 2,000,000 funtów chleba, ale od 22 września do 18 stycznia konsumpcya ta ograniczona została do 6,360 cetnarów mąki dziennie, od 18 zaś stycznia, to jest od ustanowienia racyi chleba, do 5,300 cetnarów. Trzymając się téj ostatniéj cyfry, zapasy nasze wystarczyć mogą na 7 dni... Co się tyczy mięsa, po wyczerpaniu wołowiny, żyliśmy końmi. Było w Paryżu 100,000 koni; pozostaje ich, łącznie z należącemi do wojska, 33,000. Nie można oddać wszystkich na rzeź, bez zatrzymania służby ambulansowéj i transportów niezbędnych ziarna, mąki i wiktuałów. Rozporządzalna przeto ilość nie przenosi 22,000. Obecnie konsumujemy, razem z wojskiem, 650 sztuk dziennie, co odpowiada 25 do 30 gr. mięsa na głowę, po wydzieleniu tego, co się należy szpitalom, ambulansom i „Tanim kuchniom“. Możemy przydać 3,000 pozostających krów, któreśmy zachowali dla tego, że dostarczały mleka chorym i dzieciom nowo-narodzonym. Ale wtedy, ponieważ zabraknie chleba, będziemy musieli powiększyć w czwórnasób racye mięsa i będziemy zmuszeni do zabijania 3,000 koni dziennie“...

Wszystko to jest wymownem i przekonywującém, ale nie przeszkadza temu, że gdyby systemat r e k w i z y c y i i r a c y o n o w a n i a był przyjęty od samego początku, mielibyśmy mąki i mięsa jeszcze na miesiąc co najmniéj. Cyfra 6,360 cetnarów, jako reprezentująca konsumpcyą dzienną mąki od 22 września do 18 stycznia jest fikcyjną. Wiadomo dobrze, że na początku oblężenia, gdy zabrakło owsa i siana, pewna liczba koni żywiła się chlebem. I jest coś prawdy w tym powtarzanym obecnie na okół epigramacie, że „przez połowę oblężenia rząd żywił konie chlebem ludzkim, a przez drugą połowę ludzi owsem końskim“. Tak samo uparliśmy się przy oświetlaniu ulic gazem, dopóki nie zabrakło węgla, w braku którego marznąć nam przyszło. Tak samo wzięliśmy się do wycinania drzewa w lasku Bulońskim, kiedy nie stało już jednéj szczapy w składach, i wydawaliśmy drzewo zielone, które palić się nie chciało. Tak samo pomyśleliśmy o tém, że nie mamy młynów, kiedy spostrzegliśmy się, że brakuje już mąki... Prawda, że na to wszystko jest jedna odpowiedź: Czy był kto nietylko w Paryżu, ale na świecie całym, ktoby spodziewał się, że oblężenie potrwa 140 dni? Pierwsza komisya prowiantowa przewidywała 45 dni, i myślała, że rachuje z przesadą *in plus*! Co się tyczy owego miliona kilogramów żywności, zmarnotrawionéj jakoby przez następcę pana Magnin w ministerium handlu, pana Ferry, wydanéj na zgnicie przez brak dozoru, jak doniósł o tém „Figaro“, Figarowa to bajka.. Dozoru nie brakło,

ani umiejętności, ani wreszcie energii. Brakło zapewne systematyczności, dostatecznéj przezorności i zimnéj krwi. Ale też wieki zapewne przyjdzie czekać na drugą próbę, która by w równym stopniu wymagała tych wszystkich przymiotów.

4 lutego. Pierwsze transporta żywności przybyły dziś: w samą porę! Anglicy wysadzili się: przysłali darowizną cały olbrzymi pociąg naładowany prowiantami wszelakiego rodzaju. Historya nie pamięta podobno czegoś podobnego. Znać i miara nieszczęść naszych przeszła wszystkie historyczne wspomnienia...

25 lutego. Dziś kończy się moja służba w merostwie. Ostatni dokument urzędowy, który przeszedł przez moje ręce, żałobne zostawi mi wspomnienie. Dalszy to ciąg tablicy śmiertelności zakomunikowanéj nam w grudniu:

	Śmiertelność od 25 grudnia 1870 do 25 lutego 1871	Śmiertelność w peryodzie odpowiadającym lat poprzednich 1869—1876
Od 25 grudnia do 31 grud.	3,280	921
„ 1 styczn. „ 6 stycz.	3,680	1,106
„ 7 „ „ 13 „	3.982	938
„ 14 „ „ 20 „	4,465	960
„ 21 „ „ 27 „	4.376	1,044
„ 28 „ „ 2 lutego	4,671	1,005
„ 3 lutego „ 10 „	4.451	1,133
„ 11 „ „ 17 „	4,103	1,292
„ 18 „ „ 25 „	3.941	1,362

Cyfry zmniejszają się, dzięki Bogu, i stosunek zwłaszcza do statystyki zeszłoroczněj staje się mniéj zastraszającym. Nie sprawdzają się tym sposobem przewidywania specyalistów, przepowiadające wzrost śmiertelności po zakończeniu kryzysu. Najwyższe cyfry odpowiadają owszem najcięższym ostatnim dniom oblężenia. Dzięki Bogu, wszystko to już minęło .. jak sen okropny...

X.

WOLA ZBIOROWA I ZASADA SZCZĘŚLIWOŚCI.

STUDYUM ETYCZNE.

ETYKA WUNDTA.

Filozofia, rozszczepiwszy się w wieku Bacona i Descartes'a na dwa wrogie kierunki, z których jeden wysunął ducha na czoło, a drugi—materyą, rozgałęziła się wprawdzie z czasem na wiele poddziałów i odłamów drobniejszych — ale w pierwotném rozdwojeniu po dziś dzień przetrwała. Nic téż dziwnego, że żywioły jéj praktyczne, jak etyka, teraz silniéj niż kiedykolwiek zaprzątająca umysły pod wpływem rozwiniętéj znacznie świadomości realnych potrzeb społeczeństwa, taką dwoistością odznacza się. Poglądy na istotę dobra i zła, na cele, do których dążyć winniśmy, i obowiązki, jakie względem siebie i bliźnich spełniać należy, urobiły się bądź według zasady, że ideałem ludzkości jest szczęście powszechne, zadowolenie wszelkich jéj uprawnionych pragnień i ten to wzgląd czynami naszymi kierować powinien, bądź téż podług mniemania, iż tylko cześć cnoty dla cnoty saméj, dla idei ożywiać powinna człowieka. Pierwsza z tych szkół obrawszy siedlisko w Anglii, zapanowała możnie we Francyi i Włoszech i rychło podbiła zwolenników myśli trzeźwiejszéj, rozumiejących pozytywne godło szczęśliwości a nie pojmujących bezwzględnych oderwań, — druga rozwielmożniła się w kraju idealizmu, w Niemczech, i stanąwszy z tamtą w jawném przeciwieństwie, dotąd jeszcze walczy o lepsze. Nie można powiedzieć, by nie czyniły one sobie wzajemnych ustępstw. Zwłaszcza myśl germańska często bywa do tego zniewalana olbrzymimi postępami przyrodoznawstwa, których sprawcami w części największéj są Anglicy. Korzystając ze zdobyczy naukowych dar-

winizmu, ucząc się od swych współzawodników z za morza przedmiotowości w badaniu, która tak namacalnie owocną się okazuje, muszą się zarazem z nabytkami owymi i metodami rachować. Niemniéj jednak dualizm pojęć etycznych ostał się. I tak jak spuścizna po Benthamie, rosnąc w siłę i objętość, mnożąc literaturę i stronników, znalazła niedawno dobitny wyraz w dziele Spencera *The data of Ethics*; tak teraz znowu idealizm niemiecki przemówił donośnie ustami Wundta. Powiadam idealizm, bo chociaż nazwa ta za mało określa rzecz, ale ze stanowiska klasyfikacyi ogólnéj prądów filozoficznych — zdaje się być całkiem wystarczającą.

Nastręcza się tedy ciekawe pytanie: jak brzmią wywody znakomitego profesora lipskiego? jak wyglądają na tle etyki eudemonistycznéj, która dziś na niewzruszonym niemal stanęła gruncie? Jak zachowują się wobec wymownych wskazówek nauki o życiu jednostkowém i spólném, których utylitaryzm coraz śmieléj się radzi? Tak potężną wydaje się nam zasada zadowolenia ogólnego, że ze zdwojoną ciekawością spoglądamy na pracę poważną, w któréj nawet nieświadomy jéj treści słusznie domyślać się będzie antagonizmu z etyką pozytywną.

Cóżkolwiekbądź, odtąd żaden pisarz i żaden człowiek, szukający rozwiązania odwiecznych zagadek etyki, nie będzie miał prawa lekceważyć tego przyczynku. Wyszedł on z rąk autora słynnego z rozległéj i głębokiéj wiedzy. Wypada mu więc poświęcić uwagę bliższą, a że odznacza się nader okazałymi rozmiarami, więc i dłuższą nieco.

I.

Znaczenie etyczne wierzeń religijnych.

Wundt spokrewnia blizko etykę z logiką, którą opracował w przedostatniém swém dziele. Obie wraz z córami swemi, estetyką i gramatyką, zaspakajają najpilniejsze potrzeby ukształconéj ludzkości; stwarzają bowiem p r a w i d ł a, n o r m y, jedna postępowania, druga myślenia; podczas gdy nauki przyrodnicze, badając zjawiska konieczne, od woli ludzkiéj niezawisłe, doszukują się jedynie p r a w.

Bliżéj określona, etyka ma za zadanie wynaleść podstawy, na których spoczywają wszelkie sądy moralne. Jéj zastosowaniami będą pojedyncze dziedziny życia zbiorowego: rodzina, gmina, państwo, społeczeństwo i t. d.

W imię potęgi faktów wdaje się Wundt w obszerne wywody nad wszelkiemi zjawiskami etycznemi, bada język, zwyczaje, mnie-

mania filozofów, urządzenia religijne,— słowem wszystko, skąd zaczerpnąć można światła dla dziejów istoty i pojęć moralnych. Są to jak gdyby dane etyki, podmurowanie empiryczne, na którém dźwignięty zostanie sam systemat.

Napozór rozstrząsania językoznawcze w dążeniu do powyższego celu nie na wiele się przydadzą. Ale myśliciel niemiecki, wierny narodowemu zwyczajowi poczynania *ab ovo*, i z téj w odległą przeszłość wycieczki wyniósł pewien plon. Mianowicie następujący.

Pojęcia moralne z czasem dopiéro, pod wpływem wyższéj samowiedzy, nabierają charakteru ogólnego, — pierwotnie oznaczają tylko pojedyncze zalety lub wady, zmieniające się stosownie do miejsca i narodowości. Pierwotnie téż pochwała i nagana dotyczy cech zewnętrznych i zmysłowych — późniéj przenosi się na samą osobistość i służy jéj za przezwisko, za imię własne, a dopiéro potém—na przedmiot. Od tego znaczenia rzeczowego niedaleko już do pojęć oderwanych, samoistnych. Od „dobra“ w odniesieniu do majątku lub zdrowia krok tylko do „cnoty“.

Jeśli nie wszystkie ludy urobiły sobie jednakie pojęcia moralne, to wszystkie ujawniają jednakie tendencye. Wszędzie zachodzi pewna odpowiedniość między właściwościami fizycznemi a cechami duchowemi. Siła kojarzy się zwykle z męstwem, pewnością siebie, słabość — z tchórzostwem. Że zaś ludzkość, zanim dojdzie do pewnego stopnia cywilizacyi, wszędzie czci dzielność fizyczną a gardzi słabością — przeto wszędzie téż ceni lub potępia uwarunkowane niemi cechy wewnętrzne.

Więcéj, choć może nie tak przedmiotowo, poucza o rozwoju idei moralnych stosunek do nich religii i obyczajów.

Ale najprzód, co stanowi istotę religii?

Wyobrażenia i uczucia, dotyczące bytu idealnego i czyniące zadosyć pragnieniom natury ludzkiéj. Na urzeczywistnienie tych ostatnich składają się dwa żywioły: *a)* potęgi nadludzkie, lubo na postaci człowieka wzorowane, lecz przyświecające mu jako ideały i *b)* rządzony przez nie świat idealny z lepszym i wyższym porządkiem rzeczy.

Polemika z innemi teoryami i definicyami religii — nie ma dla nas bezpośredniego znaczenia.

Wierzenia religijne nie zawsze idą ręka w rękę z moralnością. W mitach greckich, rzymskich, a także w wierzeniach ludów nowożytnych bogowie posiadają niekiedy rysy, ze stanowiska etyki naganne; są pijakami, unoszą się zawiścią, uciekają się do zdradzieckich wykrętów i t. p. Gdy jednak budzi się myśl o wzorach i ładzie wzorowym, religia natychmiast odbija je w sobie, co można

stwierdzić analizą kultów, byle nie zupełnie dzikich, zbyt niejasnych, by można było w nich oryentować się, i nie zanadto rozwiniętych, rdzennie przekształconych wpływem świadoméj filozofii. Umysł ludzki rychło dostrzega niebezpieczeństwo i niepożądaną konduitę bóstwa i składa ją na karb wymysłu oraz dopełniającéj fantazyi. A nadto dotwarza dla zbawiennego przeciwdziałania całe pokolenia nowych bożków i bogiń, jak Tyche, Dike, Nemezis i inne, będące wcieleniami abstrakcyi etycznych wyższego kroju.

Takie i tym podobne zmiany sprawiły, że z czasem postaci mitologiczne w części przestały być wzorami do naśladowania, umacniając się natomiast w godności piastunów prawa.

Wogóle stosunek mitów do moralności bywa dwojaki, stosownie do dwojakiego również ich rodowodu. Jedne powstały bowiem ze wspomnień świata rzeczywistego, z podań; inne stworzyło postrzeganie zjawisk natury.

W pierwszym szeregu góruje doniosłością etyczny kult przodków. Skłonność do otaczania zmarłych gloryą cnót idealnych, czyni ich zarazem wzorami do naśladowania. Pietyzm udziela się nawet żywym, ale bliskim grobu, a więc starcom. I oto brutalny utylitaryzm barbarzyńców, widzący w zniedołężniałych zawadę, przeistacza się w szlachetną cześć. Następnie nimb ów przechodzi i na wodzów, którzy go potęgują jeszcze trzymaniem się zdala od tłumu, i chociaż częstokroć nad miarę rozszerza władzę religii, ale, co ważniejsza, nieci zmysł obywatelski i karność społeczną, a popędy samolubne ukróca. Rozumiał to dobrze Konfucyusz, gdy nakazywał Chińczykom boską cześć dla przodków, i skąd inąd świetne osiągnął z niéj rezultaty. Ludom, pozbawionym wielkiéj tradycyi bohaterskiéj, antenatów zastępują bogowie domowi i rodowi; Rzymianom—lary, penaty i many, i te niemniéj umoralniająco oddziaływają.

W mitologii przyrodniczéj podziw i obawa są zarodkami przyszłych uczuć etycznych. Z biegiem czasu od zjawisk natury odłączają się ich nazwy i wnet fantazya uposaża je we wszelkie właściwości ludzkie, jeno siły nadludzkiéj. Powstają wówczas bogowie ujemni i dodatni, wschodu słońca i światła, zachodu i ciemności, deszczu upragnionego i posuchy. Zdawaćby się mogło, że równoległe istnienie potęg dobrych i złych szkodliwie wpływa na moralność — bynajmniéj: na tak przeciwstawnych pojęciach rozwija się tylko samowiedza etyczna.

Podobnie ukształtowane bóstwa wchodzą w bliższe zetknięcie z ludźmi, kosztują obficie rozkoszy ziemskich, płodząc z niewiastami potomstwo pół-boskiego rodu. Są to bohaterowie, którzy na-

dają mitom przyrodniczym cechę rzeczywistości, ocalają je przed krytycyzmem i ratują ich wpływ etyczny. Naodwrót też posiłkuje się nimi filozofia dla bardziéj poglądowego przedstawienia ideałów moralnych. Herkules np. błąka się jeszcze po pismach stoików, cyników i sofistów. Poezya ludowa szczególnie posługuje się mitologią bohaterską z wielką dla obyczajów korzyścią; forma to wzoru zrozumialsza, bo możliwa do osiągnięcia,—gdy bóstwa cechuje tajemniczość i wyniosłość.

Jednakże wzmagająca się refleksya podkopuje i tak zabezpieczone wierzenia. Cóż im pozostaje wówczas? Skupić się w charakterze rysów drugorzędnych i dodatkowych dokoła wielkich, dziejowych apostołów, którzy stwarzają religie nowe, nawskróś etyczne, jak chrystyanizm, mozaizm, buddyzm i islam. Osobistości autentyczne, potężne geniuszem i zasługami, zastępują tutaj dawnych bohaterów, lub w najgorszym razie przystosowują swe warunki do urobionéj na legendach i podaniach wyobraźni prostaczéj. Etyczna podniosłość reformatorów króluje wtedy niepodzielnie całemu społeczeństwu wiernych, jako ideał najszczytniejszy, wyrozumowany, przekonywający swą rzeczywistością i — monoteistyczny.

A oto, co zrządza drugi czynnik religii, idea moralnego ładu świata, którego stér dzierżą bogowie. Potrzeba wymiaru sprawiedliwości stwarza zazwyczaj wiarę w byt zagrobowy Pierwotnie bogowie ścigają samych przestępców i w życiu doczesném. Daléj obręb zemsty rozszerza się na ich rodaków, przyjaciół, potomków bliższych i dalszych, jak w wyrokach Jehowy lub losach Pelopidów; wreszcie zjawia się przeczucie bytu pośmiertnego a sprawiedliwość zapełnia go katuszami (Tantala, Syzyfa i ich towarzyszów niedoli w Erebie), lub rozkoszami (np. elizejskiemi, przepowiedzianemi Menelausowi).

Uogólniając się stopniowo, wszystkie te mniemania przechodzą w całkowity systemat kar i nagród. Powstaje złożona organizacya sprawiedliwości z wykonawcami i organami w rodzaju furyi. Jednocześnie pojęcie zapłaty oczyszcza się:

1. Bogowie liczą się z c a ł y m żywotem człowieka i wedle takiego obrachunku obierają dlań egzystencyę przyszłą.

2. Zajmują się wszystkimi narówni, a nie uprzywilejowanymi tylko.

3. Odkładają na bok własną dumę i kaprysy, zazdrość i uprzedzenia, sądząc z całą bezstronnością i to krzywdy nie swoje lecz ludzkie. Sama owa niechęć dla nadmiernego szczęścia niektórych staje się synonimem niechęci dla nierównego podziału doli i niedoli.

Na tym szczeblu umoralnienia, ściśle i skutecznie brata się religia z filozofią i wspólnemi siłami dokonywają reszty. Idea nieśmiertelności dzięki naukom Platona i Buddy pogłębiła się. Życie ziemskie zmalało w wadze, jako moment wobec wieczności. Ciało zeszło do roli podrzędnéj, w porównaniu z duszą, do któréj przenosi się punkt ciężkości. Ascetyzm pragnie posiąść niebo już nie tylko drogą czynów, ale umęczania powłoki doczesnéj i pobożnych myśli. I oto stajemy na gruncie etyki chrześciańskiéj, wychowanki platonizmu. Téj nie wystarcza już zasługa, jeśli jéj nie towarzyszy czystość sumienia a więc sankcya wewnętrzna, najwyższa, która niedaleką już jest od pogardy dla zemsty ludzkiéj i państwowéj, bo sama sobie stała się uświęceniem.

Wkrótce pogarda owa nadchodzi. Znika z postępowania wzgląd na następstwa praktyczne i cały system kar i nagród, słowem pojęcie zapłaty traci znaczenie, kraina zagrobowa przestaje być instytucyą sądową; to już tylko byt idealny, lepszy od naszego, szczęśliwszy o wiele, i bardziéj moralny. Niebo coraz szerzéj roztwiera swe wrota, najpierw tylko dla bezwarunkowo cnotliwych, późniéj i dla występnych, oczyszczonych w czyśccu chrześciańskim, lub w ciałach zwierząt, wedle wierzeń metempsychicznych. Już świta nadzieja odległego ale powszechnego przebaczenia i zbawienia. Dar łaski obiecuje być udziałem wszystkich. Nareszcie pierzchają resztki podkładu materyalnego a wówczas zgon równa się powrotowi do źródła wszechbytu, do idei absolutnéj Platona i indyjskiéj Vedanty.

Postęp odbywa się i inną jeszcze drogą. Z początku cała dziedzina prawa i moralności zabarwiona jest religią. U Greków, Rzymian, Hebrajczyków i Indusów wykonawcami sprawiedliwości są kapłani. Sekularyzacya nie daje na siebie czekać. Opiera się jéj potężny kościół; wynikają spory, rozstrzygane jednak na korzyść filozofii, i oto nastaje ponowne zlanie się wrogich sobie żywiołów, ale w niém religia wolną już jest od dawnych swych roszczeń, zrezygnowana na to, co i ze stanowiska świeckiéj etyki za moralne uważać należy. I nie ma zasadniczego prawdopodobieństwa w przypuszczeniu, że na wyższych szczeblach rozwoju etyka może obejść się bez podpory religijnéj—przynajmniéj dla umysłów wyższych.

Obyczaje, prawo i państwo.

Na ciężką byłaby narażona próbę cierpliwość czytelnika, gdyby mu chciano bodaj w skróceniu przedstawić tutaj poglądy Wund-

ta na powstawanie form pożycia społecznego, ich określenia i wzajemny stosunek. Za małą ma styczność z etyką rodowód nawyknienia, zwyczaju, obyczaju, mody, ażeby zasługiwał na bliższe uwzględnienia.

Lepiéj zaznaczyć odrazu ich doniosłość etyczną.

Obyczaje indywidualne, uwarunkowane elementarnemi potrzebami okrycia i odżywiania ciała, jakkolwiek samolubne, rychło dają pochop do wzajemnego zbliżenia jednostek. Gdy wspólność zdobyczy lub naczyń zmusza je do wspólnego też spożywania darów bożych, w biesiadnikach utrwala się przekonanie, że posiłek w towarzystwie jest o wiele smaczniejszy. Zacieśnia się węzeł uczuć i sympatyi,—umacnia solidarność plemienna i znajduje wyraz w uroczystościach przeróżnych, w których uczta odgrywa rolę pierwszorzędną, choć niekiedy także ujemną, a to ilekroć służy za pretekst obżarstwu i nadużyciom.

Silniéj jeszcze brata ludzi wspólny dach, czy to wzniesiony ich dłońmi, czy utworzony przez rozłożyste konary drzew. Ucieczkę przed żywiołami natury umysł łatwowierny kojarzy z opieką bóstw i wnet otacza ognisko domowe czcią religijną; buduje w schronieniach ołtarze i poszanowanie dla mieszkań podnosi do nietykalności.

Zbrodniarz, szukający bezpiecznego kąta u sąsiada, dostaje się tém samém pod skrzydła bogów i ręka karząca dosięgnąć go nie może. Późniéj przywiléj niepogwałcalności udziela się świątyniom—i oto żądza zemsty doraźnéj z musu opamiętywa się. Zasada: „oko za oko, ząb za ząb“ stopniowo przechodzi w prawidłowy, beznamiętny wymiar sprawiedliwości.

Nie bez wielkiego wpływu pozostaje forma odzieży. Bądź pomaga w szlachetnych zabiegach o łaskę bogów i sympatyę ludzi, bądź podznacza różnice stanowe, gdy one są potrzebne, a zaciera je, gdy wyższy stopień cywilizacyi wszelkie prawa wyrównywa. Oddaje cenne usługi idei państwowéj i religijnéj, bo wyróżnia władcę świeckiego i duchownego osobnemi insygniami.

Potężny czynnik życia społecznego wyrósł na gruncie owych potrzeb: praca. Suma jéj zwiększa się w miarę wzrostu wymagań a więc najbardziéj wówczas, gdy włóczęga koczowników ustępuje miejsca stanowi osiadłemu. Zwiększa się jéj wydajność, gdy z narodzinami ustroju klasowego nastaje i podział zatrudnień.

Ale to już—dziedzina obyczajów towarzyskich. Wycisnęły one pieczęć głęboką na pojęciach moralnych; potrzeba i zaofiarowanie usług dały początek umowie i zapłacie, a więc wykształciły poczucie wzajemności. Z biegiem czasu płacę w naturze zastąpiły oder-

wane postaci wynagrodzenia, kruszce drogocenne, i powołały do życia ważną ideę oszczędności. Jednocześnie podział pracy wypielęgnował mniemanie, że i umysłowa zasługuje na nagrodę. Ludziom profesyi liberalnych, uczonym, artystom, poetom, mężom stanu poczęto zwracać ponoszony przez nich nakład, a to znowu zrównało w godności wszystkie godziwe sposoby zarobkowania i rodzaje działalności. Utorował sobie drogę probierz pracy moralny; nie pytano, czém się kto trudni, lecz czy i o ile czyni zadosyć zobowiązaniu. Osiągnięto możliwą równość. Innéj żądać niepodobna. Różnice w osobistém uposażeniu i przypadki losowe będą po wsze czasy przeciwdziałać niwelacyi bezwarunkowéj.

Zrodzona z obrzędów religijnych zabawa nie mniéj szlachetne spełnia posłannictwo. Odzwierciedla ona życie ludzkie, biorąc zeń to, co jest najidealniejszego; odrywa człowieka od uciech poziomych, i przybrana w formę sztuki podnosi jego myśli ku dążeniom ogólno-ludzkim, apostołuje cnotę i braterstwo. Nawet w swém zaraniu, gdy służy tylko za rozrywkę dzieciom, przynosi korzyść moralną, bo zastępując pracę, któréj potrzeba jeszcze nie nadeszła, zaprawia do niéj ducha.

Godzi się napomknąć tutaj o formach obejścia. Nad mnóstwem zalet złożonego ceremoniału grzeczności towarzyskiéj, góruje jedna: chronią one osobistość ludzką przed wybrykami dumy, samolubstwa, nadmiernéj surowości, i w rozwoju idei moralnych udział brały znakomity.

Znacznie większa rola przypadła rodzinie i obyczajom przez nią stworzonym. Z chwilą, gdy religia zaczyna uświęcać związek małżeński, zyskuje on na powadze a z nim i płeć słabsza, dotąd poniewierana.

Wspólne przywiązanie do dziatwy i piecza o jéj dobro uświadamiają rodzicom obustronność obowiązków, a wkrótce potém i równość praw. Daléj zjawia się kult miłości dla starszych i przodków, mnożą ogniwa sympatyi, potęguje uczucie, bezinteresowność, słowem rozszerza się zakres popędów moralnych.

Jeszcze daléj pcha dzieło rozwoju byt państwowy. Nieodłączne jego czynniki: żądza sławy i odznaczenia się, pietyzm dla przywódców narodowych i miłość ojczyzny przygotowują grunt pod aspiracye najszlachetniejsze zbiorowego życia.

Olbrzymieje władza obyczaju, gdy przybiera kształt normy prawnéj. Ta odbywa ruch odśrodkowy, nakazany przez etykę; od stosunków prywatnych rozszerza się ku międzynarodowym. Rzym przekazał światu chrześciańskiemu prawo prywatne, nowsza oświa-

ta myśli poważnie o zbliżeniu wzajemném różnonarodowych ustaw oraz o sądzie, rozstrzygającym międzypaństwowe spory. Znamienny jest pochód prawa karnego. Niegdyś rolę jego odgrywała zemsta osobista poszkodowanych, późniéj żądza okupu, aż oto ster sprawiedliwości bierze w swe ręce państwo, z początku dla idei ładu i zapobieżenia samowoli, potém już dla idei moralności, całkiem niezależnie od utylitarnych następstw zbrodni.

Kontrola publiczna coraz bardziéj się rozgałęzia i ogarnia coraz nowe dziedziny życia: komunikacye, stosunki gospodarcze, wreszcie własne swe czynności wykonawcze. Państwo zdobywa tę nad zwyczajami, z których powstało, przewagę, że doniosłość prawa rozumié, świadomie je głosi i uprawia i poczucie słuszności bezustannie rozkrzewia.

Pod jego téż osłoną wykwita w końcu uczucie szérsze nad granice polityczne i plemienne: humanitarność. Grecy i Rzymianie poszczycić się tém nie mogli. Ich sympatya i życzliwość nie sięgały nigdy poza własną narodowość—dopiero w dobie późniejszéj bezwzględna srogość dla zwyciężonych zmiękła i stała się tém, co Wergiliusz opiewa:

Parcere subjectis et debellare superbos.

Gdy pozyskała wpływ filozofia, już tylko wielkie krzywdy odpłacano zemstą a drobnych zapominano.

Dwie potężne dźwignie miłości ogólno-ludzkiéj, przyjaźń, polegająca zawsze na wolnym wyborze, więc bezinteresowna,—i gościnność, równoznaczna z dawaniem schronienia u stóp domowego ołtarza, działały i w starożytności; nowsza era poparła je już nie przygodnemi objawami braterstwa, lecz jawnie apostołowanemi zasadami, jakkolwiek i tu jeszcze humanitarność jest względna i nie przekracza obrębu jednowierczego. Pozostał separatyzm wyznaniowy, stojący na przeszkodzie dalszemu rozrostowi uczuć szérszych; wszakże bliższe obcowanie z sobą ludów, uwarunkowane potrzebami ucywilizowanego życia, zaczyna kruszyć jego pęta, otwiera pole dobroczynności powszechnéj i różnym jéj praktykom: pieczy o chorych, względności dla rannych żołnierzy, zakładom filantropijnym, misyom religijnym, które pierwotnie rządzą się fanatyzmem, ale w dalszym ciągu z wyższych pobudek i za cenę ofiar i męczeństwa własnego propagują etykę chrześciańską.

Oto zasługi bytu społecznego w sprawie uświadomienia człowieczeństwu wyższych prawd etycznych.

Przydadzą się tu może dwa nawiasowe objaśnienia, bez których jedna z myśli przewodnich Wundta mogłaby zostać w ukryciu.

Postęp, we wszystkich owych kierunkach osiągnięty, nie był świadomie zamierzony. Wytwór to wrodzonéj ludziom tendencyi do doskonalenia się. Nie prędzéj, aż po wielu doświadczeniach, gdy korzyść moralna ustroju państwowego staje się niemal dotykalną, zaczyna ona wchodzić w jego rachubę, i jako motyw działalnością jego kierować. Ta to reguła rozwoju ma dla autora wagę szczególną, bo jest kluczem tajemnicy niezmiernego wpływu, jaki wywierają formy pożycia samorodcze, a więc ukształtowane bezwiednie.

Ale kluczem nie jedynym. Organizacyę bytu poprzedzało już przeczucie, acz nieme, idei wyższéj, w rozkazach bogów odgadywanéj. Gdyby nie ono, nie wiele sprawiłaby świadomość pożytku, płynącego z urządzeń społecznych, „jak z niczego nic powstać nie może“—tak z egoizmu nie może narodzić się poczucie wspólności i miłości.

Przyroda, kultura i filozofia.

Jeżeli na pierwszy rzut oka fantazyą się wydaje wiara w umoralniające działanie natury, a w najlepszym razie trudnym do pochwycenia i sformułowania wpływ jéj—to bliższe wejrzenie w stosunek człowieka do jéj zjawisk wszelkie wątpliwości rozprasza i wyróżnia dwa wielkiéj wagi etycznéj momenty. Walka z żywiołami, o ile rozwija wytrwałość i samopomoc—jest dla moralności czynnikiem dodatnim. Nadmierna zaś szczodrobliwość gleby i klimatu, jeśli tylko sprzyja lenistwu i zastojowi ujemnym i wprost szkodliwym. Stan myśliwski pielęgnuje wiele cnót: odwagę, hart, męstwo, koleżeńską rycerskość; koczowniczy—wytwarza rysy ujemne: przebiegłość i chciwość; rolniczy wreszcie—sprzyja niewolnictwu, które jednak jako stadyum przejściowe wydaje się konieczném dla dalszego rozwoju społeczeństwa.

To był moment oddziaływania warunków przyrodniczych. Drugim jest postrzeganie zjawisk, zaszczepiające w człowieku poczucie prawidłowości i porządku. Przenosi on obadwa z dziedziny kosmicznéj w sferę własnéj działalności i uważa za postulat nienaruszalny, nawet pod groźbą kary bogów, dopóki trzyma się wiara w nich. Lecz umysł badawczy rychło pozbawia naturę treści mitologicznéj i swojemu do niéj stosunkowi nadaje cechę raczéj estetyczną. Pierwotny, gruby panteizm, zaludniający ją istotami na obraz i podobieństwo człowieka, zamienia się stopniowo w obrazową symbolikę sił i zasad moralnych. Wówczas świadomość etyczna, kształcąc się na nich jako na wzorach i ideałach, wielkie osiąga

korzyści. W końcu podmuch wiedzy ścisłéj i te fantastyczne roje bóstw rozpędza, ziemię i niebo ogałaca nie tylko z bogów ale i odziera z uroku boskości. Między przyrodą a jéj królem wywiązuje się stosunek bardziéj poufały, sentymentalny. Wtóruje ona jego usposobieniu, z nim razem dzieli smutek i szczęście, albo téż nastraja go do pewnych uczuć wrażeniami wiosny i jesieni, dnia i nocy, pogody i deszczu. Pod osłoną tego przymierza wzrasta i wykwita miłość romantyczna a z nią poezya i sztuki piękne, których wpływ połączony na życie moralne zbyt jest widoczny i uznany, by zachodzić mogła potrzeba rozważania go.

Jakże różnorodnym i różnobarwnym jest wpływ kultury! Przynosi ona jak Danaowie dużo darów niebezpiecznych, ale i dobrodziejstw idei etycznéj nie szczędzi.

Więc naprzód kapitał. Wytwór ten późniejszéj epoki w dziejach handlu, dokonywa wielkiego przewrotu w życiu moralném. Podnosi on do znakomitéj godności ideę zarobku, odbierając spadkobraniu dawny monopol szacunku i czci. Pierwiastek rodowo-arystokratyczny słabnie. Ale niestety—zjawia się jednocześnie rozstrzelenie interesów, wzrasta egoizm kastowy, walka stanów, wyzysk, chorobliwe skąpstwo i cały poczet pokrewnych objawów.

Zastosowanie siły zwierzęcéj do posług gospodarczych uwolniło od jarzma klasę pracującą i z czasem wygładziło nieco różnice, dzielące posiadaczy od nędzarzów. Prócz tego dało ono pochop do wielu wynalazków, stworzyło technikę a następnie rozwinęło w technice pomysłowość. Cóż, kiedy owa korzyść ekonomiczna stała się z czasem winną wielu grzechów i krzywd społecznych. Inteligencya robotnika spadła do zera; osobistość jego przekształciła się w automat. Naprzeciw możnéj klasie przedsiębiorców znowu stanęła olbrzymia czerń głodomorów, żywo przypominając tradycyę niewolnictwa. I tylko nowe, wszechstronniejsze zbliżenie się ludzi położyć może kres powszechnéj niemal klęsce socyalnéj.

Para i elektryczność jeszcze większego przełomu są przyczyną. Połączywszy najodleglejsze krainy liniami kolei żelaznych, poczt i telegrafów, uniemożliwiły one tak częste niegdyś klęski głodowe, wyrównywując do pewnego stopnia położenie ekonomiczne ludów oświeconych; osłabiły zapędy wojownicze narodów, stworzyły mnóstwo ognisk cywilizacyi—ale jednocześnie wniosły w życie jednostek niebywałe dotąd roztargnienie, utrudniły skupienie działalności i woli około jednego celu, zwiększyły census siły moralnéj, potrzebnéj dla należytego wypełniania obowiązków obywatelskich; słowem, udogadniając życie, uczyniły je we względzie moralnym znacznie trudniejszém.

Jednakże niechaj nikt do czasów minionych nie wzdycha—bo nowe niebezpieczeństwa dają człowiekowi nowe cele i drogowskazy. Niech z otuchą patrzy w przyszłość i wierzy w błogie skutki ukształcenia duchowego. Ono zniesie wzajemne nierozumienie się ludów i grup społecznych, tę jedyną przyczynę wszelakich nienawiści. Ono ujednostajni uczucia, poglądy i upodobania powaśnionych i rozterkom odbierze główną podporę, — byleby jednak wszyscy mieli zapewniony możliwie jednaki udział w życiu duchowém. Chociaż więc pożałowania jest godną dążność do zupełnéj równości środków — prawdziwa utopia wobec naturalnéj pstrocizny uzdolnień — ze stanowiska aspiracyi moralnych zasługuje na pochwałę.

Tak tedy cywilizacya ma dwie strony. Z każdém nieledwie jéj dobrodziejstwem kojarzy się jakieś zło moralne. Wyszlachetnia ona probierz etyczny, ale udoskonala zarazem technikę zbrodni, potęguje wynalazczość w przestępcach. Podkopuje powagę religii, nie przystosowawszy zawczasu moralności ziemskiéj, i pogrąża tłumy w zepsuciu, właściwém wszystkim okresom przejściowym. Gwałci pożądaną jednolitość nastroju moralnego, cechującą wczesne fazy rozwoju, i czyni coraz natarczywszém pytanie: czy pół-dzikie życie na łonie matki-natury nie lepsze czasem od wysokiéj oświaty współczesnéj?

Odpowiedź może być tylko jedna: przecząca. Podawać za model jakąś określoną epokę lub kulturę—znaczy cofać się wstecz i popełniać ów gruby błąd, którego prorokami byli rozmiłowani w średniowieczczyźnie romantycy. Jeśli prawdą jest, że cywilizacya urabia wolę, a od woli zależy moralność, trzeba bez namysłu ukorzyć się przed wyższością czasów dzisiejszych.

Dotąd nie był szczególnie podkreślonym wpływ etyczny filozofii. Z peryodycznie czynionych wzmianek mógł jedynie czytelnik wywnioskować, że ilekroć jakiś czynnik zbiorowego życia w działaniu swém doprowadzony został do czasów najświeższych, przychodziły mu z pomocą systematy filozofii. One koronują zazwyczaj połączone uczestnictwo zwyczaju, religii, państwa i t. d. w pochodzie etycznym ludzkości. One odgrywają rolę potężną w cywilizacyi wyższéj, albowiem z pełną samowiedzą badają istotę dobra i zła; słuszna więc, by na tém miejscu godnie uczczonemi zostały. W dziele, nas zajmującém, dostało im się miejsce całkiém osobne i bardzo poczesne; skreślono tam ich historyę i podano zasadnicze tezy; porównano ze sobą i wreszcie poddano rozbiorowi krytycznemu. Niepodobna jednak iść śladem autora, zbyt wielomównego. Wystarczyć musi najogólniejszy rzut oka.

Dzieje etyki podzielił myśliciel niemiecki na trzy okresy. Klasyczny: Sokrates, Plato, Arystoteles, stoicy i epikurejczycy; chrześciański czyli religijny: św. Augustyn i scholastycy; wreszcie nowoczesny: Baco, Hobbes, Locke, Shaftesbury i etyka zdrowego rozsądku, Hartley, Hume, Ad. Smith, materyalizm francuski, Descartes i jego następcy, Spinoza, Leibniz, Wolff, Kant, Fichte, Hegel, Bentham i jego szkoła, Sidgwick, Mill, Spencer i t. d.

Ciekawszą jest klasyfikacya. Ale jaką przyjąć dla niéj podstawę? Wszelkie dociekanie etyczne obracać się musi dokoła trzech zagadnień podstawowych: pobudki (1) postępowania, celu i prawidła czyli normy. Ale, szczęściem, norma we wszystkich kierunkach brzmi prawie jednakowo, zawsze szlachetnością zabarwiona. Różnią się tylko tezy dwóch drugich problematów.

Podział szkół, oparty na idei pobudki, uprzytomni następujący szemat.

Jedni za pobudkę czynów moralnych uważają uczucie, jakiś głos wewnętrzny, samorzutnie prący do cnoty, i jego tylko radzić się każą — tych możnaby nazwać intuicyonistami.

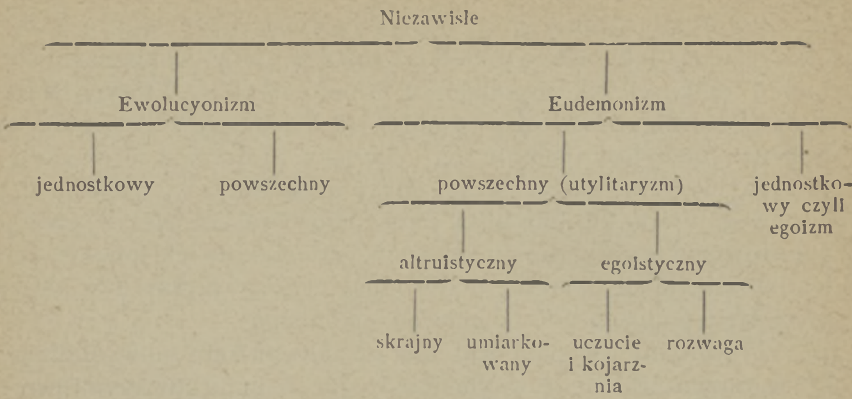
Drudzy wierzą w natchnienie bardziéj świadome, ale również wrodzone i nazywają je rozumem. Jest to władza wyższa, właściwa tylko człowiekowi i zdolna do potęgowania się z pomocą doświadczenia.

Inni wreszcie odrzucają hypotezę wskazówek objawionych lub metafizycznych, i jedyne źródło poznania dobrego i złego upatrują w chłodnéj rozwadze, w rozsądku i doświadczeniu, Łatwo dostrzeże każdy, że druga kategorya jest niejako połączeniem zasad obu sąsiednich.

Ważniejszym o wiele jest podział według celów, bo i cele praktycznie donioślejszym są czynnikiem niż motywy. Pomysły etyki rozpadną się wówczas na z a l e ż n e i n i e z a w i s ł e *(autoritative, autonome)*, stosownie do tego, czy cele podyktowane zostały człowiekowi przez własną jego naturę, czy narzucone z zewnątrz. W tym ostatnim wypadku etyka zyskuje charakter religijny lub polityczny i jako system reguł przymusowych, lecz zapożyczonych od moralności niezależnéj, na osobną uwagę nie zasługuje. Niezawisłe za to szeroko się rozgałęziają, i dla łatwiejszego uprzytomnienia ich działów i przedmiotów, nie odrzeczy może będzie ująć je w następującą tablicę:

---

(1) Wyrazów: p o b u d k a i m o t y w używać będziemy w jednem i tém samém znaczeniu.



Pośpieszamy objaśnić nazwy. Przez ewolucyonizm nie należy rozumiéć teoryi angielskich, opartych na naukach Darwina i Spencera, lecz dążenia do rozwoju moralnego dla saméj jego idei, przez eudemonizm zaś zasadę szczęśliwości, która nakazuje widzieć w postępowaniu moralném przyczynek do szczęścia jednostek lub ogółu, a za cel czynom pojedynczym stawia rozkosz, pożytek, słowem jakieś dobro realne.

Egoizmu w ścisłém znaczeniu wyrazu żadna szkoła nie broni. Etyka sobkostwa zupełnego znajduje przedstawicieli jedynie w życiu praktyczném.

Utylitaryzm zastanawia odrazu swém zróżnicowaniem, bo ma aż cztery odłamy. Egoistyczny obrał sobie siedlisko w naukach Hobbesa, Lockego, a poczęści Benthama i Milla ; lecz obadwaj nowsi jego rzecznicy wraz z Hartley'em, Smithem i Hume'em stykają się już blisko z drugim odłamem, który na miejscu trzeźwego obrachunku stawia uczucie i kojarzenie pojęć a tém samém oddaje należny hołd porywom wrodzonym sympatyi.

Wyżéj jeszcze stoi utylitaryzm altruistyczny, albowiem za cel bezpośredni podaje dobro nie jednostkowe lecz powszechne i nie wzywa na pomoc, jak tamten, wątpliwéj teoryi kojarzenia się w umyśle idei szczęścia własnego z ideą cudzego. A zaś na samym krańcu stoi system Schopenhauera, głoszący bezwzględne zaparcie się własnego szczęścia. Tylko ofiara zasługuje na miano cnoty, a obowiązków względem samego siebie niemasz wcale, albowiem *volenti non fit injuria*. Jeśli owo dobro osobiste—dopełnić wypada nam za Wundtem — ma oznaczać pełny żołądek, zasada to słuszna, ale podstawmy pod nie doskonalenie swojego „ja", apostołowane przez Leibnitza, Kanta, Fichtego lub Mill'a, a wnet okaże się jednostronną i nawet wprost śmieszną.

Po drugiéj stronie grupy pomysłów niezależnych stoi e w o l u c y o n i z m. Jednostkowy kiełkuje już u Greków, zwłaszcza u stoików i epikurejczyków a daléj u Arystotelesa, za którymi w czasach nowszych poszedł sławny autor „Monadologii.“ Rdzeniem systematu—idea doskonalenia się. Ale nawet i dla niéj surowym jest Wundt. Perfekcyonizm według niego może dotyczyć jedynie tego lub owego kierunku lub kilku naraz, może się równać rozwojowi umysłowemu, estetycznemu wreszcie, jakiemukolwiek innemu, a zatém utożsamia się z myślą przewodnią etyki pożytku, a w najlepszym razie podpada pod pojęcie eudemonizmu (?).

Przychylniéj wypadł sąd dla ewolucyonizmu powszechnego, którego rzecznikiem głównym jest Hegel, a umiarkowanymi przedstawicielami Schleiermacher i Krause. Tu hasłem — rozwój ducha absolutnego, obiektywny pochód dziejowy, odbywający się wprawdzie na narodach i jednostkach, ale od nich niezależny. „Wszystko tedy co jest, j e s t r o z u m n é m“, a stąd już niedaleko do godła: „wszystko co jest, j e s t m o r a l n é m.“ I oto wola jednostki sprowadza się do zera; usiłowania chwalebne czy naganne, ale pojedyńcze, w niczém na tok dziejów nie wpływają.

Jakże wobec tego ubezwłasnowolnienia człowieka, uświęcenia jego bierności i niedołęstwa etycznego zachowuje się profesor lipski. Odpowiedź, którą za chwilę usłyszy czytelnik, jest dla charakterystyki Wundta niezmiernie ważna. Rozpocznie ona szereg uwag krytycznych nad innymi, najpotężniejszymi dzisiaj systematami etyki, a uwagi te już zawczasu pozwolą odgadnąć, czego filozof nasz nie uznaje, czemu jest przeciwny; innemi słowy, złożą się poniekąd na negacyjne określenie jego własnego poglądu i za najlepszy posłużą wstęp do definicyi pozytywnéj, do wykładu saméj teoryi.

Owóż hegelianizm nie został bynajmniéj skarconym, owszem wyniesionym na czoło filozofii praktycznéj nowszych epok. A to dlatego właśnie, że wspiera się na duchu bezwzględnym, jednoznacznym prawie z duchem całéj ludzkości. A tylko wola zbiorowa w stanie jest dokonać czegoś, tylko jéj rozkazy natchnąć mogą prawdziwém bohaterstwem, ona wreszcie tylko, nie zaś wola indywidualna jednostek, ma jakąś dla społeczeństwa doniosłość.

W całkiém odmienném świetle przedstawiony został altruizm umiarkowany, czyli odcień utylitaryzmu, używający dzisiaj największéj popularności. Sprzęga on wprawdzie harmonijnie szczęście powszechne z dobrem indywidualném, ale pomimo to dostały mu się najdotkliwsze ciosy krytyki. Grzészy jakoby tém, że dogadza przeciętnemu probierzowi moralności, lecz zgoła nie zaspakaja wyższych pragnień. Pogrobowcy Bacona zapomnieli snać o jednéj z naj-

cenniejszych jego wskazówek: że należy unikać prawd schlebiających skromnym ideałom tłumów (1). Twierdzi Wundt, iż nie pojmuje, jakim sposobem idea szczęścia powszechnego może zapalać ludzi do wyższych poświęceń i ofiar. Głosiciele zasady pożytku przez „jaknajwiększą pomyślność jaknajwiększéj liczby bliźnich" rozumieją poprostu sumę dobrobytów jednostkowych, lecz ta nigdy nie będzie dla człowieka pospolitego bodźcem do prawdziwéj szlachetności, bo mając do wyboru własne dobro, albo dobro jakiéjkolwiek innéj jaźni — bardzo naturalnie przełoży swoje. Eudemonizm-to czysto atomistyczny. A skoro w zasadzie wszystkie atomy, czyli wszystkie jednostki, jednakie mają prawa do szczęścia—dlaczegóżby własne ja nie miało wyjść z walki zwycięsko? A gdyby nawet stało się inaczéj, ogół szczęścia nie wzrośnie, „tak samo jak twierdzenie matematyczne nie zyska na prawdziwości, choćby je niezliczoną ilość razy powtarzano." Dwie istoty z całkiem identycznemi właściwościami stanowią tylko jednę (?!). Wprawdzie etyka rozwojowa usiłuje dowieść, iż z czasem ludzkość drogą dziedziczenia nabytych i wyrobionych cnót będzie się już rodzić z gotowém poczuciem moralném, ale hypoteza to gołosłowna i niemal niedorzeczna, fantazyjna, jak opowieści Juliusza Verne'go, i co najciekawsza, wskrzesza ona obaloną przez sensualizm wiarę w „idee wrodzone", jeno na gruncie materyalistycznym. Prawda téż, że owo pojęcie rozkoszy, użyteczności coraz bardziéj się rozszerza i ogarnia pierwiastki podnioślejsze, jak doskonałość duchową, życie umysłowe i estetyczne, ale jednocześnie zagraża całéj doktrynie błędném kołem, czyniąc ją uległą zasadzie: moralném jest co sprzyja rozszerzeniu moralności.

Psychologiczny podkład teoryi.

Długie i złożone dzieje rozwoju etycznego, pospołu z przeglądem mniemań filozoficznych, złożyły się na część pracy empiryczną; były to d a n e etyki, z których całkowitego o niéj pojęcia wysnuć nie można, ale które dają, jeśli się tak wyrazić można, przedsmak jéj rdzenia i myśli przewodniéj. Zarysuje się ona wyraziściéj i pełniéj, gdy wejrzymy głębiéj w prawa psychologiczne, rządzące owym, wyżéj streszczonym pochodem historycznym. Odnośną część swego wielkiego dzieła sam Wundt odgradza linią demarkacyjną od badań przygotowawczych, faktycznych i zalicza do właściwéj teoryi.

---

(1) *Idolum fori* (przyp. aut.).

Jednym z zadań przedwstępnych jest zewnętrzne scharakteryzowanie przedmiotu. A więc wypada uchwycić i cechy formalne moralności.

Pierwszą jest przeciwstawność pojęć dobrego i złego.

Drugą ich trwałość.

Trzecią, już bardziéj wewnętrzną, jest fakt, że moralność zasadza się na pewnych pierwiastkach duchowych, tak zwanych popędach, które podzielić można na dwa rodzaje: cześć połączoną z uczuciem bojaźni,—oraz sympatyę. Tamta dytyczy jestestw nadprzyrodzonych i warunkuje poczucie religijne, ta daje początek życiu społecznemu; a na łasce kombinacyi obudwu zostaje cały znany już rozwój moralny, który jest ich wyrazem plastycznym, ich upostaciowaniem.

Oto jedyne cechy ogólne, wspólne całéj dziedzinie moralności. Nastręcza się pytanie, czy nie ma ona również powszechnych znamion istotnych, czy nie jest czasem sama jedyną, zawsze i wszędzie identyczną: wówczas bowiem łatwo można byłoby do jéj istoty dotrzéć i odrazu postawić formułę dobrego i złego?

Tyle już razy powoływane dzieje dowodzą, że nie, — jest ona zmienną, ruchomą jak rzeka, i przedstawia się umysłowi w ciągłym biegu ewolucyjnym, w bezustanném doskonaleniu się.

Więc może ostateczny kres tego rozwoju będzie ostatecznie skrystalizowaną odpowiedzią na pytanie, co to jest moralność? Byłby nią niewątpliwie, ale czyż można twierdzić napewno, że kiedykolwiek lub gdziekolwiek kres ów osiągnięty został? Stanęliśmy tedy przed naczelném, najważniejszém zagadnieniem etyki, po którego rozwiązanie Wundt każe zwrócić się do następujących prawd ewolucyi i psychologii.

Przedewszystkiém ewolucya przebywa wszędzie jedne i te same okresy: brutalnego samolubstwa, różnicowania popędów na egoistyczne i altruistyczne pod wpływem religii, i w końcu humanizmu, wyhodowanego przez filozofię z pomocą wyższych wierzeń religijnych. Powtóre odbywa się w niéj inorództwo celów *(Heterogonie der Zwecke)*. Zjawisko, oznaczone tą obcą dla wielu uszów nazwą, polega na tém, że następstwa czynów zawsze mniéj lub więcéj przewyższają pierwotne pobudki. A że człowiek w postępowaniu swém zwykł opierać się na nabytém doświadczeniu, przeto dla dalszych czynów jego powstają nowe, owe właśnie większe, bardziéj złożone pobudki. Lecz te dają znowu rozleglejsze od zamierzonych rezultaty i tym sposobem dokonywa się ustawiczny postęp, którego wyników ostatecznych przewidziéć niepodobna.

Prawo inorództwa jest niesłychanie ważne. Dźwiga ono na sobie całą różnicę pomiędzy doktryną Wundta a większością albo raczéj ogółem systemów etycznych. Zapowiada ono z góry, iż nie należy i nie można określać ostatecznych celów moralności i szukać ich w obrębie znajomych pożądań i nadziei; albowiem to, do czego teraz świadomie się dąży, pobudki któremi teraz rządzi się postępowanie, wywołać muszą nowe jakieś następstwa, a te, zbogaciwszy świadomość, stworzą nowe aspiracye, jeszcze mniéj przeczuwane, i tak daléj do nieskończoności. Innemi słowy, pojęcia wypadkowéj i pobudki wzajem nie pokrywają się, pierwsza zawsze wybiega naprzód, wiecznie ścigana ale nie dościgniona przez drugą.

Ze stanowiska psychologii zdumiewający ten proces można jeszcze inaczéj określić: motyw, który przy danym czynie jest tylko uczuciem, popędem bezwiednym, w przyszłości przechodzi w wyobrażenie osiągniętego celu i staje się motywem celowym, uświadomionym. Gdyby było inaczéj, człowiek nie byłby zdolny do wyboru i rozumnéj, świadoméj działalności. Ale potężny rozrost ducha ludzkiego z niepokaźnych zaczątków świadczy wymownie, iż prawo takie istnieje i jest wszelakiego postępu dźwignią. Ono téż zarazem obnaża słabość teoryi, które wytykają cel określony, zapominając, że to, co dziś służy za drogowskaz, jutro może nim być przestanie—a wszystkie odłamy eudemonizmu ten sam popełniają grzéch.

Szkoda wielka, że filozof niemiecki swojéj heterogonii na jednym nawet nie objaśnił przykładzie. Ażeby czytelnik mógł ją poglądowo sprawdzić, wypada brak ten w cząsteczce bodaj zapełnić—a do tego niechaj posłuży ewolucyjne znaczenie odzieży. Twórcą jéj była naturalna potrzeba; instynkt samochowawczy zmuszał np. dzikiego Teutona okrywać się skórami zwierząt. Gdy pod wpływem różnic majątkowych i podziału pracy zróżnicowały się i formy odzieży, człowiek zwrócił uwagę na logikę owych symbolów i począł je w dalszym ciągu stosować z wiedzą. Idea państwowa poszła jeszcze daléj i wciągnęła je wprost do swych rachub moralizacyjnych.

Tak samo działo się i z formami powitania, pożegnania i różnorodnych życzeń. Z naśladowczych resztek dawnych obrzędów awansowały stopniowo na świadomy obyczaj. Dostrzeżono bowiem ich działanie uszlachetniające, zaczęto domagać się ich od życia towarzyskiego i dzisiaj, o ile nie wyradzają się w przesadę, znakomite oddają usługi idei etycznéj.

Ale czas zakończyć z prawem inorództwa, bo oto czeka na wyłuszczenie drugi, nie mniejszéj wagi moment psychologiczny—w o l a z b i o r o w a.

Prowadzi do niéj długi szereg rozumowań subtelnych, zawiłych, obficie okraszonych metafizyką. Położono tam silny nacisk na procesy woli, objaśniono stosunek jéj do ogólnéj świadomości i wykazano bezzasadność upatrywania w obojgu jakichś substancyi realnych. W téj sieci wywodów najważniejszym jest pewnik, że wola indywidualna jest to jeden z pojawów świadomości, jedno z ogniw łańcucha procesów, pospolicie nazywanego duchem. Wskutek tego dzieli ona wszystkie losy świadomości, wraz z nią słabnie, kształci się i potężnieje, z nią téż nierozerwalnie zczepiona tworzy poczucie jaźni, osobowości.

Wypływa stąd wniosek wielkiéj doniosłości; ponieważ jaźń tworzy się i zostaje pod wpływem dwojakim: warunków zewnętrznych i innych podobnych jaźni, przeto i wola tego samego działania doświadcza. Jest ona stale cząstką woli zbiorowéj i jéj rozkazów słucha. Filozofia prawdę tę uznaje od bardzo dawna, od czasów bowiem Platona i Arystotelesa, którzy, jak wszyscy wogóle Grecy, mieli lepsze poczucie zbiorowości. Oświata najnowsza przyćmiła ją. Ideały liberalizmu i dążności emancypacyjne wysunęły na wiérzch jednostkę, niezależność, godność własną. Kiełki ich można odnaleść już u Locke'a i Spinozy. Racyonalizm zeszłego stulecia nabroił w tym względzie nie mało; taka np. „Umowa społeczna“ Rousseau'a posuwa indywidualizm do krańców. Złorzeczyć im nie można; ażeby módz stworzyć doskonalszą duszę społeczną, trzeba było podnieść i uszlachetnić jéj cząstki—jednostki. Wszakże nauka silnie odczuwa ujemne strony tego prądu. Narodziło się mnóstwo fikcyi o umownem powstawaniu społeczeństwa, religii, języka, zwyczajów; zaczęto je przypisywać autorstwu pojedyńczych ludzi, świadomie porzucających stan odosobnienia, jak gdyby taki istniał kiedykolwiek,—a prześlepiono bijący w oczy fakt, że człowiek dziecko z czasem dopiero wyodrębnia swoje „ja“ z otoczenia, a dojrzalszy, zléwa się z niém napowrót. Wszystkie myśli nasze, uczucia, poglądy i wyobrażenia, czyny, wrażenia i zamiary o ile są wytworem własnego naszego ustroju, o tyle téż urobiły się pod wpływem otaczającéj nas sfery. Tym sposobem i uczucia sympatyczne należą do objawów, wszczepionych nam przez społeczeństwo, i żadną miarą nie dadzą się sprowadzić do egoizmu, lecz są, co najmniéj, również wczesne i pierwotne jak on.

Wina ignorowania przez naukę tego namacalnego niemal faktu spada w części—na dualizm filozoficzny. Kartezyanizm, uczy-

niwszy z duszy byt odrębny, już tém samém wyosobnił go i innym bytom podobnym, jako samoistną jedność przeciwstawił. A przecież jest to grube złudzenie. Pojawy ducha są tylko pojawami pracy wewnętrznéj. I jeśli tylko nie zechcemy oddzielać ich od świadomości i jednoczyć w jakąś sztuczną syntezę realną, w jakieś zamknięte w sobie byty, to z łatwością uda się połączyć je z takimiż pojawami, zachodzącymi u innych jednostek. Cała naturalna łączność gwałtem izolowanych jaźni zjawi się jak na dłoni. Wielki w téj mierze krok naprzód uczynił panteizm Spinozy. Leibniz swą teoryą harmonii powszechnéj zdziałał jeszcze więcéj, ale zarazem osłabił reformę przez rozdrobnienie wszechbytu na monady. Dopiero na współczesne zarysy „Psychologii ludów“ spadł obowiązek naprawienia błędów przeszłości i wyświetlenia jako tako istoty ducha zbiorowego.

Takiéj to opacznéj psychologii skutkiem jest atomizm etyczny. Szczęściem, jeśli symptomata nie mylą, odbywa się już przełom, mogący uniwersalizmowi przywrócić wyższość nad indywidualizmem.

Tak tedy stosunek świadomości i woli pojedyńczéj do zbiorowéj przybiera postać następującéj formuły. Pierwsza wyłania się z drugiéj, wzięte od niéj pierwiastki przerabia i przetrawia, ażeby je oddać potém społeczeństwu i z nim w całość zespolić się. Lecz i owa praca jednostkowa nie powinna być lekceważoną. Niekiedy wznosi się ona nad szare tło tradycyi i naśladownictwa i błyska geniuszem a wówczas wskazuje ludzkości nowe tory.

Ostatecznie więc wola powszechna jest dla Wundta istotną i rzeczywistą nie mniéj od osobowéj; świadomość ogólna—nie mniéj realną od indywidualnéj.

Teraz dokładniéj jeszcze pojąć można, dlaczego eudemonizmowi dostały się takie cięgi. Opiera się on na szczęśliwości osobistéj, bo że naprzeciw jednostki stawia roszczenia całego ogółu—to w niczém rzeczy nie zmienia; ogół ten będzie zawsze s u m ą dobrobytów p o j e d y ń c z y c h. A tymczasem nad jednostkę przekładać należy, mniema profesor lipski—nie inne znowu jednostki, ale wyższą, odrębną zupełnie, samoistną wolę i świadomość wspólną, któréj przeto dążności, ideały i wymagania inaczéj winny się kształtować.

Jeżeli przeznaczeniem nauki o woli zbiorowéj jest wykazać wszystkim, na indywidualizmie opartym szkołom, że na kruchéj spoczywają podstawie, tedy takie same zamiary nieprzyjazne żywi trzecia część podkładu psychologicznego względem intuicyonistów, czyli etyków, wierzących w nieomylność głosu wewnętrznego.

Ponieważ autor nie podziela bynajmniéj owéj ufności, owszem stanowczo odrzuca wszelką wiarę w samorzutność prawideł moralnych, niepoprzedzoną jakimś złożonym procesem duchowym, przeto dla nadania powagi swemu protestowi zmuszony był cofnąć się aż do samego jądra sprawy wolności woli. Twierdzić, że na dnie duszy drzémie zawsze instynkt, który wobec rozdroża wskaże zawsze sam przez się, sposobem zesłanego z góry natchnienia—właściwy gościniec, jest to przyznawać nieograniczoną swobodę woli, przypisywać jéj możność zwracania się w dowolnym kierunku bez dostatecznéj w każdym pojedyńczym wypadku przyczyny.

Lecz takich olbrzymich, ba, nieokreślonych nawet atrybucyi Wundt—jak przyznaje—zgoła nie rozumié. Zasada *spiritus flat ubi vult* jest czemś niepojętém dla każdego, kto zamiast obałamucać się brzękiem frazesów, woli je rozbierać i istotnego ich znaczenia dochodzić. Jakto być może, żeby wola ludzka bez odpowiednich pobudek wewnętrznych lub zewnętrznych, słowem bez tego, co język śmiertelnych nazywa przyczyną, zdobywać się mogła na takie a takie postanowienie? Jeżeli podobne cuda zdarzają się, to dowodzą nie wolności, ale raczéj i tylko zupełnéj niewoli! Są to chorobliwe kaprysy dziecka, halucynacye opanowanego gorączką mózgu lub zachcianki waryata—ale nigdy wytwory normalnie funkcyonującego i dojrzałego organizmu. To, co wskutek odwiecznego a dziwnego jakiegoś nieporozumienia uważane bywa za wolność woli, jest rzeczywiście ostatecznóm jéj niewolnictwem, albowiem rzuca ją na pastwę najsłabszych bodźców chwili, czyni ją prawdziwą igraszką nerwowego paroksyzmu i odbiera jéj wszelkę odporność wewnętrzną, wszelką moc wyboru lub namysłu,—a jedynie te czynniki warunkują rzetelną, nie urojoną swobodę woli.

Jednak nie idzie wcale zatém, ażeby słuszność była po stronie determinizmu. I ten pozostaje w grubym błędzie, albowiem przyczynowość woli wyobraża sobie bardzo pierwotnie, bardzo brutalnie; utrzymuje, iż postulat przyczynowości, nie znoszący wyjątków, w odniesieniu do ducha oznacza zależność stanów psychicznych od zjawisk świata zewnętrznego, ale popełnia w tém naiwném rozumowaniu wielką niedorzeczność metafizyczną; albowiem oddziela widownię procesów wewnętrznych od zewnętrznych, podczas gdy ta ostatnia, czyli tak zwany świat zmysłów, nie jest niczém innėm jak usystematyzowaném zbiorowiskiem wyobrażeń, uczuć, wrażeń a zatém wytworów wyłącznych naszego j a. Przedmioty, wrzekomo po za świadomością znajdujące się, są jéj właśnie dziełem, jeno mocą objektywizacyi czyli właściwości umieszczania na zewnątrz duszy, stały się jakoby samoistnymi bytami. Gdyby było inaczéj, przyczyno-

wość równała by się działaniu bodźców materyalnych na nie-materyalną duszę, lub też i na odwrót, co jednakże stanowi wyraźny absurd.—Absurdu tego bronią determiniści.

Jakże więc w końcu rozumiéć należy przyczynowość? Jako oddziaływanie procesów duchowych na duchowe. Z tego powszechnego prawa wyłoniło się wprawdzie inne—prawo przyczynowości mechanicznéj, tłómaczącéj tak zwane zjawiska przyrody, włączając w nią i nasze własne podścielisko materyalne, i z biegiem czasu wyosobniło się jakoby coś odrębnego, ale nie trzeba nigdy spuszczać z uwagi, że to tylko część owego prawidła powszechnego. Ma z niém wspólną główną cechę determinizacyi: nieskończoność wsteczną i nieskończoność następczą. Przed zjawiskiem ciągnie się bezkresowy łańcuch antecedensów, po niém zaś takiż sam szereg następstw. Atoli ta zachodzi ważna różnica między przyczynowością duchową a mechaniczną, że druga dotycząc bytów „zewnętrznych“, czyli przytwierdzonych przez umysł do pewnych stałych substratów, daje prawdopodobieństwo obliczania, przewidywania i przepowiadania—na pewną przynajmniéj metę—skutków; pierwsza zaś czyni je trudném i prawie niemożliwém. Duchowi właściwą jest wciąż rosnąca energia i ta staje na przeszkodzie wszelkim takim rachubom.

Wypada więc z wywodów Wundta, że determinizm w pospolitém, utartém u przyrodników znaczeniu, samego siebie nie rozumié dobrze, ale bądź co bądź dla etyki jest nabytkiem cennym. W istocie dla sprawy moralności wszelkie obrony indeterminizmu są wielce niebezpieczne. Wymyślony on został przez scholastykę kościelną w tym celu, ażeby świadomości zaprzeczyć wszelkiego udziału w aktach woli moralnéj, tę ostatnią oprzéć jedynie na posłuszeństwie jakimś absolutnym rozkazom; a że rozkazami były dogmaty etyczne papieża, więc tém samém nadać im cechę boskości i uczynić zdolnemi do popełniania rozmaitych nadużyć w rodzaju np. sprzedaży indulgencyi. Wogóle bezprzyczynowość woli jest wynalazkiem fatalnym, pociąga bowiem za sobą niepoczytalność.

Nawet umysły wyższe nad wszelką sofistykę utylitarną, dały się porwać temu szkodliwemu prądowi—dowodem wielki Kant. I on nie zrozumiał istoty determinizmu duchowego, jakby należało. I on gotów był widziéć w niéj powszednią przyczynowość mechaniczną. Ale się uląkł jéj. Przeczuł, że woli ludzkiéj niepodobna stawiać w jednym rzędzie z procesami fizycznymi lub chemicznymi, że one są bardziéj nieujęte i nieobliczalne, więc wolał zrobić przedział między światem wewnętrznym i zewnętrznym, i charakterowi

przyznać niezawisłość, zamiast motywów obdarzyć go intuicyą. Cóżkolwiekbądź, lepszą jest wiara w wyższy rozum człowieka *(Vernunft)*, niż w mądrość pierwszego lepszego, narzuconego z góry przykazania. Ta bowiem równa się jakiemuś hekastoteizmowi, najgłupszéj w świecie religii, w któréj każda przemoc uważa się za Boga.

Wspomniało się o charakterze. Zgodnie ze zmienionym poglądem na ideę przyczyny, wypada upatrywać w nim nie jakiegoś autonomicznego działacza, lecz ogół czynników duchowych i cielesnych, jednostkowych, rodzinnych i plemiennych, słowem, całokształt przyczyn, nadających taką lub inną postać etyczną czynom człowieka. Jest to zatém nie jakiś motor pierwotny i o wszystkiém decydujący, ale raczéj suma następstw, uwarunkowanych całą przyczynowością duszy. Przyczynowość ta jest natury przedewszystkiém społecznéj lub téż ogólno-ludzkiéj. Jednostka nie tyle indywidualizuje się, ile socyalizuje, t. j. sprzęga coraz nierozerwalniéj z ciałem zbiorowém; wola coraz pełniéj staje się wyrazem woli powszechnéj, słowem, staje do niéj w stosunku, który nieco wyżéj został sformułowany.

Wobec wyłuszczonych faktów psychologii zbyteczna prawie zatrzymywać się na czwartéj i ostatniéj jéj wskazówce, na nauce o sumieniu. Każdy chyba zawczasu odgadł, że pospolity ten proces ducha pozbawia Wundt znaczenia wyrokującéj jakiéjś potęgi, jakiegoś podszeptu mistycznego, podobnego do intuicyi. Sumienie nie jest niczém różném od zwykłych stanów psychicznych, ale jednym z nich, wyobrażeniem skutku, jaki dany postępek sprawi, pobudką, pokonywającą inne; uczuciem spodziewanéj lub osiągniętéj radości, albo téż niezadowolenia i bólu, wreszcie sądem, rozwagą, ale w żadnym razie odrębną władzą. Tylko synteza logiczna, zbierając wszystkie te pojawy w poczucie jednéj jaźni, taką aureolą je otoczyła.

I tutaj do nieporozumienia przyłożyła rękę filozofia. Mędrzec królewiecki stworzył teoryę kategorycznego imperatywu, skrystalizował sumienie w cóś stałego i niewzruszonego. Niestety — jakże srodze kłamią temu przypuszczeniu dzieje obyczajowości! Był czas kiedy „głosem sumienia” było korsarstwo, a są ludy, które słuchają kategorycznego rozkazu zjadania swych bliźnich. Żadne poczucie dobrego i złego nie może być skamieniałością; ale płynąć musi razem z biegiem myśli, z rozwojem, który się ustawicznie w łonie ludzkości odbywa; nie może być bezwarunkowém, ale zostaje na łasce ciągłego przetwarzania się skąd inąd zupełnie zaczerpniętych praw moralnych.

Istnieją co prawda imperatywy, ale należy je całkiém inaczéj pojmować. Stanowią one właśnie ową cechę znamienną, którą prawidła etyki dzielą z prawami logiki—obowiązkowość, pewien przymus, wywierany na nasze „ja.“ Lecz pochodzenie ich w dziedzinie etyki nie jest ani tak tajemniczém, jak mniema Kant, ani tak jednorodném, a wartość nie tak bezwzględną. Źródłem ich może być przymus zewnętrzny, albo rozwinięta wysoce samowiedza, owa prawdziwa wolność woli. Pierwszy daje początek moralności dosyć pierwotnéj, urzędowéj, negatywnéj, co to polega na stosowaniu się do wymagań prawa i obyczajów; ci, co jéj hołdują, nazywani są pospolicie ludźmi porządnymi, cieszą się „dobrą opinią.“ Druga powoduje moralność o wiele wyższą, więcéj wyrobioną odporność na pokusy. Kto pod jéj wpływem działa, w sobie samym, a nie w zachęcie, przykładzie lub rozkazie znajduje sankcyę swego postępowania. Bywa zdolnym do poświęceń i szerszéj dobroczynności, szukając nagrody jedynie w poczuciu wewnętrznego zadowolenia. Najwyższym wreszcie z imperatywów wolności jest świadome siebie wyobrażenie ideału etycznego ludzkości. Nie wielu umysłów bywa ono udziałem, lecz gdy raz stanie się komu dostępném, podnosi go wysoko nad równię powszedniéj moralności, daje mu hart ducha niezłomny, charakterowi użycza piętna szczytnéj szlachetności. Téj uprzywilejowanéj sfery przedstawiciele wybiegają myślą po za szranki chwili bieżącéj, ogarniają przeszłość i przyszłość jedném pożądaniem etycznego doskonalenia się ludzkości, i wpośród mgły zwątpienia i walk służą jéj częstokroć za pochodnie, na podobieństwo latartni morskiéj, która w pomroce nocnéj wskazuje żeglarzowi drogę.

Rzecz prosta, że tylko na poziomie takiéj samowiedzy można rozumiéć ostatecznie cele i aspiracye człowieczeństwa, można tworzyć formuły etyczne i drogowskazy moralne budować.

(D. n.) *Napoleon Hirszband.*

ODA M. K. SARBIEWSKIEGO

(Ks. IV, 4)

PRZEŁOŻONA Z ZASTOSOWANIEM MIARY ALCEJSKIEJ ORYGINAŁU.

Galezus, rolnik dacki, opiewa sławne zwycięstwo Polaków nad Osmanem pod Chocimem, odniesione 2 września 1621 r.

Galezus, możny Istru (1) żyznego stron
Mieszkaniec, kiedy dackie (2) pod przyszły plon
Uprawia pola swemi pługi,
Tarcz i szyszaków tam szereg długi

I kości wielkich stós wyorywa tuż.
A kiedy słońce w wieczór zachodzi już,
Zmęczony siadł i wyprzężone
Wołki śpiew słyszą, jakiego one

Nie zwykły słyszéć: skubcie, dopóki czas,
Dopóki pokój pewny otacza was,
Te łęgi skubcie zapomniane
Wedle zasługi, o wy kochane!

Bo chociaż dzisiaj polska zwycięska dłoń
Złożyła kopiją, jednak jéj czujna broń
I groźna! — Bo téż o Polaku
Jakiż ślad klęski na całym szlaku

---

(1) Ister, dolna część Dunaju. (*Objaśnienie tłómacza, zarówno jak wszystkie poniższe*).

(2) Dacya, kraina nad Dunajem, na wschód od Cissy (Siedmiogród, Multany, Wołoszczyzna i Bukowina).

Mołdawskim tu z Bistonem (1) zostawił Trak!
Porażki strasznéj jakiż rozległy znak!
Tarcz getskich (2) moc te kryją wzgórza,
Broni bez drzewca w nich moc się nurza.

Tu była droga bitnych sarmackich sił —
Pamiętam, bom u Turka w jassyrze był
Chłopięciem — tu Konkanów (3) roty
W stali błyszczały i zbroi złotéj.

Ha! cóż za walki wtedy widziałem czas,
Gdy w polu dackich dzid się zaroił las,
Gdy Marsa obustronne starcie
Strasznie zawrzało tu i uparcie.

Skrzydlatych potok kul, co, jak burza, grzmiał,
Przystaje nieco, a gdy z bronzowych dział
Już gęsty z strony téj i owéj
Ogniów wyczerpał się grzmot prochowy,

Natenczas hufiec z hufcem, a z mężem mąż
Zwierają się, — z rąk, z nóg się uplata wąż,
Naprzeciw strzały strzała warczy,
Tarcza odbija się zaś od tarczy.

Polowych gradem tak nie zasypie smug
Śnieżysty Arctus (4); w Alpach nie taki huk
W on czas, gdy z białym pniem jesiony
Auster (5) strzaskawszy, pcha z gór szalony,

Jak wielki z jednéj strony i z drugiéj trzask,
Spiżowym rozlan deszczem powiększa wrzask,
Gdy zapalczywość, męstwo, żwawy
Gniéw pada gęsto dla wiecznéj sławy.

Los bitwy z wolna wojny przechyla bóg;
Więc stoi Bess (6), tłumami liczniejszy wróg,
Naprzeciw Polak, który budzi
Strach, choć mniéj liczny ma zastęp ludzi.

---

(1) Bistony, około Abdery, pobratymcy Traków.

(2) Getowie, pobratymcy Daków, na południu Istru, późniéj za niego przerzuceni przez Macedończyków.

(3) Pochodzili od Massagetów; tutaj może Tatarzy.

(4) Arctus—Niedźwiedzica, konstelacya północna.

(5) Wiatr z południowo-wschodu często z wielką siłą wiejący.

(6) Bessowie, szczep traccki od gór Hemus do morza Czarnego.

Lecz cóż Cydony (1), cóż i tchórzliwy Dah (2),
Cóż Konkan, co go zmusza uciekać strach,
Cilików (3), Serów (4) tłum nie mały,
Part (5), co w ucieczce na koniu śmiały,

Cóż zdziała przeciw prących Sarmaty sił,
Gdy spada na nich, skorych podawać tył,
Stąd Lach, stąd Litwin rozpędzony,
Jak dwa pioruny z północnéj strony,

Lub jak podwójny, z wielkich pędzący gór,
Straszliwy potok, który porywa bór
Z stadami razem, po szerokiéj
Znosząc równinie i las wysoki.

Ha! jak zawzięcie ogniem z śpiżowych dział
Zionęły Prusy! — Wasz téż jakżebym miał,
Liwony, huf i twój, Rusinie
Życiem gardzący, dać w zapomniénie?

O! jak przed wami księżyc Bistonów zbiegł!
Jak znak zerwany z wrogich chorągwi legł!
Widziałem jeźdźców i strwożone
Tłumy piechoty przez was pędzone.

Nie liczbą walczy, ale odwagą mąż;
Siekiera jedna często, gdy rąbie wciąż,
Las wytnie; kilka zaś jastrzębi
Wiele przed sobą gna stad gołębi.

Ach! jakim stosem leżał przy trupie trup!
Jak gęsto pole zasłał Edonów (6) grób
W ucieczce. Polskie tu w téj orce
Liże muzułman do dziś proporce.

---

(1) Cydonia na północno-wschodniéj stronie Krety. Mieszkańcy, celni łucznicy.

(2) Dahowie z nad morza Kaspijskiego (Dagestan).

(3) Stara Cilicia na południowym brzegu Małéj Azyi.

(4) Serowie, szczep mongolski w Małéj Bucharii, sławni z wyrobów jedwabnych.

(5) Partowie, szczep scytyjski, niżéj Hyrkanii, aż do kaspijskich wąwozów; zręczni jeźdźcy i łucznicy, niebezpieczni w czasie ucieczki.

(6) Edonowie, plemię trackie, od rzeki Strymonu do rzeki Nestos, należeli niegdyś do Macedonii.

Tu prą Hemona (1); tutaj arabski huf,
Pokłuty kopiją; tutaj Karakasz (2) znów
Padł pod namiotem Lachów, swemu
Głupio przyrzekłszy wprzód dać groźnemu

Carowi ucztę. Pyszną nadzieję Bóg
Na hańby zwykle strąca sromotny próg,
Zuchwalca karcąc, co zamiaru
Swego nie umié pogodzić z miarą.

Lecz wołom śpiewam walkę, gdy śpiéw
Rumaków godzien! Żart to kameńskich (3) dziéw —
Przestańcie! na chropawym flecie
Wojnę tę grać nie wypada przecie.

Późniejszy wnuków naszych wygra ją róg
Donośniéj pewnie. Czas, żeby do dom pług
Z wołami wracał, bo téż pora
Woła prędkiego nas już wieczora.

J. Wabner.

---

(1) „Hoemonia" (Αἱμονία), stara nazwa Tessalii.

(2) Karakasz, najzuchwalszy z wodzów Osmana, przedarł się był już za okopy legł z ręki Lubomirskiego (czytaj „Wojna Chocimska" Potockiego, ks. VII).

(3) Camena (carmena) = Muza.

REFORMA SAMORZĄDU WIOSKOWEGO.

Obowiązująca ustawa gminna, ogłoszona w d. 2 marca 1864 r. obok samorządu, nadanego gminom, wprowadziła niezależne jednostki—gromady, posiadające samoistną swoję administracyę. Stawiając na ostatniéj czele zebrania gromadzkie, art. 106 powołanego prawa orzekł, że składać je mają wszyscy pełnoletni włościanie-gospodarze, do gromady wioskowéj należący i we własnych swoich domostwach zamieszkali.

Układ tego przepisu, jak również cały duch ustawy gminnéj nasuwał poważną kwestję, czy z samorządu wioskowego korzystać mogą tylko włościanie w ścisłém tego słowa znaczeniu, czy téż wszyscy inni koloniści i osadnicy, prócz, naturalnie, większych właścicieli, wyraźnie przez prawodawcę wyłączonych. Jeśli po ogłoszeniu ustawy pytanie to miało doniosłość praktyczną odnośnie do tak zwanéj szlachty zagonowéj, to obecnie prąd parcelacyjny i kolonizacyjny wogóle nadaje kwestyi téj znaczenie jeszcze poważniejsze.

Zdanie rady państwa z d. 29 lutego 1888 r. (ogłoszone w N. 37 Zb. pr. i rozp. Rząd. z r. b.) dopiero teraz kwestyę tę na właściwe sprowadza tory. Myliłby się jednak ten, ktoby sądził, że prawo to miało na celu rozstrzygnąć wogóle kwestyę samorządu wioskowego we wsiach niewłościańskich; prawodawca miał tu tylko na względzie zawiadywanie porządkiem i bezpieczeństwem po wsiach, zamieszkanych przez osoby, nie podpadające pod skutki ukazów z d. 19 lutego /2 marca 1864 r. Dlatego téż prawodawca zajmuje się tu tylko jedną władzą wioskową, a mianowicie sołtysem, powołanym do czuwania nad bezpieczeństwem i porządkiem. W art. 11-ym powyższego prawa powiedziano, że do wyboru sołtysa wójt gminy zwołuje wszystkich właścicieli domów. Jest to jedyna atrybucya, którą prawodawca powierza zebraniom członków wsi, jako takim.

Pozostaje więc nadal otwartą kwestya, czy zebrania gromadzkie wsi niewłościańskich mogą korzystać z tych wszystkich atrybucyi, jakie przysługują wsiom włościańskim w myśl art. 104 i nast. A należą tu czynności gospodarcze, szkolne, itp. Co do nas, sądzimy, że prawodawca nie miał na względzie utworzenia zebrań gromadzkich we wsiach niewłościańskich w duchu ustawy gminnéj.

W całém prawie powyższém nie użyto ani razu technicznego wyrażenia, „zebranie gromadzkie“, domyślać się przeto organizacyi tak, jak ją ustawa z r. 1864 rozumié, żadną miarą nie można. A zresztą i z ogólnego punktu widzenia, jeśli prawodawca ma na względzie zorganizowanie samorządu wśród pewnych jednostek administracyjnych, to musi to orzec wyraźnie. Tak daleko domniemań interpretacya posuwać nie może.

Że zresztą taką była myśl prawodawcy, wynika to poniekąd z ustępu II powołanego prawa, który głosi, że we wsiach i koloniach mieszanych, zamieszkanych częściowo przez gospodarzy, należących do zebrania gromadzkiego, utworzonego w myśl ukazów z r. 1864, częściowo zaś przez osoby, nie podpadające pod skutki tych ostatnich przepisów, wybór sołtysów należy wyłącznie do gospodarzy, uczestniczących w zebraniu gromadzkiém. Z przepisu tego płynie wniosek, że prawo rozumié zebrania gromadzkie wyłącznie, jako instytucye, z włościan złożone. A daléj wynika stąd już wprost, że samorząd wioskowy nie może być udziałem niewłościan.

Od tych ogólnych uwag przechodząc do rozbioru stanowiska sołtysa, widzimy, iż prawo przedewszystkiém rozstrzyga kwestyę, jakie wsi niewłościańskie posiadać mają sołtysów. Każda wieś lub kolonia wybiera oddzielnego sołtysa. Wsi słabo zaludnione, mogą, w myśl uwagi do art. 2-go, zostawać pod władzą sołtysa wsi sąsiedniéj, lecz tejże saméj gminy. Starania w téj mierze czynić muszą same wsi, a decyzya w tym przedmiocie należy do gubernatora; ponieważ prawo nie stanowi, iżby decyzya jego pod tym względem była ostateczną, należy przypuszczać, iż od postanowienia gubernatora służy apelacya do senatu. W razie przyłączenia, pod powyższym względem, danéj wsi do sąsiedniéj, mieszkańcy pierwszéj nie zawsze biorą udział w wyborze sołtysa. O ile bowiem wieś sąsiednia jest włościańską tj. podpadającą pod skutki ukazów z r. 1864, wówczas wieś przyłączona, tj. słabo zaludniona, do wyborów nie należy. Jest to znowu jeden dowód więcéj, iż prawodawca nie myślał o samorządzie wioskowym dla niewłościan.

Wsi większe, ze znaczną ludnością, wybierają kilku sołtysów jeden zaś przez ludność w tym celu wskazany nosi miano starszego sołtysa. Potrzebę kilku sołtysów ocenia gubernator, z rozporządze-

nia którego odbywa się téż wybór zwiększonéj liczby tych urzędników (ust. 1).

Sposób wyboru sołtysa nowe prawo wzoruje na dawnych rozporządzeniach.

Podobnież, jak i we wsiach włościańskich, mieszkańcy wybierają dwóch kandydatów na urząd sołtysa. Wybory uważają się za ważne, jeżeli brała w nich udział więcéj niż połowa gospodarzy, obecnych we wsi lub w kolonii.

Prawo mówi tu nie o liczbie gospodarzy, do danéj wsi należących, lecz o mieszkańcach, obecnych we wsi podczas wyborów. Pod tym względem nowe prawo różni się od ustawy gminnéj, art. 105 bowiem ukazu z r. 1864 uznaje wszelkie decyzye zebrań gromadzkich wtedy tylko za prawomocne, gdy brała w nich udział przynajmniéj połowa włościan, posiadających prawo głosu w zebraniach. Wybór dokonywa się prostą większością, poczém sporządzonym zostaje odpowiedni protokół, opatrzony podpisami wójta i wyborców. O ile zaś ci ostatni są niepiśmienni, podpisuje się z ich upoważnienia osoba, umiejąca pisać, protokół zaś następnie komunikuje się naczelnikowi powiatu (ust. 11).

Prawodawca przewiduje tu tylko niepiśmienność wyborców, zapominając, że wedle ustawy gminnéj i wójtem może być osoba, nie umiejąca ani czytać, ani pisać.

Wybór kandydatów wcale jeszcze wyboru sołtysa nie przesądza: podobnież, jak i co do sołtysów we wsiach włościańskich, władzą decydującą jest tu naczelnik powiatu. Przedewszystkiém jednego z wybranych kandydatów naczelnik mianuje sołtysem, a drugiego jego zastępcą na wypadek nieobecności, śmierci itp. (art. 13). Prawo pozwala mu jednak zupełnie odmówić zatwierdzenia i zarządzić nowe wybory (art. 16). Gdyby zaś naczelnik uważał za niemożliwe zatwierdzić powtórnych tych wyborów, wówczas komunikuje rzecz całą gubernatorowi, od którego zależy albo zatwierdzić wybranych kandydatów lub téż zarządzić trzecie, ostateczne już wybory. Dotąd przepisy dawne identyczne są z nowemi. Daléj istnieje już różnica, polegająca na tém, że we wsiach niewłościańskich trzecie te wybory mogą być przez gubernatora unieważnione; ma on wówczas prawo mianować sołtysa własną władzą z zachowaniem wszakże tego, aby wybrany przez gubernatora kandydat odpowiadał warunkom, w art. 9 i 10 prawa niniejszego wyłuszczonym.

Jest to znakomite rozszerzenie atrybucyi gubernatora, który w ten sposób może z instytucyi wybieralnéj uczynić zwyczajnego urzędnika, wprost tylko od siebie zależnego.

Skargi na nieważność wyborów podają się do naczelnika powiatu, a wszelkie jego czynności i decyzye mogą być zaskarżone w terminie 3o-dniowym do gubernatora. Naczelnik powiatu może przystąpić do rozpoznania skargi wtedy tylko, gdy została podaną najdaléj w ciągu 2-ch tygodni od chwili wyboru i przynajmniéj przez piątą część mieszkańców wsi, która sołtysa wybrała (art. 17 i 18). Jest to znowu powtórzenie dawnych przepisów. Dodać to tylko wypada, że decyzya gubernatora może być zaskarżoną do senatu w myśl ogólnych przepisów.

Przechodząc z kolei do warunków, jakim czynić zadość winien kandydat na sołtysa, widzimy, że prawo rozróżnia warunki dodatnie i ujemne. Do pierwszych należy cenzus majątkowy.

W myśl art. 10 sołtysem może być gospodarz, posiadający przynajmniéj trzy morgi ziemi. Lecz prawo nie uważa tego za *conditio sine qua non*. Gubernator bowiem może zezwolić na wybór sołtysa, nie będącego właścicielem takiéj ilości gruntu, o ile by się okazało, że w danéj wsi albo wcale nie ma takich gospodarzy, albo téż gdyby mała ich liczba nastręczała trudności przy wyborach.

Przepisy te są jakby uogólnieniem rozporządzeń wydanych dla wsi włościańskich. Pierwiastkowo, wedle art. 68 ukazu z r. 1864, przestrzeń trzy - morgowa była warunkiem koniecznym. Późniéj wszakże uchwały: komitetu urządzającego z d. 6/18 lutego 1870 r. i komitetu do spraw królestwa polskiego z dnia 26 maja 1870 r., odnośnie do osad, przekształconych z miasteczek, i tegoż komitetu z 31 października 1879 r., co do wszelkich gmin, pierwotny cenzus zniżyły. Decyzya wszakże w téj mierze co do tych ostatnich należy do komisyi gubernialnych do spraw włościańskich.

Odnośnie do warunków ujemnych, prawo stanowi, że nie mogą być sołtysami osoby: *a*) wyznań niechrześciańskich; *b*) nie mające 25 lat wieku; *c*) zostające pod opieką lub kontrolą; *d*) nie mające stałego zamieszkania w gminie, przynajmniéj, przez przeciąg lat trzech; *e*) skazane na karę pozbawiającą prawa pełnienia obowiązków publicznych; i *f*) zostające pod sądem lub śledztwem albo téż pod dozorem policyjnym. I pod tym względem nie ma różnicy między dawnemi przepisami a nowemi. Nadmienić tylko wypada, że w myśl post. kom. urządz. z d. 6/18 lutego 1870 osady, zamieszkane przez samych żydów mogą wybierać sołtysów z pośród niechrześcian. Termin urzędowania jest wedle art. 14 trzyletni. Ustępujący sołtys może być ponownie wybrany, o ile na to się zgodzi. Przyjęcie wyboru jest w ogólności obowiązkowém. Odmowa w myśl art. 15 nastąpić może: *a*) jeśli kandydat ma więcéj, niż lat 60; *b*) jeśli przesłużył już jednę kadencyę; *c*) jeśli jest chory fizycznie; *d*) jeśli ro-

dzaj jego zajęć i interesów gospodarczych nie pozwala mu mieszkać stale w gminie, w obrębie której znajduje się wieś, która go na urząd sołtysa powołała.

Wszystko to warunki nie nowe, lecz wprost z dawnego prawa zapożyczone.

Co do przywilejów, zapewnionych sołtysowi, to prawo wymienia tu zwolnienie od powinności, spełnianych w naturze (art. 22).

Wynagrodzenie, jakie sołtysi pobierać mają, określone zostało przez art. 20 i odpowiada skali, jaką, odnośnie do wsi włościańskich, oznaczyło postanowienie komitetu urządzającego z d. 7/19 kwietnia 1864 r. Gdy jednak to ostatnie oznaczyło tylko *minimum* płacy, norma, w nowém prawie wyłuszczona, jest stałą.

Wynosić ona ma rocznie:

1)	we	wsi	obejmującéj	do 10	osad	—	rs. 2	k.	70
2)	„	„	„	„ 25	„	—	„ 3	„	60
3)	„	„	„	„ 30	„	—	„ 4	„	50
4)	„	„	„	„ 60	„	—	„ 5	„	40
5)	„	„	„	„ 80	„	—	„ 6	„	30
6)	„	„	„	więcéj niż 80	osad		7	„	20

Że całe to wynagrodzenie nie jest wystarczające, tego chyba podnosić nie potrzeba. Dodajmy tylko, że nowe prawo ogłoszone w r. 1888, powinno było przecież uwzględnić różnicę cen wogóle, zachodzącą między r. 1864 a czasem teraźniejszym.

Ponieważ rozbierane przez nas postanowienie prawodawcze nie nadało żadnych praw zebraniom członków wsi niewłościańskich, należało tu przeto postanowić o sposobie, w jaki fundusze na wynagrodzenie zbierane być mają.

Jakoż art. 21 orzeka, że w tym celu następuje pobór składki od mieszkańców wsi, lecz sposób rozkładu pozostawia gubernatorowi, który wydaje obowiązujące rozporządzenie z góry na każde trzechlecie.

Pomijając formę rozkładu, który do samych mieszkańców, jak widzimy, nie należy, zwraca na siebie uwagę ta okoliczność, że prawodawca nie stawia tu żadnych ściśle określonych zasad, co do uiszczania powołanych składek. Gubernator jest mocen przyjąć tu za podstawę, bądź przestrzeń, bądź ilość dymów, bądź stopień zamożności itp.

Przepis taki miałby swoję racyę bytu tylko wówczas, gdyby dowolność ta samym mieszkańcom pozostawioną została.

Zależność sołtysów od władz wyższych określona jest we wsiach niewłościańskich nieco inaczéj, niż we wsiach włościańskich. W tych

ostatnich sołtys zostaje pod władzą z jednéj strony naczelnika powiatu, a z drugiéj—wójta. Tak pierwszy, jak i drugi (art. 90, 94 ukazu z r. 1864) mogą na sołtysa kary wymierzać, pierwszy może go skazywać na naganę, karę pieniężną aż do pięciu rubli lub na areszt 7-dniowy. Wójt zaś za drobne wykroczenia służbowe mocen jest wymierzać karę pieniężną do wysokości jednego rubla. Art. 24 nowego prawa oddaje sołtysa pod bezpośrednią władzę naczelnika powiatu z pozostawieniem temuż możności wymierzania kar tych samych, jakie mu nadaje ustawa gminna. Zależność zaś sołtysa od wójta sprowadza się tylko do tego, że obowiązany jest spełniać wszelkie jego rozporządzenia; prawo jednak nie pozwala wójtowi wymierzać żadnych kar na sołtysa (art. 4). Wreszcie mieszkańcy nie mają wcale prawa kontroli nad czynnościami sołtysa, służy im tylko prawo zanoszenia skarg do naczelnika powiatu, od decyzyi którego może być założoną apelacya, w terminie miesięcznym, do gubernatora, który rozstrzyga ostatecznie (art. 26 i 27).

Władza naczelnika powiatu nad sołtysem dochodzi aż do prawa uwalniania go od obowiązków. W myśl bowiem art. 25 naczelnik może złożyć sołtysa z urzędu w razie nadużycia lub niedbalstwa, lecz obowiązany jest donieść o tém gubernatorowi z wyłuszczeniem powodów, które go do tego skłoniły.

Gdy ustawa gminna powierzyła sołtysowi władzę z jednéj strony ogólno-państwową, a z drugiéj miejscową, zastosowaną do samorządu wioskowego, nowe prawo poprzestaje na powierzeniu mu dwóch czynności: z jednéj strony jest on pomocnikiem wójta gminy, a jako taki spełnia wszystkie jego rozporządzenia prawne, a nadto, nie czekając dyspozycyi wójta, obowiązany jest współdziałać we wszystkich tegoż czynnościach (art. 4). Z drugiéj strony, jest sołtys urzędnikiem, mającym władzę nad wsiami, zostającemi pod jego dozorem (art. 3) i w tym charakterze zajmuje się ściąganiem wszelkich podatków (art. 5). Gdy jednak sołtys we wsiach włościańskich ma prawo wymierzać téż same kary, co i wójt, tj. nawet na areszt skazywać, we wsiach niewłościańskich nie korzysta on z takiéj władzy. Art. 6 głosi, iż za nieposłuszeństwo prawnym rozporządzeniom sołtysa, w wypadkach małéj wagi, gdy pociąganie do odpowiedzialności sądowéj jest zbytecznéni, karę wymierza wójt.

Prawodawca w pewnym stopniu czyni z sołtysa niezależnego urzędnika państwowego, jak to ma zresztą miejsce i we wsiach włościańskich. Oto, w myśl art. 7, gdyby wójt uchylał się od wykonywania prawa lub rozporządzeń rządowych lub gdyby przeszkadzał innym spełniać je, wówczas sołtys, gdy się to do podległych jego władzy wsi i kolonii odnosi, zawiadamia o tém bezzwłocznie naczelni-

ka powiatu. Nadane w ten sposób sołtysowi prawo kontroli nad czynnościami wójta jest tu bardziéj ograniczone, niż we wsiach włościańskich, gdzie sołtys obowiązany jest raporty takie składać nawet wówczas, gdyby przekroczenie władzy przez wójta dotyczyło i innych także wsi i kolonii. Sołtys daléj załatwia czynności, połączone z wykonywaniem wyroków sądowych, kar policyjnych, z dopełnianiem rewizyi, daléj należy doń pierwotne dochodzenie przestępstw itd. Wszystko to obowiązany jest spełniać w obecności dwóch świadków (art. 8).

Henryk Konic.

ROZBIORY, SPRAWOZDANIA
I WRAŻENIA LITERACKIE.

Pamiętnik fizyjograficzny, tom VII. Warszawa 1887. Z 37 tablicami rysunków i 18 drzeworytami w tekscie.

Tom siódmy „Pamiętnika fizyjograficznego" poświęcony pamięci Jana Jędrzejewicza, jednego z najzasłużeńszych naszych meteorologów, co do formy i rodzaju wydania nie ustępuje wcale poprzednim, co do rozmiarów znacznie zaś je przenoszący, jest dla wszystkich tych, których interesuje poznanie naszéj flory, bezwarunkowo najważniejszym i najbardziéj interesującém tegoroczném wydawnictwem. Skupiając wszystkie siły pracowników na polu naszéj fizyografii, wydawnictwo to staje się jedyném ogniskiem, z którego możemy czerpać wiedzę o sobie i o tém, co dla nas najdroższém. Rozglądając się wśród naszych bogactw i naszych niedostatków, mimowolnie musimy się uczyć, pierwsze umiejętnie wyzyskać, drugie zaś, ile się da, usuwać. Pominąwszy już jednak czysto materyalne korzyści, które niestety nie zawsze idą w parze z nauką, możemy być dumni z tego wydawnictwa, ono to bowiem jest dobitnym protestem z naszéj strony przeciw zarzutom nieuctwa, a co gorsza obojętności dla poznania własnego kraju, które przez tyle lat zagranica słusznie rzucała nam w oczy.

Przegląd krótki prac ostatniego tomu „Pamiętnika", wraz z zaznaczeniem ich wartości naukowéj, sądzę, że będzie najodpowiedniejszym poleceniem tego wydawnictwa, które właśnie nie frazesem ale czynem chce sobie zdobyć życzliwość ogółu.

Dział I. **Meteorologia i hydrografia.**

„Zestawienie roczne spostrzeżeń, dokonywanych na Stacyach meteorologicznych w ciągu roku 1886" jest pierwszym owocem na-

der chlubnego zadania, jakie postawiła sobie druga sekcya warszawskiego oddziału popierania przemysłu i handlu. Stacye, na których spostrzeżenia były robione przez cały ciąg roku 1886, są następujące: Czersk (Owczarkiewicz), Józefów (K. Hueber), Młodzieszyn (M. Lubiński), Oryszew (W. Kobyliński), Sanniki (W. Bąkowski), Warszawa (stacya przy Muzeum), Płońsk (d-r Jędrzejewicz), Częstocice (F. Flesch), Leśmierz (Skarzyński). Łubna (A. Zawiliński), Lublin (J. Niewiadomski), Sokołówka (J. Grzesiński), Uladówka (d-r Kudelka), Czehryn (E. Korbusz). Znaczne pomnożenie się stacyi meteorologicznych w r. 1887 jest dowodem wzmagania się u nas zamiłowania do badań tego rodzaju. Rzecz poruszona inicyatywą Sekcyi II warsz. oddziału tow. popier. przem. i handlu zaczyna się stawać coraz popularniejszą, tak, że z końcem roku 1887 na 25 stacyi funkcyonujących, siedm, a więc blisko część trzecia, jest przedsięwzięciem zupełnie prywatném.

Rozprawa p. *A. Pietkiewicza* o „Wiatrach w Warszawie", oparta na badaniach dziewięciu lat (1876—1884) jest nader umiejętnie przeprowadzoném opracowaniem zebranych przez tegoż materyałów, oraz częściowém porównaniem wyników z podobnemi badaniami ś. p. Jana Jędrzejewicza w Płońsku.

„Wykaz spostrzeżeń fenologicznych, nadesłanych do redakcyi „Wszechświata" w roku 1886", obejmuje zestawienie oznaczeń czasu kwitnienia 53 roślin, dojrzałości nasion lub owoców 10 roślin. W porównaniu do roku poprzedniego, w którym notowano spostrzeżenia tylko na 12 stacyach, musimy podziwiać wielkie zainteresowanie się naszego inteligentnego ogółu po wsiach badaniem tego rodzaju. Obecnie bowiem nadesłano już dokładne zapiski z 48 stacyi a mianowicie: Warszawa (H. Cybulski), Buczacz w Galicyi (S. Trusz), Michałówka (St. Makowiecki), Skibcza (M. Gruszecka), Czehryn (E. Korbusz), Kremieńczuki (J. Kopista), Poryck (....), Jurkowszczyzna (....), Agatówka (K. Szablowski), Probołowice (El. Fryczowa), Sucha (T. Wodziński), Szydłowiec (W. Majewski), Malice (H. Prendowska), Nawodzice (Ks. Bartkowski), Zawichost (Al. Rakowski), Chmielnik (Maks. Dobrski), Izbice (K. Grodzicka), Łęczna (W. Parzych), Leszczany (M. Schwarc), Krasnystaw (M. Hempel), Dobromierzyce (St. Gąsiorowska), Dębica (G...), Kałuszyn (A. Mieczyński), Parczew (M. Szaniawska), Wyrozęby (d-r Zawistowski), Borówek (Emilia Mejsner), Siemiatycze (d-r Czarkowski), Dymsk (Z. Rusiecki), Weleśnica (M. Twardowska), Niańków (d-r Dybowski), Walentynów (K. Drymmer). Siemianów (J. Komecki), Smiłowice (M. Bartoszkiewicz), Duninów (E. Maciurzyński), Obrąb (W. Czaplicka), Chojnowo (J. Chełchowska), Suwałki (J. Sędkowski), Teofi-

lin (M. Sorokowa), Kazimirówka (Erdman), Borkołojnie (J. Staniewiczówna), Poniewież (P. Ważyńska), Sontekle (T. Grużewska), Powojniszki (T. Dołobowska), Niesin (A. Stefanowski), Oczesa Rudnia (Zofia Potopowicz), Rudyszki (ks. J. Katyll), pow. Iziumski (W. Tarnopolski), Kursk (Węgłowski). Porównywając rozwój tak młodziutkich u nas, bo nieledwo drugi rok istniejących usiłowań pojedyńczych jednostek przyczynienia się do poznania klimatologii naszego kraju, już-to przez notowanie zmian meteorologicznych, już-to przez zbieranie spostrzeżeń fitofenologicznych, — z dawną prawdziwą niedbałością i apatyą na tém polu, musimy się szczerze cieszyć z dotychczasowych wyników, które nie tylko stanowią podstawę poznania fizycznych warunków naszego kraju, ale wypełniają wreszcie tę wielką a dla nas smutną lukę, jaką tworzyło Królestwo na kartach klimatograficznych Europy. Wysoko też musimy cenić zasługi wszystkich współpracowników, którzy bogatemi owocami téj nader zmudnéj oraz wielkiéj wytrwałości i sumienności wymagającéj pracy dali dowód zrozumienia obowiązków względem kraju.

„Tablica porównawcza wyników meteorologicznych z chorobami panującemi w Płońsku i okolicy za czas od roku 1875 do roku 1887“, ułożona z własnych spostrzeżeń przez *J. Jędrzejewicza*, jest nader interesującym, jakkolwiek z powodu małéj ilości danych, bardzo jeszcze oderwanym dodatkiem do zrozumienia związku między rozwojem pewnych epidemii i chorób, a panującą porą roku oraz innemi czynnikami.

Rzecz przez *M. Szystowskiego* „Roboty regulacyjne na rzece Wiśle w granicach Królestwa Polskiego“, objaśniona 16 tablicami, jest bardzo interesująca, a dla rolnictwa i przemysłu krajowego niezmiernéj wagi pracą. Rzecz sama, umiejętnie przeprowadzona, wyczerpuje w zarysach cały przedmiot, dając nam dokładne wyobrażenie o ogromie tegoż. W pierwszym rozdziale omawia pan Szystowski hydrografią, w drugim żeglugę, w trzecim administracyą, w czwartym rozdziale dopiéro przechodzi do ogólnych wniosków, tyczących się regulacyi Wisły w granicach Królestwa, w piątym na pograniczu Austryi, w szóstym omawia roboty regulacyjne na części Wisły od Zawichosta do granicy pruskiéj, w ostatnim zaś rozdziale regulacyą Wisły pod Warszawą.

Dział II. **Geologia z Chemią.**

„Sprawozdanie z badań geologicznych wzdłuż linii kolei Wileńsko-Rowieńskiéj“ przez *ks. Ant. Giedroycia*, jest dodatkiem do poznania geologii naszego kraju. Autor przekonał się, że twierdzenie niektórych jego poprzedników, jakoby Polesie odznaczało

się wielką jednostajnością gruntu jest bezzasadne, w przekopie bowiem kolejowym napotykał najczęściéj warstwy przykrywające napływy lodowcowe. Löss znaleziony wzdłuż kolei, pod Równém, ma leżéć wprost na krédzie.

„Sprawozdanie z badań geologicznych w zachodniéj części gór Kielecko-Sandomierskich" przez p. *Józefa Siemiradzkiego* jest umiejętnie przeprowadzonym opisem tych okolic. Cenny ten dodatek do poznania naszego kraju jest dalszym ciągiem badań autora.

„Krótki zarys geologiczny południowo-wschodniéj części gubernii Kieleckiéj" przez *A. Michalskiego*, którego opracowanie sąsiednich okolic już w czwartym tomie „Pamiętnika" poznaliśmy, jest staranném uzupełnieniem całości przedmiotu. Równie cenną pod względem naukowym, mającą jednak większe praktyczne znaczenie dla naszego przemysłu, jest druga praca p. *A. Michalskiego* p. t. „Nafta w Wójczy i zdrojowiska mineralne w Busku". Rozprawy p. *W. Choroszewskiego* „O własnościach węgla kamiennego, wykrytego w r. 1887 w Zameczku, w powiecie Opoczyńskim, gub. Radomskiéj", p. *M. Flauma* „Rudy miedziane gór kieleckich", nader wyczerpująca rzecz p. *Z. Toeplitza* „Przyczynek do znajomości rud cynkowych w Królestwie Polskiém", oraz praca p. *Br. Znatowicza* „Nowe rozbiory chemiczne wody wiślanéj, dokonane w ciągu 1887 roku" stanowią część chemiczną VII tomu „Pamiętnika".

DZIAŁ III. **Botanika i Zoologia.**

K. Łapczyński: „Stosunek flory Królestwa Polskiego do roślinności kwiatowéj całéj powierzchni ziemi." Wielce ten zasłużony dla poznania flory krajowéj badacz postanowił sobie najwidoczniéj w tak szerokim zakresie przedstawić ubóstwo naszéj flory, co w tym razie z powodów bardzo prostych i naturalnych było nader łatwém do przewidzenia. Zupełnie niewystarczająca znajomość polskiéj flory, która jest jeszcze bardzo daleką od możliwości, a więc i potrzeby tego rodzaju porównań, zbyt szeroki zakres porównania, który do ściślejszych wyników naukowych doprowadzić nie był w stanie, bardzo niepewne wreszcie, często nawet zupełnie mylne podstawy, na których p. Łapczyński całą swą pracę opiera, były tego trzema głównymi powodami. Pan Ł. za podstawę obliczeń przyjął „*Prodromus*" Rostafińskiego, (który już w czasie swego wydania nie wyczerpywał przedmiotu, a dziś jest już zupełnie niewystarczającym), „z uwzględnieniem odszukanych późniéj w Królestwie gatunków." Dodatek ten, wiele obiecujący, nie mówi nam jednak wyraźnie, o ile autor korzystał z literatury i czy zdołał ją wyczerpać, słowem, czy jego dane statystyczne mają pozytywne znaczenie, czy też dla swéj niedokładności małą tylko wartość. Gdyby

p. Łapczyński, pominąwszy wszelkie porównania, na to jedynie tylko pytanie odpowiedział podaniem dokładnego uzupełnienia „*Prodromusa*“ Rostafińskiego, stworzyłby dla florystyki naszéj rzecz wielkiéj wagi, i nauce przyniósłby rzeczywistą korzyść. Co się tyczy zaś samego porównania flory polskiéj z florą całéj kuli ziemskiéj, to uważam je dla zbyt wielkiéj różnicy w przestrzeni i klimacie za zupełnie nietrafne. Jedynym wynikiem mozolnych i długich obliczeń autora jest to, że „zamieszkujemy kraj leżący bliżéj bieguna niż równika“, do czego przecie można było przyjść na daleko łatwiejszéj drodze. Dwanaście stron tablic, przepełnionych cyframi, stanowi wynik tego porównania, siedemnaście zaś stron zapełniają same uwagi i wnioski, które w swéj zasadzie nietylko że nie mają znaczenia naukowego, ale w wielu razach są wprost błędne, jak np. uwaga o pochodzeniu zwrotnikowém lipy, niewytłómaczalności rozsiewania roślin wodnych i t. d. Jeżeli już autor chciał koniecznie przeprowadzić porównanie naszéj flory, to powinien nieco bliżéj sięgnąć i porównać ją z florą Europy i to Europy środkowéj, przez co przedmiot zyskałby większą jednostajność opracowania całości i doprowadziłby autora do ciekawych wyników. Zrozumienie głównego elementu tworzącego florę sarmacką, oddzielenie go od wdzierających się elementów flor sąsiednich, to powinno być raczéj zadaniem polskiego florysty, ale nie zastanawianie się nad tém, że u nas pieprz nie rośnie. Trzecim zarzutem z méj strony są mocno niepewne, ba, nawet często zupełnie fałszywe podstawy, na których opiera p. Ł. rozumowania. Autor uważając dzieło Benthama i Hookera „*Genera plantarum*“ za ostatnie słowo dzisiejszéj systematyki czerpie ztamtąd wszelkie dane i popełnia wskutek tego zasadniczy błąd. Dzieło to, ze wszech miar znakomite, ma zasadnicze znaczenie dla flory podzwrotnikowéj, nigdy zaś dla europejskiéj. Pojęcie rodzaju i gatunku obydwóch tych flor jest obecnie tak różne (a inaczéj, jak na dziś, być jeszcze nie może), że Bentham, właśnie dla konieczności utworzenia poglądu na całość flory, zmuszonym był rozszerzyć znacznie pojęcia rodzaju i gatunku, co stanowczo na wielką niekorzyść flory europejskiéj wypadło. Wyliczając gatunki, p. Ł. ślepo ufa Benthamowi, który w tym kierunku właśnie jest bardzo niedokładny i myli się często na 100 o 40 a nawet 60%, co przy tego rodzaju pracach statystycznych musi już mieć pewne znaczenie. Mimo więc wysokiego szacunku dla usiłowań autora, muszę stanowczo odmówić téj jego pracy wartości naukowéj i z pewnym żalem zaznaczam zmianę kierunku w pracach pana Ł., który nieco zaniedbał dawną, więcéj praktyczną działalność na polu flory krajowéj, dla mniéj niż niepewnéj wartości prac teoretycznych.

Druga rozprawa pana *Łapczyńskiego* „Roślinność Sandomierza i gór Pieprzowych“, malująca nam bardzo żywo i plastycznie florę tamtejszą, jest nader cennym nabytkiem do poznania naszéj flory, oraz wyraźnym dowodem umiejętnéj działalności autora na polu dla nas obecnie najważniejszém, polu praktycznego poznania flory polskiéj.

Prace botaniczne pp. *Karola Drymmera* „Sprawozdanie z wycieczki botanicznéj odbytéj w nadniemeńskie okolice powiatu Władysławowskiego, Maryampolskiego i Wyłkowyskiego“, *A. Ejsmonda* „Sprawozdanie z wycieczki botanicznéj w Płockim, Rypińskim, Sierpeckim i Mławskim powiecie“, oraz tegoż „Wycieczka botaniczna w Grodzieńskie nad Supraśl i Narew w powiecie Białostockim“, przedstawiają już mniéj malowniczo, ale co do pozytywnych danych bardziéj dobitnie tamtejsze okolice. Opracowanie bogatego materyału, sądząc po owocach, jest bardzo sumienne, razi mnie tylko dodawanie do roślin nazw polskich, które z pozoru polskie, z treści i ducha raczéj na barbarzyńskie zakrawają. Miłym dodatkiem byłoby bezsprzecznie dopisanie, gdzie można, nazw ludowych z badanéj miejscowości, powtórzenie jednak za jakiém dziełem utworów najczęściéj fantastycznych, jest po prostu dla nauki niepotrzebnym, dla języka szkodliwym, a dla czytającego nudnym balastem.

Rozprawa p. *J. Sznabla* „Przyczynek do fauny owadów dwuskrzydłych“, o któréj dla jéj wartości, zbyt specyalnie naukowéj, na tém miejscu rozpisywać się nie mogę, jest wyborną, szczegółowo opracowaną monografią. Rzecz ta bezwarunkowo należy do najcenniejszych prac, jakie się dotychczas w naszéj literaturze przyrodniczéj pojawiły.

Artykuł zbyt wcześnie dla polskiéj nauki zmarłego *D-ra Stanisława Kruszyńskiego* „O badaniu bydła krajowego“, jest dla praktycznéj swéj właśnie strony cenną wskazówką i przewodnikiem dla mocno jeszcze u nas zaniedbanych poszukiwań w tym kierunku.

Rozprawa p. *Bolesława Getko-Wydżgi* „Przyczynek do monografii bydła rasy świętokrzyskiéj“ jest rozwiązaniem dosyć zawiłéj kwestyi. Autor na podstawie ścisłych studyów naukowych uważa rasę świętokrzyską jako naszą rasę rodzimą. Rzecz cała, równie jak i praca d-ra Kruszyńskiego, objaśniona jest licznemi drzeworytami.

Dział IV. **Antropologia.** (Obacz niżéj).

Zastanawiając się nad rozwojem wydawnictwa „Pamiętnika fizyjograficznego“, łatwo dostrzeżemy z roku na rok ustawiczny postęp ku lepszemu. Pierwotne usiłowania jednostek wydały podwójne

owoce: przez zbogacenie krajoznawstwa i, co może w skutkach ważniejsze, przez zainteresowanie szerszego koła publiczności studyami tego rodzaju. Tom ostatni „Pamiętnika“ ma jeszcze inną, bardzo ważną cechę, cechę dla przyszłości i dla owoców, jakie ta ze sobą przyniesie, nader zbawienną. Po rozpatrzeniu prac w tomie VII pomieszczonych musimy przyznać, że dawniejsza luźność studyów znika a natomiast zarysowuje się plan systematycznéj, bardziéj jednolitéj działalności. Pracując z naprzód wytkniętym celem, zbiorowo i systematycznie, musimy w krótkim przeciągu czasu zyskać to, co zaniedbaliśmy przez lat dziesiątki—tak że nie ustając na téj drodze, możemy równocześnie, jeżeli nie wcześniéj, stanąć u celu wraz z tymi, którzy właśnie jako najważniejszy zarzut stawiają nam nieznajomość własnego kraju.

O ile pomyślnym jest naukowy rozwój tego wydawnictwa i jego dla kraju korzyści, o tém, sądzę, że i mówić nie trzeba — niechże więc życzliwość i czynna pomoc dbałych o dobro kraju jednostek zechce nadal gorliwiéj popierać materyalnie to nader pożyteczne, ale i kosztowne przedsięwzięcie.

Wiedeń w kwietniu. *Dr. Ign. Szyszyłowicz.*

W dziale IV-ym „Pamiętnika“, poświęconym Antropologii, mieści się tylko jedna praca, ale praca godna uwagi. Autor jéj, p. Tadeusz Dowgird, zachęcony rezultatami pierwszéj swéj bytności na cmentarzysku Mełżyn-Kapas pod Jasnogórką na Żmudzi (opisanemi w tomie VI „Pamiętnika“), prowadził tamże poszukiwania dalsze w r. 1882 i 1883, które obecnie wzorowo opisał i siedmiu tablicami rysunków objaśnił. Sposób odkopywania zasługuje na pochwałę, jemu bowiem przypisać należy, iż znaczenie i użytek przedmiotów, znalezionych w grobach, daje się odgadnąć prawie zawsze z zupełną pewnością. Po tak sumiennym a gorliwym pracowniku archeologia przedhistoryczna u nas może oczekiwać niejednego ważnego przyczynku.

= **Nowele Adolfa Dygasińskiego**. *Warszawa 1888. Tom I. str. 197. Tom II. str. 234.* Niezależnie od już roztrząsanego w A t e n e u m (styczeń 1888), zbioru nowel p. n. „Z siół, pól i lasów“, świeżo wyszła garść belletrystycznych utworów p. Dygasińskiego, powyższym tytułem ochrzcona. Cechy, które znamionują poprzednie opowiadania, a zarazem całą dotychczasową twórczość autora, odbiły się dodatnio, a jasno również i na tych jedenastu obrazkach, drukowanych po różnych czasopismach, a dzisiaj w dwu owych tomach razem zebranych. I tu więc „żart, koncept, dowcip, obserwacya, roz-

waga, fantazya naprzemiany występują, dostarczają dobréj, zdrowéj i pięknie przyrządzonéj karmi umysłowi“. I tu więc mamy malowidła z bytu zwierząt, z ich stosunku pomiędzy sobą i zachowania się względem ludzi. Do téj warstwy opowiadań należą: „Psia dola“, „Biały wróbelek“ i „Wilk, psy i ludzie“. Pierwsze przedstawia smutny los wyżlicy Normy, znędzniałéj i łaknącéj. Nie tylko nie zdołała ona dostarczyć czterem swym szczeniętom, prawie jeszcze ślepym, pokarmu, bo pierś jéj wyschłą nie wypełniała ani kropelka mléka, lecz nawet niebawem, odpychana przez ludzi w sposób mniéj lub więcéj brutalny, zdechła, osierocając swe dzieci, a ciało swe wydając na łup szczurów, licznie gnieżdżących się wśród starych rupieci podwórzowego śmietnika. Drugie opowiadanie jest podobne do dawniéj tak ulubionych bajek, w których pod postaciami zwierząt kryły się ludzkie przywary i przymioty, ludzkie myśli, czyny i namiętności. Na tle werendy cukierni Lourse’a w Saskim Ogrodzie, w czasie kiedy na zielone liście drzew padały południowego słońca promienie, zjawia się młoda para, aktorka i światowiec, kokietująca się nawzajem. U kobiety krew walczy z lepszemi popędami. Te walkę krótką rozstrzyga los białego wróbelka, zjedzonego przez kota wśród szarych wróbli. Lekkomyślne tedy niewieście stworzenie, rządzące się widocznie chwilowym porywem, nie wnikające w istotę czynów i wypadków, oddaje się uwodzicielowi, mówiąc głośno: „Skoro świat ten jest już tak urządzony, że między szaremi wróblami białego wróbla zawsze kot jakiś zjeść musi, to bądź że pan moim kotem“. Mimowoli nasuwa się spostrzeżenie, że człowiek prosty dosadniéj, lecz właśnie prościéj wyraziłby myśl ową znaném przysłowiem: „Raz kozie śmierć“. „Wilk, psy i ludzie“ wreszcie przedstawiają, losy młodego, oswojonego wilczka, zwanego Butą, który, jak twierdzi szpakowaty leśniczy, za ojca miał wilkołaka. Podobnie jak ojcu, nie szczęściło się w życiu i synowi. Autor, osobiście tu występujący, opowiada nam smutne przejścia i cierpienia, jakich doznawał od ludzi i psów wilczek, ponieważ natura jego dopiero zwolna, a zwolna przystosowywała się do warunków nowego bytu, czasem zaś podnosiła bunt i zdradzała dawne nawyknienia, a racząj zwyczaje. To téż niedługo danéni mu było pożyć na świecie; ginie pod kijami rozjuszonych chłopów, gdy zaniedbany przez swych opiekunów, a więc głodny, pożarł prosię ubogiéj wyrobnicy. „Krzyż i ogień“, to kartka z dawnych dziejów, z walki pomiędzy zwycięskiém chrześciaństwem a starą czcią ognia świętego, coraz to więcéj wypieraną z serc i z niw armeńskich. „O ciocię Franię“ poszło Andzi, młodéj żonce Kazimierza Malinowicza, filologa, który ożenił się, nie mając prawie żadnego utrzymania. To téż horyzont ich

pożycia prędko pokrył się chmurami niedostatku; mąż bowiem był niezaradnym, a do pracy na inném, jak na nauczycielskiém polu nie zdolny, żona zaś trochę kapryśną i niewyrozumiałą kobietą. Niewyrozumiałość jéj posunęła się tak dalece, że zazdrością targana, żądała, by mąż porzucił jedyny środek utrzymania, lekcye historyi, udzielane młodym panienkom, a to tylko dla tego, że chlebodawczynią była przystojna kobieta. Również nie wesołym obrazkiem z pożycia małżeńskiego, a nie kończącym się tak radośnie, jak poprzedni, jest nowela p. n. „Śmiertelne koszule“. On był rytownikiem, kształcącym się dawniéj na artystę-malarza, a dzisiaj usilnie pracującym, by ukochanéj Wandzi i staremu ojcu nie zbywalo na niczém. Biédy nie cierpieli, lecz niedostatek w znaczeniu zaspakajania tylko najpierwszych potrzeb życia stałą zaszczycał opieką dwie izby na ulicy Wspólnéj, stanowiące ich mieszkanko. Pożycie ich, osładzane wzajemną a gorącą miłością, trwało zaledwie półtrzecia roku, bo Wanda zmarła na suchoty garlane, które wywiązały się wskutek dziedzicznych wad organizmu, nadmiernego ściskania się sznurówką, a równocześnie złego odżywiania się. Koszule, które mąż zamówił dla niéj na imieniny, przybyły w sam raz... do trumny. „Z niedoli kobiety“, to również łzawy szkic, do którego rysów dostarczyło autorowi wewnętrzne życie wielkiego miasta, nie to świetne i dudniące po bruku ulicznym kołami karet i powozów, lecz owo ciche, biédne, przybite ustawiczną, niemal bez wytchnienia pracą. A kiedy odpoczynku dzień nadejdzie, to i on często nie mija spokojnie, lecz nowe troski kryje w swém błękitném napozór zanadrzu. Doświadczyła tego na sobie szwaczka Cesia, którą jakiś pozłacany młodzieniec pod wieczór w niedzielę okradł z całotygodniowego zarobku. Tak więc niecierpliwie oczekiwane święto zamiast zabawy wycisnęło łzy z jéj oczu. Nowela p. n. „Na trzeciém piętrze“ należy do tego samego rodzaju szkiców miejskich. Na wieś przeciwnie przenosimy się przy czytaniu utworów, zatytułowanych: „W wielkiéj własności“ i „Niezdara“. W pierwszéj o zakończeniu, nieco farsy francuskie przypominającém, autor humorystycznie opisuje nieporządki, które prawie zawsze mają miejsce w dobrach, zarządzanych przez oficyalistów, nie czujących nad sobą pańskiego oka. Druga jest opowieścią o chłopie, który zmarniał dlatego, że był za poczciwym, że nie umiał kraść i oszukiwać, jak jego sąsiedzi. „Jeszcze jeden niezdara“ w końcu jest pedagogiczną pogadanką, w beletrystyczne szaty przybrane. Nadmienić nadto należy, że autor wszystkich swych bohaterów, branych z szaréj rzeczywistości, a nie płomienną fantazyą idealizowanych, bohaterów małych i wielkich, ludzi i zwierzęta opisuje z wielką sympatyą i ciepłem, a ciepło to

promieniując, ogrzewa serce czytelnika i budzi w niém litość nad dolą t a k i c h ludzi i t a k i c h zwierząt. Luźne a liczne uwagi osobiste autora, które zawierają dużo trafnych i bystrych myśli, zebranych z życia dziedziny bezpośrednią obserwacyą lub będących streszczeniem poglądów poważnych myślicieli i uczonych, jakkolwiek szkodzą estetycznéj wartości tychże nowel, to natomiast nadają koloryt naukowy i przyczyniają się do spopularyzowania nowszych teoryi filozoficznych. *N.*

═ **Dr. Antoni Okolski. Ustrój państw europejskich i Stanów Zjednoczonych Ameryki północnéj.** *Warszawa, wydawnictwo Spółki nakładowéj, 8°, stron 596.* — Przedstawił p. Okolski w swém dziele ustrój władzy prawodawczéj i wykonawczéj: Anglii, Austro-Węgier, Belgii, Czarnogórza, Danii, Francyi, Grecyi, Hiszpanii, Holandyi, Niemiec, Portugalii, Rosyi z Finlandyą, Rumunii, Serbii, Szwajcaryi, Szwecyi i Norwegii, Turcyi z Bulgaryą, Rumelią i Egiptem, Włoch i Stanów Zjednoczonych Ameryki północnéj. Najwięcéj miejsca poświęcił Anglii (stron 106), Niemcom (274—351) i Stanom Zjednoczonym (520—587); najmniéj, chociaż wystarczająco, Belgii, Czarnogórzu, Danii, Rumunii i Serbii. Nie ograniczając się na stanie rzeczy w czasach obecnych, zarys instytucyi ważniejszych poprzedził autor wywodem historycznym, nie zaniedbał téż, np. z okazyi organizacyi Stanów Zjednoczonych, uwag krytycznych. „Spółka nakładowa", wydając książkę p. Okolskiego, zadość uczyniła istotnéj potrzebie zwłaszcza czytelników gazet, którzy przez nieznajomość ustroju państw współczesnych oryentować się w rzeczach polityki bieżącéj mogli z trudnością. Wykład dogmatyczny p. Okolskiego celowi temu odpowiada zupełnie; szkoda tylko, że pod względem czystości języka tu i owdzie szwankuje. Takich wyrażeń, jak „ścieśnieni" (st. 10) zamiast „ograniczeni", używać niewolno.

═ **Mechanika**, *wykład popularny; tom I: Mechanika teoretyczna* (Warszawa, 1887 i 1888, dotychczas ukazało się zeszytów 10), przez inżyniera *Józefa Łubieńskiego*, wydana przez p. Ignacego Zawiszewskiego. — Mamy tu początek obszernego dzieła, obliczonego według zapowiedzi, na trzy tomy. Przez „mechanikę" autor rozumié zarówno mechanikę teoretyczną, jak teoryą maszyn, niektóre działy nauki o budownictwie i t. d. W tomie I-ym wyłożono podstawowe prawa mechaniki, lecz i praktyczne zastosowania obszerne uwzględnienie znalazły; z tego względu, zarówno jak ze względu na charakter wykładu, byłby dla tego tomu tytuł „mechaniki fizycznéj" od obecnego tytułu „mechaniki teoretycznéj" właściwszym. Mechaniki bowiem właściwéj, często zwanéj analityczną (téj, którą jako całość stworzył Lagrange, a ściśle określił Kirchhoff)—zaledwie po-

czątki, stosownie do założenia autora, mogły zostać podane. Tom I rozpada się na dwa oddziały: *A*. Mechanika ciał stałych, *B*. Mechanika ciał płynnych (powinno być ciekłych) i lotnych. Każdy z tych działów składa się znów z części statycznéj i z części dynamicznéj. Wykład p. Łubieńskiego przeznaczony jest dla rzemieślników, dla techników i t. p. Sumiennym i uważnym czytelnikom może wyświadczyć istotne usługi, gdyż, nie będąc wcale pobieżnym, na miano prawdziwie przystępnego zasługuje. Środki matematyczne, którymi autor posiłkuje się, stanowią elementarne początki geometryi, trygonometryi i algebry. Przykłady i zadania trafnie dobrane. Autorowi należy się szczere uznanie za podjęcie pracy téj niemałéj i pożytecznéj.

= **A. J. Sęk. Nowelle** (Kraków, 1888, Żupański i Heumann, str. 196).—O trzech obrazkach tego młodego autora podało *Ateneum* w roku zeszłym wiadomość; tam też starano się ogólnie scharakteryzować rodzaj talentu nowego debiutanta w dziedzinie powieściopisarstwa. Z trzech owych obrazek jeden („Franek Żołnierzak") został włączony do obecnego zbiorku, zawierającego wogóle 10 utworów. Wszystkie one mówią o szaréj doli ludzkiéj, o nieszczęściach rzeczywistych, wynikających w skutek walki o byt lub tak zwanych zrządzeń losowych, lub też o nieszczęściach, które sobie sami ludzie w duszy własnéj, goniąc za coraz nowemi wrażeniami, gotują. Autor bardzo rzadko zagląda do salonu („Nieszczęśliwi"), niekiedy przypomina sobie stosunki szkolne („Paweł Rydz"), po większéj zaś części przebywa na wsi i przedstawia bałamucenie ludu wiejskiego przez pisarzy gminnych, obiecujących mu nowy podział gruntów („Optymista"), łatwe posądzania biedaków o złe uczynki, gdy w grę zachodzi interes własny lub przesąd („Stróż", „Znachorka"), wybuchy rozdrażnionéj bolesnemi ciosami namiętności („Justysia"), szlachetne i samolubne popędy w stosunku do ideałów, do których prowadzi przykład inteligencyi („Wojtek"), nagle, brutalnie przerwane marzenia powracającego z wojska dziedzica trzymorgowéj kolonii („Dziedzic"), losy nieszczęśliwego sieroty („Stasiek"). Obrazki, kreślone przez Sęka, nie wychodzą z granic prawdy życia realnego i, jak się zdaje, zostały przezeń poczerpnięte z obserwacyi, może niezbyt długiéj i pilnéj, ale bądźcobądź samoistnéj. W tém widzimy właśnie dowód postępu w porównaniu z poprzedniemi, które więcéj ze słyszenia i z książek były brane. W malowaniu ich nie używa autor barw krzyczących, nie posługuje się dowolnie wytworzonemi efektami; proste środki służą mu niekiedy do wywołania pewnego wrażenia; stopień tego wrażenia wielki nie jest i łatwo zatrzéć się może; ale po przeczytaniu każdéj pra-

wie powiastki nie żałuje się téj cząstki czasu, zazwyczaj dziesięciu minut, jakie się na to obróciło. Język czysty poprawny, styl niekiedy obrazowy, a w obrazkach wiejskich dobrze zastosowany do charakteru osób przedstawianych, są niemałą zaletą utworów Sęka, zwłaszcza gdy się zważy zaniedbanie pod tym względem, coraz częściéj u naszych nowellistów napotykane.

= **Goethe w Polsce**, *zestawił bibliograficznie Ludwik Kurtzmann* (Poznań, nakł. L. Rzepeckiego, 1887, str. 12).—Autor wylicza szczegółowo naprzód większe utwory poety niemieckiego, potém poeye drobne tłómaczone na język polski, oraz podaje spis artykułów i rozpraw zarówno o Goethem wogóle jak i o poszczególnych jego utworach. Pożyteczne to jest zestawienie dla każdego, ktoby chciał się u nas zająć śledzeniem wpływu Goethego na naszą literaturę, lub ktoby zamierzał zrobić wybór przekładów na język polski dzieł jego. Szkoda tylko, że autor nie starał się sprawdzić wiadomości, podanych przez innych bibliografów i że nieraz nie podał wydawnictwa, w którém ma się znajdować ten i ów wiersz (str. 11, 12). Wynikły z tego powodu niedokładności lub błędne informacye, jak np. to, jakoby P. Chmielowski pisał o „Kobietach w życiu Goethego“. Czyż tak trudno było dostać poezye Juliana Korsaka, albo postarać się o wypisy z Lwowianina, że autor poprzestał tylko na przytoczeniu wskazówki poczerpniętéj z bibliografii Estreichera.

= **Heinrich Nitschmann als Interpret Mickiewicz'scher Werke.** *Ein Vorzeichniss.... zusammengestellt von Władysław Małukiewicz* (Elbląg, R. Kühn, 1888, str. 25).— Zestawienie przekładów z Mickiewicza i rozbiorów jego poezyj, dokonanych przez p. Nitschmanna, nie było pracą zbyt trudną, gdyż z bardzo drobnemi wyjątkami zawierają się one w 4 zbiorach t. j. w „Der polnische Parnass“, w „Album ausländischer Dichtung“, w „Iris“ i w „Geschichte der polnischen Litteratur“. Potrzeba więc tylko było rozłożyć analitycznie to, co w nich się mieściło. Dokonał tego p. Małukiewicz, obierając sobie porządek abecadłowy, tak że spis zaczyna się od *Ajudah* a kończy się na: *Żegluga*. Ponieważ obok nazw poszczególnych, uwzględniał autor także napisy ogólne, mamy więc tu tę samę wiadomość parokrotnie powtórzoną, mianowicie co do Sonetów Krymskich. Rozbiory utworów Mickiewicza podał Nitschmann w Historyi literatury polskiéj a także w czasopismach niemieckich np. w „Magazin für die Litteratur“. Co do niektórych drobnych wierszy autor nie zadał sobie trudu wskazania, gdzie się one u Mickiewicza znajdują. (Do nieba patrzysz w górę. Cierpi człowiek. Nauką i *pienędzami* (!!) drudzy się zbogacą). Są-to błędy w krytyczném opracowaniu bibliograficznych wiadomości i uniknąć ich było obowiązkiem.

KRONIKA MIESIĘCZNA.

Czy prasa może omawiać sprawę przed wyrokiem?—Polemika pomiędzy „Krajem" a „Gazetą Sądową".—Bajka Krasickiego.—„Najważniejszy przywilej prasy".—Wyłączenie interesowanego obrońcy.—Odpowiedź p. M. K. w „Gazecie Sądowéj".—Wpływ niekompetentnego dziennikarza na kompetentnego sędziego.—Wpływ nieświadomych rzeczy reporterów na wyrok.—Replika i protest „Kraju".—Złudzenia co do dziennikarskiéj bezstronności i przyzwoitości.—Czy można spuścić się na niezachwianą niczém sprawiedliwość sędziego?—Dwa pytania główne co do interwencyi prasy przed wyrokiem.—Czy krzyki dziennikarskie mogą mącić wymiar sprawiedliwości?—Czy kilkomiesięczna wstrzemięźliwość gwałci jaką zasadę i odbiera prasie najświętsze przywileje?—Dlaczego usuwanie przedwczesnéj jawności w prawach kryminalnych nie znamionuje wstecznictwa, a w sprawach cywilnych świadczy o upadku cnót dziedzicznych.—Niewłaściwe rozdzieranie szat nad zdaniem przeciwnika. — *PS.* Drugie zastosowanie metody podrabiania.—Redaktorzy i publicyści tchórzliwsi od niżéj podpisanego.—Wiadomość osobista *ad usum* pisma walczącego dla idei.

Pomiędzy „Krajem" a „Gazetą Sądową" wszczęła się bardzo ciekawa polemika o to, czy prasa ma, czy nie ma moralnego prawa do roztrząsania przed ostatecznym wyrokiem spraw, oddanych na drogę sądową.

Rzecz jest interesująca sama przez się, dotyka istotnych potrzeb ogółu, a rozpatrzenie jéj może wpłynąć bezpośrednio na postępowanie prasy, pośrednio zaś w pewnéj mierze na bieg spraw społeczeństwa. Takie kwestye nie zdarzają się u nas, niestety, co miesiąc. Pożytku z polemiki nie usuwa bynajmniéj ten niezawodny jéj rezultat, że obie spierające się strony pozostaną przy swoich pierwszych twierdzeniach, a sądy opinii rozstrzelą się. Samo już skrystalizowanie się i ostateczne utrwalenie zdań przyniesie korzyść. Dziennikarzom zaś w przyszłości dzisiejszy spór przypominać będzie, że nie wszyscy uważają ich za nieskrępowanych niczém w tych sferach, gdzie nie stoją baryery materyalne. To im się bardzo przyda!

Pośpieszam zabrać głos wprzód, zanim wtrącenie się do polemiki pewnych organów uniemożliwi przyzwoitą dyskusyą.

Głośna sprawa p. Leonarda Siemieńskiego przeciwko p. Gustawowi von Kramsta po wyroku sądu okręgowego w Piotrkowie

przeszła do Izby sądowéj warszawskiéj i w tym czasie, przed wyrokiem, stała się przedmiotem sporu dziennikarskiego. P. Artur Bardzki, adwokat, podniósł ją w „Kraju“, p. Stanisław Kobierzycki pisał o niéj w „Słowie“, a p. Mirosław Dobrzański aż w dwu pismach. Sama zaś redakcya „Kraju“ omawia tę sprawę w 12 N-rze r. b., zastanawia się nad poprzednią polemiką i wypowiada kilka ogólnych uwag o znaczeniu głosów prasy dla wymiaru sprawiedliwości. „Do najpiękniejszych prerogatyw dziennikarstwa—twierdzi „Kraj“—należy interesowanie się sprawami sądowemi bieżącemi: kryminalnemi—po ujawnieniu ich na posiedzeniu sądowém albo w wyroku, cywilnemi—w każdym stanie sprawy: przed wyrokami, po wyrokach, po nabyciu przez wyroki powagi rzeczy osądzonéj“. Kwestya, czy może opinia publiczna zajmować się sprawą, zanim ją sądy ostatecznie rozstrzygnęły, przypomina autorowi z „Kraju“ pytanie z bajki Krasickiego: czy nos dla tabakiery, czy ona dla nosa? Opinia publiczna w każdym wypadku zajmować się będzie sprawami bieżącemi, a możliwość błądzenia wzrośnie, jeżeli zatamowane zostaną najpoważniejsze źrodła informacyi i krytycznego sądu. Chociaż z drugiéj strony dziennikarstwo nie zawsze się przykłada do oświecenia i prostowania opinii publicznéj, bywają wypadki kiedy głos prasy „poprostu bałamuci opinią i na złe drogi kieruje“. Tak w pewnéj mierze stało się—wedle zdania „Kraju“—i w sprawie p. Siemieńskiego.

Tygodnik petersburski uważa daléj, iż temu tylko, kto jest powołanym do sprawy obrońcą, nie wypada być czynnym w téjże sprawie promotorem debatów dziennikarskich. Jemu pozostają inne drogi: proste, bezpośrednie, prawem wytknięte. Kto oprócz tych dróg uciecze się jeszcze do dróg ubocznych, czy to wpływając na sędziów p r y v a t i m, czy téż pisząc artykuły dziennikarskie, podając rzecz sporną mniéj ściśle a nieraz nawet inaczéj, aniżeli się ją przedstawiało sądowi, wpływając po za sądem na opinią, a p r z e z o p i n i ą n a s a m y c h s ę d z i ó w, ten wykracza przeciwko warunkom wszelkiéj porządnéj i ściśle honorowéj walki, przeciwko zasadzie równości broni, ten podobnym jest do pojedynkującego się, który by, potykając się na szpady, użył i szpady i nie umówionego sztyletu, dla tém pewniejszego pokonania przeciwnika. Ale po za tém ograniczeniem, wolno jest—wedle „Kraju“—każdemu zdanie swoje o każdéj sprawie wypowiedziéć publicznie. Debaty w prasie przed wyrokiem „mogą z praktycznym skutkiem przyczynić się do ustanowienia najbardziéj zbliżonego do prawdy wyroku“.

Na ostatnie zdanie uderza p. M. K. w „Gazecie Sądowéj“ (nr. 169). W jaki sposób—zapytuje on—stać się to może? „Kraj“ bliżéj

twierdzenią nie objaśnia, bajka Krasickiego o nosie i tabakierze nic nie rozstrzyga—sens moralny z przytoczenia tego może być taki tylko, że sąd jest dla sprawy, a nie sprawa dla sądu — „ale sprawa nie jest bynajmniéj dla opinii publicznéj, tylko dla oddania każdemu co mu się należy.“ Rozumowanie „Gazety Sądowéj“ ma na celu wykazać, iż dziennikarskie rozprawy do wymiaru sprawiedliwości przyczynić się nie mogą. Publicysta niekompetentny światłéj rady sądowi kompetentnemu udzielić nie może. Chociażby publicystą był prawnik z wykształcenia i z zajęcia, to i tak (jeżeli nie jest obrońcą danéj sprawy), jest mniéj kompetentnym niż sąd, gdyż nie rozporządza całym materyałem faktycznym, przez obie strony do sprawy zebranym. Prasa, omawiając sprawę, wprowadza do dyskusyi rzeczy, które na wyrok wpływu miéć nie powinny, a które gmatwają, mącą sprawę, mogą uprzedzić sędziego nieprzychylnie do jednéj strony. W danym wypadku np. podniesiono okoliczność, iż Kramsta rabuje majątek, rozbudzano międzynarodowe niesnaski, wyzyskiwano nienawiść rasową. Do tego należy dodać, iż dziennikarz zwykle trudniéj utrzymać się może na bezstronném stanowisku i chętniéj oprze się, aby być przez ogół zrozumianym i popartym, na zawodném poczuciu słuszności, niż na paragrafie prawa obowiązującego, który jedynie w każdym sporze cywilnym przed sądem rozstrzygać powinien. Rozbiór sprawy po wyroku, szczególniéj w pismach specyalnych, ma już charakter inny i jest pożytecznym.

W nr. 19 „Kraj“ nie tylko odpowiada na poglądy „Gazety Sądowéj“, lecz nawet „przeciwko nim protestuje najenergiczniéj.“ Postaramy się znowu streścić, jak zdołamy najdokładniéj, wywody „Kraju“. W uregulowanych społeczeństwach sąd jest jedynym prawnym i pożądanym pokojodawcą i rozjemcą pomiędzy obywatelami. Ale sąd to misterna tabakiera, a tabakiera istnieje dla nosa, a nos ten, to społeczeństwo, to ja i ty i oni, to każdy. Wyrok sądowy jest kawałkiem stosunków społecznych, przez sumienie sędziego przefiltrowanym i odpowiednio do filtru załatwionym. Materyalny rezultat sprawy dotyka tylko stronę, ale właściwości tego filtru obchodzą ogół cały, a opinia ogółu, to w życiu zbiorowém czynnik niesłychanie ważny. Rezultatów wyroku opinia nie powstrzyma, ani nie zmieni, ale zasady wymiaru sprawiedliwości powinna miéć nieustannie na oku, powinna je kontrolować, krytykować, sądzić. Krzywda, wyrządzona komu innemu, powinna mnie, jako członka społeczeństwa, boléć i obchodzić. Z tych powodów wysnuwa „Kraj“ wniosek, iż nie można zabraniać nikomu (prócz obrońcy, powołanego do sprawy) opiniowania o każdéj sprawie cywilnéj w każdym momencie jéj rozwoju.

Prócz tych racyi zasadniczych „Kraj“ powołuje się i na praktyczne względy, czyniące pożądaném mieszanie się prasy do spraw nieosądzonych. Ust ludzkich nikt na kłódkę zamknąć nie zdoła, osoby bliżéj i daléj interesowane będą gadać o tém, co je boli, będą podsuwać dyskusyi publicznéj wszelkie sprawy, będą z niemi łączyć okoliczności, do rzeczy nienależące, a dla wymiaru sprawiedliwości szkodliwe. By spór uogólnić, by go podnieść na podnioślejsze stanowisko, by rzecz wyjaśnić i postawić w świetle beznamiętném,— koniecznym jest współudział prasy, zwłaszcza takiéj, która rozmyślnie unika głosów osób, bezpośrednio w prawnym sporze udział biorących.

Uzasadniwszy w ten sposób pierwotne swoje zdanie, „Kraj“ protestuje daléj przeciwko uwadze „Gazety Sądowéj“, iż krytyka po wyroku szczególniéj w pismach specyalnych jest pożądaną. Artykuł w piśmie ogólném może pochodzić od specyalisty, specyalność pisma nie jest rękojmią gruntowności prac w niém pomieszczonych. „Całe zaś rozumowanie trąci średniowiekową kastowością, osnute jest na presumpcyach o cnotach stanowych, o tém, że ksiądz z powołania jest bogobojny i pobożny, sędzia z powołania człek rozumny i rzetelny“ i t. d. Artykuł swój kończy „Kraj“ pewnego rodzaju lamentem nad upadkiem cnoty społecznéj, jakiego dała dowód „Gazeta Sądowa“: „Byliśmy niegdyś społeczeństwem o życiu publiczném szeroko rozwiniętém, zakochaném w jawności, krytykującém bez żadnego względu nietylko nasze własne sądy ale i rządy. Niewątpliwie, żeśmy nadmiarem téj wolności zgrzészyli, — wszakże w sposobie myślenia, w przyzwyczajeniach, w krwi nawet saméj powinno by coś zostać z tych przez długie dzieje wyrabianych pierwiastków. A oto organ tego społeczeństwa proponuje nam dzisiaj nietylko wstrzemięźliwość, ale rodzaj dobrowolnego postu w sprawach publicznych, niezaprzeczenie ogół obchodzących...“

Pomimo tego zakończenia i pomimo początku, gdzie zdanie „Gazety Sądowéj“ nazwane zostało oryginalném i niespodziewaném, wyznać muszę, że zdanie to w zupełności podzielam.

Naprzód chodzi nie o post w sprawach publicznych, nie o zamykanie ust w rzeczach ogół obchodzących, nie o powstrzymywanie się od krytyki i kontroli nad sądami i wyrokami, lecz o czas, w którym krytyka, nie szkodząc wymiarowi sprawiedliwości, może być najskuteczniejszą.

„Gazeta Sądowa“ w odpowiedzi swojéj ujęła jądro kwestyi, od przedmiotu nie odchyliła się ani razu, i argumenty swoje, jak dobry łucznik strzały, kierowała wprost do celu. „Kraj“ walczy ogól-

nikami. Mówi o potrzebach społeczeństwa, o prawach i roli opinii. Na wszystko to się zgodzić można, nawet trzeba, ale saméj rzeczy prawdy te niemal nie dotykają. Już z tego stosunku obu pism do kwestyi spornéj wywnioskować można, które ma racyą. Ogólnikiem wojuje szermierz pióra wtedy tylko, jeśli broni sprawy nie do wygrania. Ogólnik jest jak tarcza, którą można zasłonić się w odwrocie, ale pokonać przeciwnika niepodobna. Po téj uwadze, sprawiedliwość każe mi dodać, że pomimo tego pojedyńczego wypadku „Kraj“ mniéj niż inne pisma trzyma się ogólników i zwykle nie nadużywa doktrynerskich formułek. Krytyka prasy jest zbawienną, bez niéj grozi każdéj instytucyi zepsucie i upadek—słuszna; czy jednak stąd wynika, że ma się ona dokonywać p r z e d w y r o k i e m? To p r z e d w y r o k i e m jest jądrem kwestyi i spuszczać go z oka nie należy. Przytém powstrzymywać prasę od zabierania głosu w jakiéjś chwili powinien nie zakaz, lecz obyczaj i uświęcona nim etyka dziennikarska.

Przedstawiciele obu spornych zdań na pewne wspólne punkty zgodzić się muszą i zgadzają. Prawidłowy wymiar sprawiedliwości jest tak zasadniczym warunkiem pomyślności społecznéj, iż mącić go nie powinny żadne względy d r u g o r z ę d n e. Chodzić tylko może o to, czy wzgląd, o którym w danym wypadku mowa, jest drugorzędny, czy też równoważny z wymiarem sprawiedliwości. Powtóre, wyrok w sprawie cywilnéj (o te wyłącznie toczy się polemika) zasadzać się winien j e d y n i e i w y ł ą c z n i e na paragrafach prawa obowiązującego, niezależnie od słusznych czy niesłusznych pojęć ogółu lub nawet nauki danéj chwili o sprawiedliwości, gdyż inaczéj żaden obywatel nie wiedziałby, na czém oprzéć swoje postępowanie w sprawach majątkowych, wszelkie prawidłowe stosunki ustąpić by musiały miejsca chaosowi, nikt nie byłby pewnym, czy umowa dziś zawarta nie pozbawi go za lat kilka mienia, jeżeli o niéj wyrokować będzie inny sąd przy innych warunkach. Zasady stosunków prawnych powinny być trwałe i nieugięte.

Przyjąwszy te podstawy dla rozstrzygnięcia kwestyi, musimy rozważyć, czy wtrącanie się dzienników do sprawy p r z e d w y r o k i e m jest w stanie zakłócić wymiar sprawiedliwości, czy nie?—a następnie, jeśli pierwsze przypuszczenie okaże się słuszném, czy przywiléj zabierania głosu przez prasę w sprawach cywilnych w każdym momencie ich przebiegu jest istotnie przywilejem tak ważnym, żeby dlań poświęcić prawidłowy wymiar sprawiedliwości.

Przytoczyliśmy już dowodzenie „Gazety Sądowéj“, dla czego uważa ona głosy dzienników o sprawie przed wyrokiem za szkodliwe. Powtarzać ich tu nie będziemy. „Kraj“ w drugim swoim wy-

stąpieniu powiada: „Artykuły dziennikarskie, przedmiotowo rzecz traktujące i w tonie bezstronności utrzymane, nie będą wywierały nacisku na sędziów, ale mogą mieć informacyjne znaczenie, nawet dla sędziów skuteczne i pożyteczne. Zły to sędzia, który powoduje się opinią publiczną, daje się jéj pociągnąć“ i t. d. Pomimo takich ogólników, „Kraj“ o kilka wierszy niżéj drwi „z presumpcyi na cnotach stanowych, o tém, że ksiądz jest z powołania bogobojny i pobożny.“ Nie można w żaden sposób wyprowadzać wniosków co do postępowania praktycznego na dziś, opierając się na warunkach, jakie być powinny. Cóż z pobożnych westchnień za beznamiętnymi i przedmiotowymi artykułami, kiedy one takimi zwykle nie są i być nie mogą? Co z ogólnika: zły to sędzia, na którego działają wpływy uboczne, kiedy sędzia jest dzieckiem ziemi, jest istotą słabą, ułomną, jak wszyszyscy ludzie. Sędzią może być każdy kandydat prawa, który przesłużył odpowiednią ilość lat, przeszedł pewne szczeble, nie był kryminalnie i dyscyplinarnie karany; z charakteru, z wrażliwości umysłu, z odwagi cywilnéj egzaminu się nie zdaje. Sędzia powinien być sprawiedliwym i nieugiętym, ale jest—człowiekiem.

Z wyżéj przytoczonego zdania można zdaje się wyciągnąć wniosek, iż „Kraj“ porzucił pierwotne swoje twierdzenie, które wywołało artykuł „Gazety Sądowéj“: opinia publiczna jest w stanie przyczynić się do ustanowienia najbardziéj zbliżonego do prawdy wyroku. W drugim artykule tygodnik petersburski uważa już głosy prasy za obojętne co do wpływu na treść wyroku, i widzi w nich tylko źródło informacyi dla sądu w pewnych wypadkach. Może— i wyobraźnia ludzka i rzeczywistość są tak płodne, tak pełne rozmaitości, tyle mogą stworzyć dziwacznych niespodzianek, że rzadko tylko kiedy da się twierdzić z pewnością, iż jakiś wypadek jest niemożliwy. Trudno jednak doprawdy wyobrazić sobie, w jaki sposób w sporze cywilnym dziennikarz może być dla sądu obfitszém źródłem informacyi niż same strony interesowane, znające swoje sprawy i zasady swoich praw i pretensyi. Każdy wypadkowy posiadacz jakichś tajemnic może równie łatwo odszukać powoda lub pozwanego, jak lokal redakcyi dziennika, a świadectwo jego nabierze wartości tylko przed kratkami sądowemi. W wypadkach zwyczajnych, w tych sprawach, które stanowią większość ogromną, dla których też prawidła stanowić należy, głos prasy przed wyrokiem korzyści żadnéj przynieść nigdy nie zdoła, szkodzić zaś będzie w wielkiéj liczbie wypadków. O sprawie szaréj, nic budzącéj sporów i namiętności, dziennikarz pisać nie zechce, podniesie on tylko spór sensacyjny, który budzi już lub obudzi wrzawę.

Czy można spuścić się na to, iż głos prasy będzie beznamiętny, bezstronny, godziwy, odpowiadający stanowisku kierowniczki opinii? Trzeba mieć wszystkie zmysły zamknięte dla świata zewnętrznego, albo tonąć w różowych złudzeniach, żeby coś podobnego przypuszczać. Choćby nawet pierwsze słowo wypowiedział skrupulatny i ostrożny znawca, w téj chwili ozwie się chór rzeszy reporterskiéj, żądnéj sensacyjnych wieści dla wiecznie łaknącéj ciekawości tłumów. Ta rzesza rachuje się z ilością wierszy jedynie lub głównie. Podane przez nią wieści, fakty w 999 wypadkach na 1000 bywają fałszywe, wnioski nie opierają się na jakiémś głębszém poczuciu słuszności, nie mówiąc już o paragrafach prawa; im starczy pierwszy pomysł niewybrednego natchnienia, pierwszy dowcip, jaki się do głowy przybłąka. Znamy to wszyscy. Czy można mieć nadzieję, że stosunki te zmienią się na lepsze w blizkiéj przyszłości? W żaden sposób. Niegdyś zawód literacki był posłannictwem, przynajmniéj łudzić się można tém było, dziś jest on w znacznéj części jawnie sposobem zarobkowania. Otworzyło się pole, dające chleb, i ruszyły na nie zastępy, niemogące znaleść go gdzieindziéj. Dawniéj młodzieniec zbyt skromnie uposażony w zdolności, aby mógł szkoły skończyć, szedł na księdza, dziś ma otwartą drogę do innego rodzaju kapłaństwa. Wszelka więc rachuba na powagę, bezstronność, kompetencyą ze strony prasy, a daléj budowanie na téj podstawie wniosków i postulatów jest złudzeniem. „Kraj“ nie zaprzeczy chyba, że w dziennikarstwie naszém nie trudno natrafić na artykuły, od których włosy na głowie powstają. Pomijając zresztą brak kwalifikacyi moralnych i umysłowych, pozostanie zawsze u ogromnéj większości publicystów, przemawiających o wszystkiém, brak wiadomości fachowych. Kodeks, to wyraz doświadczenia narodu danego i narodów innych przez ciąg wieków całych. Logika nasza nie zawsze odpowiada rzeczywistości, pokolenia całe, słuchając jedynie rozsądku własnego, parzyły się, jak dzieci nieznające własności ognia. Ciężkie próby nauczyły pewnych prawd, których nieraz abstrakcyjnie dostatecznie uzasadnić się nie da. Kto nie zna tych dziejów, ten nie domyśla się tysiąca względów praktycznych, niewidzialnych uprzednio, a wytryskujących niespodzianie, gdy jeden z nich nieumiejętnie potrącony został, ten powtórzy stary błąd zbytniego zaufania do czystéj logiki. Ta misterna tabakierka — używając wyrażenia „Kraju“ — jest tak misterną, że jéj budowy, jéj użyteczności nie rozumié niejeden patentowany prawnik, niejeden sędzia, jeżeli po wyjściu ze szkoły nie badał i nie myślał, nie pracował, nie przeniknął widoków prawodawcy i ducha kodeksu, lecz tylko czekał awansu za formalne

spełnianie czynności. Nawet fachowy prawnik łatwo zbłądzić może i da się uwieść mylnemu rozumowaniu. Dla dziennikarza zaś przeciętnego, dla ogółu mądrość doświadczenia społecznego, zawarta w kodeksie, jest martwą literą, jest częstokroć śmieszną formalnością, któréj nawet porównywać się nie godzi z żywym poczuciem słuszności, drgającém w sumieniu.

Czy przemówienia dziennikarskie wpłynąć mogą na treść wyroku? Naturalnie mogą. Pokątne gadania osób interesowanych nigdy tak nie rozbujają, nie rozpalą opinii, jak drukowane artykuły w wielu dziennikach naraz. Wpływowi zaś zaniepokojonéj, rozdrażnionéj, nietolerancyjnéj i despotycznéj opinii otoczenia rzadki tylko człowiek oprzéć się zdoła, niezależnie od zajmowanego stanowiska. Słabszego umysłem zdanie panujące w tłumie porwie i przekona, słabszego charakterem—przestraszy i nagnie. Nietylko sędziów, mianowanych na te stanowiska z kolei służbowéj, lecz wybieranych prawodawców głos tłumu, wola ulicy i galeryi zastraszała, podbijała, kierowała nimi jak posłusznemi narzędziami. Na wielką skalę działo się to na posiedzeniach izb podczas Wielkiéj Rewolucyi, na małą powtarza się wciąż: we Francyi, we Włoszech, w Anglii. Roztropność więc nakazuje chronić sędziów od demoralizujących wpływów.

Zresztą „Kraj“ sam widzi możność szkodliwego wpływu poruszania sprawy po za sądem w tym wypadku, jeżeli poruszającym jest obrońca jednéj ze stron. Porównywa w takim razie nasz tygodnik obrońcę tego do szermierza, który w pojedynku oprócz szpady używa podstępnie sztyletu. Więc obrońca może przy pomocy dzienników szkodzić, a czy zupełnie tegoż samego nie potrafi zrobić przyjaciel obrońcy, albo zupełnie obcy człowiek, dziennikarz, któremu do głowy przyjdzie odpowiedni koncept. Jak tylko możność szkodzenia jest, to może ona przytrafić się w każdym przypadku. Dla wymiaru sprawiedliwości, dla strony przeciwnéj, dla dobra społecznego jest rzeczą zupełnie obojętną, kto użyje sztyletu, czy ten, co trzyma szpadę w ręku, czy jego sekundant, czy wreszcie pierwszy lepszy przechodzień. Baryery żadnéj postawić nikt nie potrafi, sam piszący nie jest w stanie powiedzieć, czy jego słowo będzie tym beznamiętnym, pomocniczym czynnikiem, czy téż podziała ujemnie; dla nadużycia otwiera się pole szerokie. O wiele lepiéj i bezpieczniéj zapobiegać szkodzie przez ogólne, bezwzględne prawidło, nie będzie ono nigdy stanowczą przeszkodą, ale rolę poważnego hamulca odegra.

Ależ zarzuci kto, że odbierze się prasie, a przez nią opinii tak poważny przywiléj, że dlań warto poświęcić nawet prawidłowy bieg

sprawiedliwości. Jeżeli odsuniemy na bok frazesy o wszechwładztwie opinii, o nieomylności zbiorowego sumienia, a liczyć się będziemy z dobrem społecznem jedynie, to musimy przyznać że powstrzymanie się przez kilka tygodni lub miesięcy od zabrania głosu w jakiéjś sprawie nic a nic nie zaszkodzi kontroli i krytyce organów życia publicznego, lecz przeciwnie—pomoże. Jeżeli jakaś sprawa wykazała błąd lub niedostateczność prawodawstwa, lub mylne takowego pojmowanie, to o wiele skuteczniéj jest ścigać, wykrywać i karcić je po wyroku, kiedy interes materyalny znika, a pozostaje czysto prawne lub społeczne zagadnienie. Jesteśmy najmocniéj przekonani, że szanowni autorowie artykułów o sprawie Siemieński-Kramsta kierowali się względami jak najbardziéj obywatelskimi, ale w iluż wypadkach reporterzy będą alarmować publiczność sensacyjnymi opisami drażliwych procesów przed wyrokiem, powodowani chęcią wyprzedzenia współzawodników i przypodobania się czytelnikom. Dla zapobieżenia temu warto uzbroić się w cierpliwość na czas jakiś. Nie stracą na tém ani przywileje prasy, ani dobro społeczne, ani wartość sądownictwa. Jedyną ofiarą będzie ciekawość jakiegoś jednego i drugiego filistra, potrzebującego po obiedzie nowinek, i gorączka ludzi gwałtownych. Ogół ma prawo i potrzebę czujnego pilnowania czystości filtra, przez który przepływają sprawy społeczne, ale dla pośpiechu w wykonaniu tego zadania niepowinien sam psuć tych filtrów.

Według mego więc widzenia rzeczy, rozumowania i wnioski prasy o sprawie przed jéj zakończeniem rzadko kiedy mogą być słuszne, a zawsze prawie bywają szkodliwe. Wstrzymanie się z wypowiedzeniem swego zdania, zanim wyrok zapadnie, nie pogwałci żadnéj zasady, a przyniesie realną korzyść. Z tych powodów oświadczam się za utrzymaniem w etyce dziennikarskiéj dotychczasowéj zasady nie interwencyi.

Jak widzieliśmy, „Kraj“ inną zalecił taktykę w sprawach kryminalnych, inną w cywilnych. Dla czego? Wszystkie ogólne wywody jego o tabakierze i nosie, o filtrach, o potrzebie odczuwania cudzéj krzywdy stosują jednakowo w obu wypadkach. Przytém w sprawach kryminalnych zadanie sędziego różni się cokolwiek od roli jego w sprawach cywilnych: w sprawach kryminalnych rozstrzygają dziś na całym świecie ucywilizowanym nie pełnomocnicy władzy i rządu, lecz przedstawiciele bezpośredni społeczeństwa, którzy mają wyrokować wedle sumienia wyłącznie: na ich zdanie wpływ pojęć i dążeń ogółu byłby zupełnie legalnym. „Kraj“ uznaje jednak za niewłaściwe pisanie o sprawach kryminalnych przed wyrokiem. Mogą więc być i są względy, dla których godzi się i należy poświęcić bez-

względność zasady jawności. Skąd tedy powód do lamentu nad upadkiem społecznym i moralnym, gdy ktoś toż samo wyrozumował sobie, słusznie czy niesłusznie, w zastosowaniu do spraw cywilnych? Zwracamy na to uwagę, bo podobne zwroty powinny być z polemiki raz już wyrugowane jako szkodliwe. Jużciż nie zachęci to mnie do otwartego wypowiadania swych zdań, jeżeli ktoś rozdzierać będzie nad niemi szaty z boleścią, widzieć w nich jakiś ruch wsteczny, zanikanie cnót, przez ojców przekazanych itd. Ja wypowiadam swoje poglądy, wspieram je jak mogę argumentami, przytaczam fakty, gromadzę cytaty powag uczonych, ty je zbijaj, jeżeli są fałszywe, ale nie egzorcyzmuj ich jakiemiś wątpliwemi świętościami tradycyi lub postępu, nie szafuj kwalifikacyami moralnemi. Jeżeli zaś twierdzenia moje są słuszne, nic im nie zaszkodzi sprzeczność z żadną prawomyślnością lub z ogólnikowymi postulatami liberalizmu. W ten sposób można zdepopularyzować autora, ale nie można przyczynić się do rozjaśnienia sprawy. Godzi się w ostateczności uważać zdanie swoje za jedynie słuszne, ale nie powinno się ogłaszać go za jedynie uczciwe, lub jedynie nieuchybiające przeszłości, pamięci przodków lub czémuś podobnému. *Ludwik Straszewicz.*

P. S. Dwa miesiące temu zwróciłem uwagę na nową metodę polemiczną, wprowadzoną wtedy mianowicie do nas przez „Głos“, a opartą na podrabianiu faktów. Odpowiedziano mi na to, że obiecujących publicystów do przekręcenia prawdy skłoniły względy gramatyczne. Obecnie szanowny ten organ, „poświęcony nie osobistym celom współpracowników, lecz rozwojowi przewodniéj idei, pod godłem któréj powstał“—jak się zdziwiony czytelnik ze wstępnego artykułu w nrze 21 dowiaduje—poraz drugi uciekł się do podobnéj taktyki względem mnie. Nie ma, literalnie nie ma „Kroniki“, po któréj nie stałbym się przedmiotem napaści tego pisma bez skrupułów, a każda, znowu literalnie każda, napaść opiera się na fałszu, na przekręceniu prawdy. Nie walczę przeciwko „przewodniéj idei „Głosu“, a przynajmniéj idea ta ma bardziéj stanowczych przeciwników, na których jednak tak czujnie nie czatują bohaterscy redaktorowie i nie skalpują ich tak nieustannie nożem insynuacyi i potwarzy. O, „Głos“ nie jest poświęcony zadowoleniu osobistych spraw współpracowników!

Korzystając z lutowéj kroniki mojéj, „Głos“ pośpieszył puścić w świat insynuacyą, iż obawiam się obicia jak p. Masłowski ze Lwowa, którego to spotkało „za obrazę uczuć narodowych“. Osobista moja interwencya i groźba zmusiła w końcu redaktora do odwołania kalumnii, chociaż początkowo wykręcał się i przyrzeczenia

nie dotrzymał. Obecnie, ta odwołana raz insynuacya powtórzoną została znowu.

Jestto najzupełniéj godne „Głosu“ i charakteryzuje jego pojęcia o delikatności i o szlachetności walki. Była chwila,—nie tak dawno, żeby o niéj zapomnieć było łatwo,—kiedy mogąc się pomścić na redaktorze „Głosu“ w sposób, któryby najuczciwszego człowieka zadowolnił, a najbardziéj honorowemu nie przyniósłby żadnéj ujmy,—spuściłem podniesioną rękę i dobrowolnie wszelkiéj pomsty się zrzekłem. Tém ułaskawieniem p. Potocki był tak wzruszony, iż oświadczył głośno, co w protokule czterech świadków podpisami stwierdziło, że jest moim moralnym dłużnikiem. Żaden honorowy człowiek po takiém zajściu nowéj zniewagi dopuścić się nie powinien. Przez dwa tygodnie tylko łudzić się mogłem, że wolny będę na przyszłość od napaści. P. Potocki w ten sposób dług spłacał, że w piśmie przez siebie podpisywaném, nieustannie ścigał lub pozwalał innym w bezimiennych artykułach ścigać mnie najrozmaitszemi krzywdzącemi oskarżeniami.

Sądzę, iż miałem prawo okoliczność tę ujawnić, będąc wciąż przedmiotem najdotkliwszych pomówień, które co tydzień powtarzane, mogłyby u tego lub owego czytelnika „Głosu“ znaleść choć w części wiarę. Od napaści ludzi, którzy tak postępują, inaczéj bronić się nie mogę, a bronić dobréj sławy muszę. Jestto zresztą jeden drobny epizod ze stosunków moich z redaktorami „Głosu“.

Ustęp z powtórzoną insynuacyą tak brzmi: „p. L. Straszewicz, który ongi pobicie Masłowskiego potępiał — w ostatnim zeszycie „Ateneum“ opowiada cierpliwym (1) czytelnikom tego pisma o prześladowaniach, na jakie jest narażony i woła patetycznie: boję się, wyznaję, że się boję“.

Jest to insynuacya najzupełniéj fałszywa. Na żadne prześladowanie narażony nie jestem, na żadne się téż nie skarżyłem Wymysł to najczystszy „Głosu“. Mówiłem o niewłaściwym stosunku prasy do zajść ulicznych, zrobiłem przytém uwagę, iż złe świadectwo wydaje o sobie człowiek, który w intencyach bliźniego dopatruje jedynie pobudek osobistych. Wyrwane ze środka słowa „Głos“ samowolnie sprzągł ze sprawą Masłowskiego, aby utworzyć insynuacyą, a mowa była o bójce ulicznéj malarza z krytykiem w Warszawie. Sens przytoczonych przez „Głos“ słów moich był taki: wszyscy ludzie boją się psa wściekłego—dowodem entuzyazm dla Pasteura—i ja się go boję; wszyscy ludzie boją się napastników—dowodem obec-

(1) Złośliwe to słówko, mające docląć „Ateneum,“ jest bardzo w „Głosie“ na miejscu. Każdy swoje zajęcie i przedmioty go obchodzące, swój sposób mówienia nareszcie uważa za najbardziéj zajmujące. „Ateneum“ zaś skandalu nie uprawia. Kto przywykł do palącéj gorzałki ten smaku nie znajdzie ani w mleku, ani w winie, ani w żadnym pożywnym napoju.

ność policyantów na ulicach—i ja się ich boję. W twierdzeniu mojem o „w s z y s t k i c h l u d z i a c h“ objęci byli, przyznaję, i redaktorowie „Głosu“. Wtedy już wiedziałem i wyraziłem to, iż z tych słów moich pomysłowi i szlachetni kapłani pewnych opinii ukują zarzut: „jest to zbyt łatwy, zbyt tani dowcip,—mówiłem wtedy—aby ktoś nie uległ pokusie popisania się nim“. A kto bardziéj niż „Głos“ popisuje się takim dowcipem, toż to najmilsze dlań zadanie.

Poznawszy szlachetność taktyki „Głosu“, przeczytajmy jego wstępny artykuł w tym samym numerze. „Milczeliśmy długo!... (co za lekceważenie pamięci i zmysłu krytycznego czytelników)! Rozgrzebywać cuchnące błoto oszczerstwa, plenić bujnie rozrosłe zielsko fałszu i kłamstwa, uważaliśmy za zbyt wstrętne zadanie.. A zielska było co nie miara; błoto z każdym dniem niemal pogłębiało się, wydając coraz obfitszą ilość miazmatów“... „Tu właśnie szerokie szranki dla bojowników fałszu i oszczerstwa, tu kram olbrzymi dla frymarku dobrą sławą nieprzyjaciela, tu rola żyzna dla rozrostu jezuickiéj teoryi środka i celu“!..

Ale „Głos“ mówi to nie o sobie, jak by mniemać należało, nie bije się przytém w piersi. A więc miazmaty plenić się będą i zakażać powietrze nadal. Obok tego jestto dowód... odwagi. Odwagą jest także utyskiwanie w „Głosie“ na p l o t k ę. Wszak to obecnego redaktora „Głosu“ wezwano parę lat temu publicznie, aby stwierdził zrobioną przez siebie plotkę, mającą na celu poróżnić trzech ludzi.

Odważni redaktorowie pisma bez moralnych skrupułów zapewne pragnęli wycieczką swoją poderwać na wieki reputacyę, mojéj śmiałości. Ach, mogę im zrobić jeszcze raz satysfakcyą i powtórzyć: boję się, wyznaję, że się boję i psa wściekłego i napastników ulicznych. Pocieszam się tém, że są publicyści i redaktorowie bardziéj trwożliwi odemnie. Ja zawsze występuje z otwartą przyłbicą, artykuły moje podpisuję i gotów jestem dać za nie wszelką satysfakcyą. Są odważni literaci, którzy spotwarzają ludzi bezimiennie, są redaktorowie, którzy naciśnięci za artykuł w piśmie, przez siebie podpisywaném, kryją się za zbiorowość komitetu. Za tchórzliwszych od siebie uważam napastników, którzy przy pomocy spólnika sprowadzają napadniętego w zasadzkę i uderzają niespodzianie, a późniéj przerażeni dają się rozbroić. Za tchórzów uważam rycerzy, pnących się do spadku po bohaterach, którzy w większéj liczbie napadają na ofiarę i ratują się pośpieszną i sromotną ucieczką, kiedy się okazało, że ofiara nie jest bezbronną.

Tak, ja się boję napastników, jednak mam odwagę zawiadomić redakcyę „Głosu“ i jéj bojowników, że chodzę bez laski i rewolweru w kieszeni nie noszę. *L. S.*

Bank ziemski.—Bank włościański w Królestwie.—Prawo o ochronie lasów.—Ustawa o szkołach rzemieślniczych.—Cyrkularz szkolny. — Odpowiedź p. Posłowi „Prawdy.“

W prasie naszéj spotykaliśmy wiele utyskiwań na kierowników banku ziemskiego w Poznaniu. Jużci instytucya ta zbyt słabe daje znaki życia, a raczéj — jak dotąd — wegetacyi tylko. Czy jednak kierowników banku potępiać za to można? Przedewszystkiém widzieliśmy chyba od początku, w jakie ręce powierzonym został ster sprawy. Sterownicy ci, to dobrzy obywatele kraju, ludzie poważni i poważani, ludzie znani z trzeźwego rozsądku, z silnego poczucia obowiązków względem kraju, lecz wcale nie finansiści. Akcyonaryusze banku wybrali takich, nie zaś innych przedstawicieli dla tego, że im więcéj chodziło o cele ogólne niż osobiste, więcéj o obywatelskie, niż o ekonomiczne, więcéj o korzyść społeczną niż o spekulacyą, — że więc raczéj godzili się z myślą poniesienia pewnych strat materyalnych, niż z niebezpieczeństwem skrzywienia charakteru instytucyi.

Skoro myśl banku z takich powstała pobudek i skoro tacy wybrani zostali kierownicy sprawy, to nie należy ani dziwić się niepraktyczności bankierskiéj tych ostatnich, ani wymagać od nich tego, czego oni dać nie są w stanie. Przysłowie powiada, że najpiękniejsza kobiéta nie może ofiarować nic nad to, co ma. Zamiast więc wyrzekać, że dyrektorowie, na podobieństwo cudownego daru języków, udzielonego apostołom, nie otrzymali nagle rutyny bankierskiéj, czy nie praktyczniéj byłoby dopełnić skład rady banku elementem w sprawach ekonomicznych doświadczonym, nie usuwając jednak i elementu dotychczas rządzącego. Zresztą nie sami tylko członkowie zarządu, ale i wszyscy akcyonaryusze mogą i powinni do energiczniejszéj działalności banku się przyczynić. W pewnym stopniu może dodać bodźca i prasa, jako przedstawicielka opinii publicznéj. Nie wyrzekaniem jednak, lecz postawieniem pozytywnego programu, następnie zaś popieraniem go usilném da się osiągnąć cel pożądany. Tymczasem dość długo, oprócz wyrzekań na bank poznański nic więcéj wśród publiczności naszéj nie słyszeliśmy. Wyrzekania te tak były głośne, że dały nawet powód do robionych po cichu uwag, iż wyrzekający dla tego głoszą zarzuty co do bezczynności banku, żeby się uwolnić od przyłożenia ręki lub worka ku podtrzymaniu instytucyi. Zarzut ten jednak jest wogóle insynuacyą niczém niedowiedzioną, a w szczególności żadnym już sposobem nie daje się zastosować ani do tych, którzy pewne wkłady, czasem nawet znaczne, złożyli, ani téż do tych, od których nikt podobnych ofiar żądać by nie mógł, z uwagi na niemożność ich w téj mierze.

A jednak wyrzekali i tacy, bo wyrzekanie leży w naturze ludzi niezaradnych, za jakich nas, Polaków, najczęściej uważają. Na szczęście w ostatnich czasach spostrzegamy początek zwrotu ku lepszemu. Zamiast bezradnych wyrzekań, postawiony został program pozytywny. Wytycznymi punktami tego programu są: 1) oznaczenie takiéj sumy na kapitał zakładowy, któréj zebranie będzie możliwém, a nawet jest już prawie faktem dokonanym; 2) usunięcie różnostronnych operacyi, nie prowadzących do głównego celu, t. j. obrony ziemi przeciw zniemczeniu i sprowadzenie całéj działalności do czynności jednéj, lecz za to najskuteczniejszéj, a mianowicie do parcelacyi.

Podobno na taką poprawkę programu działalności bankowéj wpłynął znacznie nacisk akcyonaryuszów z po za obrębu księstwa Poznańskiego. Zkądkolwiek myśl zmiany wypłynęła, powitać ją należy z zadowoleniem, jako bardzo pomyślną pod względem i negatywnym i pozytywnym. Pod względem negatywnym dla tego, że chroni od niebezpieczeństw, jakie bankowi grozić mogły, od zbyt kosztownéj administracyi, od omyłek dyrekcyi niefachowéj w sprawach bankierskich i od rozpłynięcia się kapitałów na przedłużenie chwilowe egzystencyi zrujnowanych przedstawicieli posiadłości większéj. Muszę się zastrzedz, że żadne z tych niebezpieczeństw dotąd faktycznie bankowi nie groziło: wydatki administracyjne były prawie żadne, omyłek w operacyach finansowych nie popełniono i pożyczek bankrutującym, a mającym ochotę jechać do Monaco właścicielom nie dawano. Było tak dla téj prostéj przyczyny, że... bank nie funkcyonował wcale. Znamy wprawdzie i tego rodzaju wypadki, gdzie fundusz instytucyi został rozdrapany, zanim instytucya funkcyonować zaczęła. Cóżkolwiekbądź dochodziły nas wieści, że wielu możnych.... wpływami właścicieli ziemskich w Poznańskiém starało się skierować wodę na swój młyn i zrobić go źródłem pożyczek na wieczne nieoddanie. Dla tego téż za niezaprzeczoną zasługę osób do zarządu banku wchodzących musimy uważać, że nie mogąc nic zrobić dodatniego, ochraniają przynajmniéj fundusze bankowe od rezultatów ujemnych. Czy jednak podobna obrona dałaby się skutecznie prowadzić i po rozpoczęciu działalności banku, przy nowym składzie zarządu (podobno dotychczasowy usunąć się pragnie), a więc przy innych może na zadanie banku zapatrywaniach? Jest-to pytanie, na które — jak na pytanie wszelkie—odpowiedzi mogą być różne. Lepiéj więc, żeby pytanie samo było niemożliwém, żeby w ustawie nie było szansy nawet do wykonywania czynności dla banku niebezpiecznych, a więc żeby zakres działalności ograniczyć do jednéj tylko parcelacyi. Powie-

dzieliśmy, że program parcelacyi uważamy za bardzo pomyślny nie tylko pod względem negatywnym, ale i pozytywnym. Postaramy się uzasadnić to zdanie nie z punktu widzenia obrony lub napaści na własność większą lub mniejszą, ale z punktu interesów społecznych nietylko właścicieli większych lub mniejszych, ale z punktu widzenia wszystkich tych, którym utrzymanie istnienia naszego społeczeństwa w obec zamachów pruskich jest drogiém. Sądzę, że po nad wszystkiém stoi pytanie: „być, czy nie być?“—a dopiéro potém „jak być?“; sądzę, że wielbiciel majoratów, większéj własności, systemu dzierżaw, tak samo jak wielbiciel drobnéj własności, nie zasługiwałby na miano członka naszego społeczeństwa, gdyby stawiał wyżéj wcielenie swoich ideałów gospodarczych, nad samo istnienie społeczeństwa; wierzę, że uratowanie naszego bytu w Poznańskiém stoi wyżéj w oczach każdego polaka od urzeczywistnienia najbardziéj miłych mu doktryn ekonomicznych i społecznych. Z tą wiarą przystępuję do wspólnego z czytelnikami zastanowienia nad kwestyą parcelacyi ziemi w Poznańskiém i znaczenia jéj, jako środka ratunkowego, zagrożonego przez Niemców w téj prowincyi istnienia narodowości polskiéj.

Rozbiór téj kwestyi ułatwi mi porównanie narodowości polskiéj z jedną z narodowości pobratymczych, z Czechami. Czechów jest kilka milionów. Nas jest milionów kilkanaście. A jednak Czesi, pomimo mniejszości liczebnéj, wyprzedzają nas znacznie na polu przemysłowém, handlowém, rolniczém, na polu ekonomiczném wogóle, na polu pracy umysłowéj, na polu wyrobienia społecznego, na polu znaczenia wśród narodowości innych. Na szali wypadków Czesi znaczą więcéj od nas; z nimi liczą się więcéj w życiu publiczném niż z nami. Zkąd to pochodzi? Oto ogół społeczeństwa czeskiego, masy ludowe, stoją daleko wyżéj, aniżeli u nas pod względem świadomości zadań i celów publicznych, pod względem świadomości kim są, dokąd dążą i jakiemi drogami dążą. Kiedy potrzeba było wybudować w Pradze teatr narodowy czeski, posypały się ofiary ze wszystkich zakątków kraju,— można powiedzieć prawie literalnie, że każdy czech dorzucił swój grosz na sprawę wspólną. Czy wśród nas coś podobnego byłoby możliwém? Gdyby potrzeba było dowodu faktycznego, dość byłoby przytoczyć cyfrę drobnych wkładek do banku poznańskiego. Cyfra ta—*risum taneatis*—wynosiła 2,442 marki. A przecież bank ziemski, to wyższéj chyba doniosłości sprawa niż teatr. Czyż to wreszcie dowód jedyny? Spotykamy takich na każdym kroku mnóstwo i na mocy całości objawów życiowych widzimy, że kilka milionów Czechów, to rzeczywiście kilka milionów, a nasze kilkanaście milionów, to w rzeczywistości

paręset tysięcy świadomych siebie osobników. Wyobraźmy sobie, że do wykonania pewnéj pracy, dajmy na to, skopania ogrodu przychodzi w jednym przypadku 20 robotników i że ci wszyscy zaopatrzeni są w szpadle, łopaty i t. p.; w drugim zaś wypadku 100 robotników, z których jednak tylko 5 posiada odpowiednie narzędzia, reszta zaś przychodzi z gołemi rękoma. Oczywiście owi dwudziestu zrobią więcéj, niż cała setka drugich.

Otóż taka jest różnica między naszym ludem, a czeskim. Naszego ludu jest więcéj, ale lud to biédny, ciemny, nie mający ani czém ani na czém pracować. Z drugiéj strony, mamy ludzi, których los, urodzenie opatrzyło tak obficie w zapasy nie własną ich pracą zdobyte, że to usuwało przez czas długi najważniejszy bodziec do pracy—potrzeba przysporzenia sobie środków utrzymania własnym trudem, rękoma, lub głową. Rezultat tych wprost przeciwnych położeń był, dziwnym na pozór zbiegiem okoliczności, jednaki, a mianowicie—emigracya. Emigracya u dołu i u góry — emigracya dla znalezienia opłacającéj się pracy w jednym, a dla użycia w drugim wypadku. Obecnie jesteśmy w chwili przełomu: większość wybranych losem albo zbankrutowała, albo wzięła się do pracy, mniejszość musi wkrótce wybrać jedną z tych dwóch alternatyw, z drugiéj strony w ludzie naszym zaczyna się budzić świadomość siebie. Świadomość ta najsilniéj właśnie rozwija się w Poznańskiém, mniéj silnie na Szląsku i w prowincyach innych, budzi się jednak wszędzie. Zauważyć przytém należy, że główną podstawą, na któréj wyrastają aspiracye do celów wyższych, społecznych, to pewien stopień dobrobytu materyalnego. I to zupełnie naturalne, bo głodny o celach podnioślejszego porządku myśléć nie ma czasu. Za dobrobytem idzie oświata, a za oświatą—reszta. Z drugiéj strony widzimy, że najbardziéj konserwatywną, najbardziéj przywiązaną do kraju częścią ludności jest klasa średnich (podług dotychczasowych naszych pojęć drobnych) właścicieli ziemskich. I to znów naturalne, boć najwięcéj do ziemi ojczystéj przywiązany jest ten, kto cząstkę jéj posiada i kto, pracując na niéj codziennie, zespala się z nią siłą przyzwyczajenia, potrzeby i poczucia własności. W obec takich faktów program parcelacyjny w Poznańskiém, to już nie program doktryn ekonomicznych i rolniczych, to program społeczny doniośléjszego znaczenia; to program, w urzeczywistnieniu którego leży nasza siła, nasza liczebność, nasza obrona od zalewu germańskiego.

Gazety przynoszą nam wieści o całym szeregu nowych rozporządzeń prawodawczych pierwszorzędnego znaczenia i dla naszego społeczeństwa. Wprowadzenie w życie banku włościańskiego, i prze-

pisów o ochronie lasów wywoła prawdopodobnie poważne zmiany w ukształtowaniu się stosunków agrarnych. Szkoły rzemieślniczo-techniczne popchną młodzież w większéj ilości na drogę pracy zawodowéj. Nie bez wpływu także na kształcenie młodzieży pozostanie nowy cyrkularz, ograniczający kontrolę stosunków rodzinnych uczniów do pewnych ściśle określonych norm. W końcu, ponieważ t. zw. komisya żydowska zakończyła swe prace, prawdopodobnie przeto wkrótce otrzymamy nowe prawa, żydów dotyczące.

Nie tu miejsce oczywiście na szczegółowy i wyczerpujący rozbiór nowych przepisów. W krótkości tylko możemy zaznaczyć z ich powodu nasze nadzieje, dezyderaty.

Bank włościański, jako instytucya, dopomagająca powiększeniu ilości drobnych i średnich własności ziemskich i dobrobytu ich właścicieli, nie może być witaną przez wszystkich tych, którym dobro ludu naszego leży na sercu, inaczéj jak z zupełną przychylnością. W przyszłości tylko, co do wykonania, chodzić będzie o to, żeby pożyczki były udzielane oględnie co do wysokości sum i co do osób pożyczkę zaciągających. Skoro jednak widzimy w ustawie przedsięwzięte środki by pożyczki dostawały się tylko rolnikom z powołania i dość przytém zasobnym, miejmy nadzieję, że potrafimy w praktyce uniknąć smutnych stosunków sąsiedniéj Galicyi, gdzie zbyteczne obdłużenie własności małéj doprowadza do tak częstych licytacyi za niepłacone raty, a więc do wywłaszczania z ziemi i do zubożenia włościaństwa.

Ochrona lasów jest pożądaną ze względów klimatycznych, i ze względów konserwacyi bogactwa krajowego. I tu jednak będą się spotykać poważne w praktyce trudności. Nowe przepisy wywłaszczają—ściśle mówiąc—właścicieli lasów „ochranianych“ i zamieniają ich w części na depozytaryuszów, a w części na ograniczonych w swych prawach użytkowników. Wywłaszczenie to odbywa się w imię dobra publicznego, téj „*summa lex*“. Ale téż właśnie żeby „*summa lex*“ nie stała się zarazem „*summa injuria*“, potrzeba, aby prawa właścicieli nie były po nad ścisłą potrzebę ograniczane i żeby ci właściciele otrzymywali sprawiedliwe wynagrodzenie za ponoszone straty.

Co do szkół rzemieślniczych, możemy sobie tylko życzyć: aby ich było co najwięcéj i jak najlepszych!.. Kto przyjrzał się uważnie naszym stosunkom społecznym wogóle i rzemieślniczym w szczególności i porównywał je ze stosunkami społeczeństw innych, ten przyzna, że rutyna i partactwo bardzo się w rzemiosłach naszych zagnieździły. Z drugiéj strony tradycye arystokratyczne naszéj inteligencyi w związku ze smutnemi stosunkami obyczajowo-wycho-

wawczemi terminowania w warsztatach rzemieślniczych odpychają od rzemiosł młodzież z t. zw. dobrych gniazd i każą jéj pomnażać niedouczony i niepraktyczny proletaryat zawodów, więcéj przez społeczeństwo poważanych. Myśmy specyalnie np. oddawna chorzy na hyperprodukcyą kandydatów na urzędy w biurach rządowych i prywatnych. Jeżeli tym patologicznym objawom zaradzą choć w części szkoły rzemieślnicze—a zaradzić przy prawidłowém funkcyonowaniu mogą—to błogosławioną będzie epoka ich rozpowszechnienia.

Nowy cyrkularz, regulujący stopień kontroli władz szkolnych nad stosunkami domowemi młodzieży uczącéj się, należy również do objawów dodatnich. Jużci bywają stosunki takie, które uniemożliwiają wprost dziecku korzystanie ze szkół publicznych i jużci pożądaném jest, żeby te stosunki były jak najpomyślniejsze. Zbyteczny jednakże rygoryzm, którego przykłady przed wydaniem ostatniego cyrkularza dawały się spostrzegać, zamykał drogę u nas zbyt wielkiéj ilości młodzieży, a więc i dla społeczeństwa i dla państwa był szkodliwym. Co do prac komisyi, która pod przewodnictwem byłego ministra sprawiedliwości hr. Pahlena pracowała nad nowemi przepisami o żydach—wiadomości o pracach tych przeniknęły do publiczności w skąpych tylko i oderwanych szczegółach. Spodziewać się tylko możemy—dzięki osobistości przewodniczącego—że kierunek ogólny tych prac będzie oparty na zasadach humanizmu.

Trudna to rzecz polemizować z kimś, co w polemice trzyma się takiéj metody, jak ów żyd, który, złapawszy chłopkę za gardło, krzyczał jednocześnie: „gwałtu, rety, zabili mię.“ Podobnie postępuje p. Poseł Prawdy. Gdym ja odezwał się w pewnéj sprawie, zalecając sąd honorowy, jako środek rozstrzygnięcia kwestyi odpowiedniejszy od pojedynku, p. Poseł Prawdy wykoncypował sobie, że niby ja zalecam pojedynki i zaczepił mię z tego powodu w nieparlamentarny wcale sposób. Gdym mu dał odprawę za tę niewywołaną niczém napaść, p. Poseł zasypał mię gradem obelg i zarzucił specyalnie „podrabianie“ jakoby jego słów, a jednocześnie gorzkie wygłosił żale, że ja na niego napadam. Kiedym mu zaś dowiódł, że zrobiony przez niego zarzut podrabiania jest dziecinny, pisze obecnie, że moja odpowiedź jest „piskorzową próbą wyśliźnięcia się“, a jednocześnie daje następujący przykład „niepodrabiania“ zdań cudzych. Ja objaśniam w odsyłaczu, że chociaż pewna część ustępu jest wzięta z pisma innego, jednakże *wobec p. Posła Prawdy biorę na siebie odpowiedzialność za cały ustęp*; p. Poseł Prawdy wyrywa pierwszą połowę zdania, drugą zaś połowę zamil-

cza, a fałszując w ten sposób myśl całą, opiera na takim fałszu swój dowcip „piskorzowy“. Dalej p. Poseł Prawdy wstępuje na katedrę i daje mi lekcyą „historyi greckiéj“, na końcu zaś, wyssawszy z palca, że ja roszczę sobie jakoby pretensyą do hetmaństwa w obozie postępowym, drwi z wymyślonéj przez siebie samego pretensyi.

Całe to postępowanie posła prawdy byłoby rzeczywiście bardzo śmieszne, gdyby nie było jednocześnie i smutne i nudne. Smutném jest ono ze względu na widoczne a świadome wymijanie się z prawdą; nudném zaś ze względu, że używana przez p. „Posła“ metoda polemiki, jak owa „czapla na wysokich nogach“, jest wiecznie ta sama, streszczająca się w przekręcaniu słów przeciwnika a następnie w tryumfatorskiém tych pokręconych słów wyśmiewaniu. Zadałem sobie kilka dni temu pracę: przejrzałem dość znaczną ilość polemik p. Posła Prawdy. Otóż nie spotkałem ani jednego wypadku, żeby p. Poseł Prawdy komukolwiek i kiedykolwiek, po wyjaśnieniu sprawy spornéj, przyznał słuszność. Zawsze musiało być „j e g o n a w i e r z c h u“ i prawie zawsze przeciwnik otrzymywał w różnych formach nazwy idyoty lub zbrodniarza. Zapewne, może ktoś na 100 razy miéć, dajmy na to, 90 razy słuszność, ale nie może jéj miéć zawsze. Kto zaś nigdy przeciwnikowi słuszności nie przyzna, ten oczywiście swoje „ja“ stawia wyżéj po nad prawdę, chociaż posłem jéj się tytułuje.

W obecnéj replice postaram się—o ile zdołam spokojnie—przemówić raz jeszcze do p. Posła Prawdy. Przemówienie to moje będzie prawdopodobnie ostatniém, bo przegadać p. Posła Prawdy ani nie potrafię, ani nie mam ochoty. Przedewszystkiém do stanowiska hetmańskiego już dla tego nie mogę rościć pretensyi, że postęp przedstawiam sobie nie w postaci jakiejś bójki, lecz w formie pracy, a zatém i tych, których hasłem jest postęp, mógłbym porównać chyba do kolonistów, pionierów, wogóle do pracowników, ale nie do żadnéj „roty“ z „hetmanem“ na czele. Nad nikim nie chcę przewodzić, ale téż nie chcę, żeby mi nie proszeni natręci do mojéj włazili zagrody i niewłaściwie względem mnie się zachowywali. Powtóre, znajduję, że apostrofa do mnie, żebym się uczył historyi greckiéj od p. Posła Prawdy i żebym wysłuchał jego wykładu o Meletusie jest szczytem śmiesznéj impozycyi. Bo przypuśćmy, że ja nie znam ani historyi ani literatury greckiéj wcale, toć jeszcze pytanie, czy chcę się uczyć jednéj i drugiéj z „*liberum veto*“ p. Posła. Chyba to nikogo—oprócz samego p. Posła nie zdziwi, że przełożyłbym pierwszy lepszy podręcznik nad jego wywody.

Mniemana lekcya logiki, dana mi przez pana Posła Prawdy jest tylko lekcyą sofistyki. P. Poseł Prawdy znajduje, że ponieważ Me-

letus istniał „sam przez się“, przeto twierdzenie moje, że imię Meletusa, przez assocyacyę pojęć, przywołuje na pamięć koniecznie imię Sokratesa, jest nielogicznėm. Tymczasem sam p. Poseł Prawdy uległ w swoim czasie téj konieczności skojarzenia imion Meletusa i Sokratesa, bo skoro swych przeciwników imieniem pierwszego nazwał, zaraz mu przyszło na myśl, iż sam on występuje w roli Sokratesa i dla tego to, chcąc zapobiedz śmieszności, uważał za konieczne użyć frazesu „n i e j e s t e m j a w p r a w d z i e S o k r a t e s e m“. Ten zdawkowy jednak frazes pozornego zaprzeczenia nie pomógł; śmieszność pretensyi do stanowiska Sokratesa przykleiła się do p. Posła Prawdy i nic jéj nie odklei. Ja miałem nieszczęście tę śmieszność przypomnieć. *Inde irae.*

Na zakończenie chcę p. Posłowi Prawdy powiedzieć jeszcze słów kilka. Przypuśćmy że p. Poseł Prawdy jest czémś więcéj, niż utalentowanym dyletantem i przypuśćmy, że jest studnią mądrości i wiedzy, przypuśćmy, że przerasta wszystkich współczesnych nauką i inteligencyą. Oznaczamy sumę jego mądrości przez wielkie, olbrzymie M; sumę zaś wiedzy innych ludzi przez małe, mikroskopijne n. Różnica jest na pozór ogromna. Ale, w stosunku do nieskończonego ogromu wszechwiedzy we wszechświecie obie te wielkości się zrównają, gdyż tak samo $\frac{n}{\infty}$ jak i $\frac{M}{\infty} = 0$. Jeżeli więc p. Poseł Prawdy nie chce być przez swą impozycyą śmiesznym, niech pamięta, że cokolwiek wié i umié—to jeszcze by można—podług starego wyrzeczenia—z tego, czego nie umié, ułożyć przepyszny księgozbiór.

(— X —)

NEKROLOGIA.

† **Zygmunt Wróblewski** urodził się 28 października 1845 roku w Grodnie i tu odbywał początkowe i średnie wykształcenie. Ukończywszy je w 17 roku życia, wstąpił 1862 do uniwersytetu kijowskiego, skąd po roku przenieść się musiał aż do Tomska. W 1867 osiadł w przeznaczonym sobie na miejsce pobytu Kazaniu, a w dwa lata potém mógł przyjechać do Warszawy, gdzie zapisał się znów jako student wydziału fizyczno-matematycznego. Dotkliwe cierpienia oczu skłoniły go do przeniesienia się na czas dłuższy do Berlina, aby u specyalistów tamtejszych zasięgnąć rady, a zarazem o ile się da prowadzić dalej studya fizyczne. Po jednorocznym tu pobycie, nie zyskawszy polepszenia wzroku, wyjechał 1870 r. do Heidelberga, a stąd 1872 do Monachium, gdzie w profesorze fizyki Jollym znalazł i nauczyciela i przyjaciela, i gdzie nastąpiło polep-

szenie stanu oczu. W lutym 1874 zdał egzamin doktorski *summa cum laude*, a w lecie tegoż roku został asystentem przy katedrze fizyki; lecz już w listopadzie udał się do Strasburga i tu z początku jako drugi, niebawem zaś jako pierwszy asystent przy profesorze fizyki Kundcie przez pięć lat sprawował te obowiązki, zostawszy przytém 1875 r. docentem ulubionego przedmiotu. Habilitacyjna jego rozprawa: „Ueber die Diffusion der Gase durch absorbirende Substanzen“ chlubnie go dała poznać światu uczonemu. W r. 1877 ogłosił rezultat prac swoich nad wykryciem praw rządzących rozchodzeniem się materyi i wyjaśnieniem istoty pochłaniania gazów przez ciała pochłaniające, p. n. „Ueber die Gesetze, nach welchen die Gase sich in flüssigen, flüchtigen und festen Körpern verbreiten.“ Pracę tę rozszerzoną wydrukował téż po polsku w lwowskim „Kosmosie“ p. n. „O prawach, podług których gazy rozchodzą się w ciałach ciekłych, nawpół-stałych i stałych. W r. 1878 w témże czasopiśmie podał przekład innéj swéj pracy po niemiecku napisanéj, p. t. „O ilości stałéj rozchodzenia się bezwodnika kwasu węglowego w czystéj wodzie“, a nadto: „Kilka słów o dyffuzyi gazów“, „O prawach, na jakich opiera się mikrofonia.“ W 1879 wydrukował po niemiecku i po polsku rzecz „O istocie pochłaniania gazów.“ Otrzymawszy od Akademii umiejętności w Krakowie stypendyum Seweryna Gałęzowskiego, odbył w lecie i jesieni roku 1880 podróż naukową do Paryża, Londynu, Oksfordu i Cambridge, stąd wróciwszy napisał najprzód artykuł do „Kosmosu“ p. t. „Fizyka we współczesnéj Francyi“, a następnie rozprawę drukowaną po polsku a potém przełożoną na niemiecki p. t. „O zależności ilości stałéj rozchodzenia się gazów w cieczach od lepkości tych ostatnich.“ Na wiosnę 1881 pojechał znowu do Londynu, a potém do Paryża; tu zajął się specyalnie kwestyą pochłaniania kwasu węglowego przez wodę, przyczém odkrył wodan dwutlenku węgla; tu również zbudował przyrząd własnego pomysłu, służący do badania zjawisk, jakie przedstawiają gazy pod wysokiém ciśnieniem. Owocem tych badań był szereg rozpraw, jako to: „Untersuchungen über die Absorption der Gase durch die Flüssigkeiten unter hohen Drucken“, „O zastosowaniu fotometryi do badania dyffuzyi w cieczach“, „O wpływie sił molekularnych na zjawiska dyffuzyi w cieczach.“ Wskutek tych prac powołany został na profesora fizyki w uniwersytecie jagiellońskim i objął swe obowiązki z rokiem szkolnym 1882/3. W roku tym pisał dużo artykułów po francusku do *Comptes rendus*; najważniejszym atoli faktem, który działalność nowomianowanego profesora uświetnił i trwałe imię w nauce zapewnił, było dokonanie od lat kilku przez Cailleteta i Picteta podejmowa-

nego zadania skroplenia tlenu, następnie azotu i tlenku węgla. Odkrycie to mocno zainteresowało całą uczoną Europę; nie obyło się przytém bez objawów zazdrości międzynarodowéj; profesor musiał wystąpić przeciw nieuzasadnionym twierdzeniom Jamin'a, który usiłował obniżyć doniosłość faktu. Odtąd pracował wytrwale daléj; staraniami swemi urządził znakomite laboratoryum fizyczne. Okropne poparzenie się naftą położyło kres jego życiu w dniu 16-go kwietnia r. b.

† **Jan Korytkowski** ur. 31 grudnia 1821 r. w Gnieźnie; początkowe nauki odebrał w mieście rodzinném, dalsze w Trzemesznie. Wstąpiwszy do seminaryum duchownego w Poznaniu 1847 w dwa lata potém wysłany został do uniwersytetu w Münster. Wyświęcony r. 1851, pełnił obowiązki wikarego najprzód w Gnieźnie; potém był nauczycielem seminaryum pedagogicznego w Paradyżu; w 1855 został proboszczem w Trzcinicy, gdzie pozostawał aż do r. 1871. Pierszą jego pracą był przekład książki ludowéj Józefa Wicka p. n. „Prawdziwa religia" (Gniezno, 1863, str. 204), za którą musiał odsiedzić karę więzienną. Następnie wyszła jego „Mowa pogrzebowa, miana w czasie żałobnego nabożeństwa za duszę ś. p. Piotra hr. Szembeka" (Gniezno, 1866). Zostawszy kanonikiem gnieźnieńskim zajął się dziejami kościoła w Polsce według źródeł archiwalnych, a wynikiem badań jego było opatrzenie „Liber beneficiorum Jana Łaskiego", wydanéj przez ks. Jana Łukowskiego, uwagami historycznemi, topograficznemi, heraldycznemi etc. oraz obszernym Łaskiego życiorysem (Gniezno, 1880), następnie wydanie 4-tomowego dzieła p. t. „Prałaci i kanonicy gnieźnieńscy" (Gniezno, 1881, 1882), a wreszcie rozpoczęte w r. 1887 dzieło: „Arcybiskupi gnieźnieńscy, prymasowie i metropolici polscy od roku 1000 aż do dni naszych." W r. 1887 uniwersytet jagieloński uczcił jego zasługi nadaniem mu tytułu doktora *honoris causa*. Zmarł w Poznaniu 14 maja r. b.

SPROSTOWANIE OMYŁEK

w zeszycie Majowym r. b.

Str.	wiersz			
Str. 314	wiersz 14	*zamiast* etnologicznie	*czytaj* chronologicznie.
„ 316	„ 22	„ *animalis*	„ *annualis*
„ 318	„ 8	„ estetycznego	„ erotycznego
„ 321	„ 30	„ niemiec	„ wieniec
„ 323	„ 6	*opuścić* się	
„ 324	„ 12	*zamiast* śplewanych	„ śpiewaczych
„ 326	w odsyłaczach: drugi ma być trzecim a trzeci drugim		
„ 329	wiersz ostatni	*zamiast* dziennych	*czytaj* dawnych.

Wydawca **W. Spasowicz**. — Redaktor **Piotr Chmielowski**.

NOWE KSIĄŻKI

nadesłane do redakcyi „Ateneum"

w ciągu pierwszego kwartału 1888 r.

---

1. **Ljetopis jugoslavenske akademije** znanosti i umjetnosti. Druga svezka (1877—1887). U Zagrebu, 1887, 8-o. str. 127.
2. **Rad jugoslavenske akademje** znanosti i umjetnosti. Knjiga LXXXVI. Razredi filologičko-historički i filosofičko-juridički. XVIII. Zagrzeb, 1887, 8-o, str. 252.
3. **Elektrotechnika** w prymienienii k inżeniernomu diełu. Sostawił *G. Merczyng.* Wypusk II (str. 77—189).
4. *Eliza Orzeszkowa.* Powieści wiejskie. **Dziurdziowie**. Powieść. Z illustracyami E. M. Andriolego. Warsz. nakł. S. Lewentala, 1888, 8-o, str. 276.
5. *Wiktor Gomulicki.* **Przy słońcu i przy gazie**. Szkice z miasta (z illustracyami). Warsz. nakł. S. Lewentala, 1888, 8-o, str. 240.
6. *Don Pedro Calderon de la Barca.* **Dramata** w przekładzie *Edwarda Porębowicza* (Biblioteka najcelniejszych utworów). Warsz. nakł. S. Lewentala. 1887, 8-o, str. 530 i nlb. 8.
7. **Sprawozdanie komitetu Towarzystwa zachęty sztuk pięknych** w Królestwie Polskiem za rok 1887. Warsz. 1888, 4-o, str. 63.
8. **Generał Filip Hauman** i rodzina Antoniego Malczewskiego. Przez *Kajetana Kraszewskiego.* (Odbitka z Biblioteki Warsz.). Warsz. 1888, 8-o, str. 78 i II.
9. **O pożyczkach i kasach pożyczkowych** po wsiach i miastach. Z dodatkiem objaśnień o Towarzystwie Kredytowem Ziemskiem, listach zastawnych, hipotoce i o tém—kto z mniejszych gospodarzy może korzystać z pożyczek Tow. Kred. Zemsk. Napisał *Konrad Prószyński.* Warsz. 1888, 8-o, str. 62.
10. **Badania z historyozofii.** Część I. Prawo rządzące dziejami ludzkości. Z 2-ma Tablicami rysunków. Przez *Tadeusza Chrzanowskiego.* Warsz. 1888, str. 197 i II.
11. **Wisła**. Tom II: Styczeń, Luty, Marzec. Warsz. skład w księgarni M. Arcta, 1888, 8-o. str. 246 (z rycinami).
12. **Geograficzny rzut oka na dawną Polskę**. Skreślił *Wacław Nałkowski.* Warsz. 1888, 4-o, str. 53.
13. **Józef Ignacy Kraszewski**. O jego życiu i wielkiej pracy pisarskiej napisał *Kazimierz Promyk.* (Wydawnictwo Księgarni Krajowej). Warsz. 1888, str. 32 (z portretem).
14. **Charakter** w zdrowiu i w chorobie. Przez *D-ra Azama*, z przedmową *T. Ribota* przetłómaczył *L. Wolberg* Dr. Med. (Bezpłatny dodatek do „Prawdy"). 1888, 8-o str. 149 i V.
15. *F. Paulhan* **Fizyjologija ducha**. Przekład z francuzkiego przez *Eugeniję Piltz.* Z przedmową i uwagami *Adama Mahrburga.* (10 rycin w tekscie). Petersb. nakł. „Kraju", 1888, 16-o, str. VI i 214.
16. *Ch. Seignobos.* **Historya cywilizacyi**. Z 200 drzeworytami w tekście. Przełożył *Adolf Dygasiński.* Warsz. nakł. T. Paprockiego i S-ki, 1888, 8-o, zeszyt 4 (od str. 481 do 640).
17. **Sprawozdania meteorologiczne** za miesiąc Lipiec 1887 r. (wyd. Oddział Warszawski Towarzystwa popierania przem. i handlu. Sekcya II). Warsz. 1888, str. 16.
18. **Słownik geograficzny** królestwa Polskiego wydany pod redakcyą *Bronisława Chlebowskiego, Władysława Walewskiego,* według planu Filipa Sulimierskiego Warsz. 1888, Tom IX, zesz. 100, od str. 241 do 320.

ATENEUM

PISMO NAUKOWE I LITERACKIE,

wychodzi w roku 1888 jak dotychczas, na początku każdego miesiąca zeszytami, najmniej 12 arkuszy druku zawierającemi.

Działy, w których myśl przewodnia znajdować będzie swe wyjaśnienie i rozwinięcie są następne:

I. Artykuły wstępne dotyczące ważnych zagadnień bieżących treści społecznéj lub naukowéj.

II. Powieści i poezye, oryginalne i tłomaczone.

III. Studya z dziedziny historyi, etnografii, lingwistyki i mitologii, ze szczególnym uwzględnieniem dziejów i stosunków polskich.

IV. Rozprawy wyświetlające ważniejsze chwile z dziejów piśmiennictwa naszego i obcego.

V. Obrazy stanu politycznego, urządzeń publicznych i przedsiębranych w świecie cywilizowanym reform, o ile się one doniosłością swoją uwydatnią.

VI. Studya z dziedziny filozofii, a zwłaszcza psychologii, etyki i estetyki.

VII. Artykuły treści wychowawczéj.

VIII. Rozprawy z zakresu nauk przyrodniczych.

IX. Kronika miesięczna, w której bieżące objawy życia społecznego znajdą sprawozdanie i krytykę.

X. Przegląd ważniejszych objawów wśród przedstawień scenicznych.

XI. Rozbiory, sprawozdania i wrażenia literackie, w których zawrze się obraz ruchu naukowo-literackiego i artystycznego, objawiającego się w nowo wychodzących utworach.

Warunki przedpłaty.

Prenumerata **Ateneum** w Warszawie, w guberniach Królestwa i Cesarstwa oraz we wszystkich krajach należących do związku pocztowego wynosi:

Rocznie Rs. 12. Półrocznie 6. Kwartalnie (tylko w Warszawie) **Rs. 3.**

Prenumeratorów z prowincyi upraszamy o nadsyłanie prenumeraty bezpośrednio:

DO REDAKCYI ATENEUM. Oboźna, 5.

Дозволено Цензурою. Варшава 22 Мая 1888 г.